

DROGA DO PUTTE

Wacław HOLEWIŃSKI

DROGA DO PUTTE

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

*Czy utracone jest to, co było, i to, co ludzie z łatwością,
falszywą czułością, i w ogóle słowem nieprecyzyjnym
nazywają stratą, młodość, która czmychnęła jak zając,
wiek męski, nad którym pewnego dnia zaczął zapadać
zmierzch, słowem czas, który nam się zdarzył i który
naprawdę był w naszym posiadaniu jak przedmiot
albo własne mienie?*

Sándor Márai, Występ gościnny w Bolzano,
tłum. Feliks Netz, Warszawa 2005

Popołudniem dwudziestego trzeciego dnia grudnia roku tysiąc sześćset czterdziestego, przy zapadającym już zmierzchu, pod rezydencję zwaną De Halle van Lier przy Hoogstraat czterdzieści trzy podjechała niewielka karoca zaprzęzona w dwa starannie ułożone siwki.

Gość musiał być oczekiwany, bo zanim wysiadł, drzwi do domu zostały otwarte i stanęła w nich służąca w białym czepku skrywającym podwójnie spleciony war-kocz. Wzięła od gościa opończę, która czyniła niewi-docznym kruczoczarny habit, i poprowadziła go ledwie, ledwie oświetlonym korytarzem do pracowni. Siedzący w jej centralnym punkcie malarz nawet na moment nie przerwał pracy, za to uczniowie, których było sześciu czy siedmiu, jak na komendę spojrzeli na intruza.

– Mistrzu – przybyły nie mógł pochodzić z Antwer-pii, w jego głosie, prócz chrypy spowodowanej chorobą, dał się słyszeć, charakterystyczny dla wielu ludzi z południa, obcy akcent.

Jordaens powoli odwrócił głowę. Miał czterdzieści siedem lat, ale wyglądał na znacznie starszego. Powagi dodawały mu śmiesznie podkreślone do góry wąsy i starannie przystrzyżona w trójkąt broda. Dokładnie wytarł ręce w szmatę okrywającą mu dotąd kolana.

Gestem dłoni, który przypominał lekceważące machnięcie, pokazał uczniom, że są już wolni, a ci – mimo

szacunku dla mistrza – zaczęli się zachowywać jak sztucbacy. Myjąc pędzle, poszturchiwali się i śmiali, którzy nawet rozochocony perspektywą szybkiego powrotu do domu pełnego świątecznych atrakcji trącił misę z wodą i gdyby nie doskonały refleks innego z młodzieńców, bez wątpienia rzuciłby ją na ziemię i rozbił.

– Zapraszam do salonu, panie di Verrua.

– Mogę? – gość wskazał głową obrazy. – Chciałbym rzucić okiem.

– To nie są skończone prace. Nie lubię ich pokazywać w takim stanie.

Tym samym korytarzem przeszli do gabinetu. Okna zakrywały ciemnobrązowe kotary zwisające do samej ziemi. Na ich widok z głębokiego fotela przypominającego tron zerwała się młodziutka dziewczynka o jasnych, lekko podkręcanych włosach.

– To moja córka Anna – przedstawił młodą damę, przyciągając ją ku sobie. – Jest bardzo zdolna – oznajmił nie bez dumy.

– Ojciec – dziewczynka spojrzała na niego w taki sposób, że każdy postronny obserwator musiał natychmiast zauważyć, że łączy ich uczucie daleko wykraczające poza przyjęty schemat – myślałam o naszej wczorajszej rozmowie.

– Ach, tak. – Jordaens nie potrafił ukryć wzruszenia.

– Moja córka – zwrócił się do gościa – w tajemnicy przygotowała mi wczoraj płótno. Chciałaby, żebym ją uczył. Niech pan chwilę poczeka. – Podeszedł do wielkiego stołu i zebrał leżące na nim grube arkusze papieru. – Proszę spojrzeć. Czyż nie jest zdolna?

Cesare Alessandro Scaglia di Verrua dłuższą chwilę patrzył na umięśniony tors mężczyzny. Widać było, że

autorka rysunku ma jeszcze niewprawną rękę, ale jakiś błysk geniuszu przejętego od ojca dawał się łatwo zauważyć. Pokiwał głową z uznaniem.

– Mistrzu, chce pan z kobiety zrobić artystę? – zapytał z uśmiechem. Jordaens usłyszał w tym pytaniu nutę niedowierzania, a nawet kpiny.

Przez moment zastanawiał się, czy powinien dyskutować o tym z człowiekiem, który składa mu pierwszą wizytę.

– Nie wiem – powiedział wreszcie. – Wszystkie przypisane nam role...

Nie skończył. Dziewczynka, jakby rozumiejąc, że jej dalsza obecność w towarzystwie dorosłych jest nadużyciem ojcowskiej miłości, dygnęła i wyszła, starannie zamykając za sobą jedno z ciężkich skrzydeł ogromnych drzwi.

Ta przebudowywana od roku rezydencja wciąż wymagała dużych nakładów. Zwłaszcza dołączone do niej posesje od Verversrui. Chciał ten dom upiększyć według własnego gustu, wypełniając go rozciągniętymi na niebie gwiazdami, znakami Zodiaku i biblijnymi apostołami. Co z tego, skoro wciąż brakowało mu na to czasu. Uznanie, sława, pieniądze – wszystko to przyszło we właściwym czasie, a mimo to miał poczucie, że daleko mu do osiągnięć wielkiego Rubensa.

– Mistrzu – di Verrua uznał, że nie można w nieskończoność przeciągać trwającej ciszy – czytał pan mój list, prawda? Rozumie pan, że to nie jest zwykłe zamówienie.

Malarz kiwnął głową. Nigdy nie był zbyt rozmowny. Ożywał się tylko w towarzystwie żony i dzieci. Tak, to nie było zwykłe zamówienie. Dwadzieścia dwa obrazy, duże formaty i tajemnica, która wiązała się z nabywcą.

– Dlaczego ja? – W Antwerpii były dziesiątki malarzy, którzy rzuciliby się na to zamówienie bez słowa. Przyszło mu do głowy, że mógłby się targować, podbijając własną wartość, przeciągać termin.

Pokryta zmarszczkami twarz gościa jakby się wydłużyła. Przeżuwał słowa, międlil je w sobie, chciał wyrzucić gwałtownie, ale przyłożona do ust, zwinięta w kułak pięść nie pozwalała im wylecieć. Odchrząknął.

– Panie...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej. Do sali wkroczyła piękna, choć niemłoda już kobieta z dzbanem wina.

– Catharina – malarz objął żonę w pasie, a ta żartobliwie oganiała się łokciami od jego zalotów.

Kobieta wyciągnęła dłoń do obcego. Uścisnął ją delikatnie, robiąc przy tym ukłon, może nawet zbyt wielki. Zaczerwieniła się jak podłotek. Nalała im wina do wielkich glinianych kubków i przysiadła przy stole tuż obok męża. Dało się zauważyć, że jej pozycja w tym domu była na tyle znacząca, iż nie musiała godzić się z rolą potulnej niewiasty. Nie zamierzała wychodzić. Przykryła plecy i ramiona trykolorowym, starannie utkanym szalem.

– Jacob – westchnęła, zmuszając go tym westchnieniem do wzniesienia toastu.

– Tak, tak... Wypijmy zdrowie naszego tajemniczego gościa...

Parę lat temu widział wspaniałą, sporządzoną przez van Dycka portret kardynała, ale nie przyszło mu do głowy, że kiedykolwiek się z nim zetknie. Łyknęli z kubków. W winie czuć było jakby drobiny piasku, podrywanego ku niebu przez wiatr wiejący od Sahary w hiszpańską winorośl. Od lat pijał w domu ten sam gatunek, żaden inny. Ciężko mu szła zmiana upodobań. Nie czuł

się zbyt dobrze. Zbliżające się święta, cały ten rozgardiasz z nimi związany, nerwowa krzątanina domowników i służby. Dręczyła go też tajemnica. Nigdy dotąd żaden kupiec nie krył się za plecami pośrednika. Po cóż miałby to robić? Czuł, że i ze zdrowiem nie jest najlepiej. Od lat miał problemy z nerkowymi kamieniami. Rodził je w potwornych męczarniach. Żaden medyk nie potrafił ulżyć jego cierpieniu.

– Dwadzieścia dwa płótna. Amor i Psyche, prawda? Cesare kiwnął głową.

– Z rozwiniętą kompozycją. Tylko wy, mistrzu, możecie zrealizować to zamówienie. Nikt inny. Żaden malarz w Antwerpii wam nie dorówna, to pewne.

Chciał go omotać pochwałami? Spadek po Rubensie, pomyślał. Od jakiegoś czasu krążyły słuchy, że Peter dostał zamówienie z królewską zapłatą. Pośrednik miał mu oferować czterdzieści tysięcy florenów, sumę dla zwykłego śmiertelnika niewyobrażalną. Człowiek żyjący nawet na jego poziomie mógł z tą sumą do końca życia rozkoszować się lenistwem.

Dobrze im się kiedyś razem pracowało. Ile lat od tego czasu minęło? Pięć? Chyba tak, nie więcej. Kochał patrzeć na jego drobne palce i ten ruch, zamaszty, gwałtowny, od lewej. Tyle razy widział, jak jednym pociągnięciem pędzla starzec rozcinał płótno, ustawiając tło, perspektywę, zbliżenie. Jak uzupełniał pracę jego albo Cornelisa najcieńszym piórkiem, tak by nadać jej własny, niepowtarzalny charakter.

Czerwcowy pogrzeb Rubensa stał się manifestacją całego miasta, ale to jemu przyznano nie dość, że prawo maszerowania tuż obok rodziny, to jeszcze wykończenia zaczętych przez Petera obrazów. Zawsze myślał o nim

jako o starcu. Nic w tym dziwnego, dzieliło ich przecież aż szesnaście lat. Mimo przyjaźni – cała epoka.

– Dobrze, kiedy płacą ci za robotę, którą lubisz – powiedział ni to do siebie, ni do gościa.

Duchowny popatrzył na niego z niepokojem, jakby te słowa, rzucone przecież bez związku z jego wizytą, świadczyły o nieufności malarza. W gruncie rzeczy trudno by się było mu dziwić. Poprawił pas opinający sutannę.

Jordaens wpatrywał się w jego twarz. Długo, natarczywie. Zanim opuścił wzrok, di Verrua zrozumiał, że jego obawy były całkiem pozbawione sensu. Gdyby nie przysięga, którą złożył, z przyjemnością poinformowałby tego durnia, kto jest zleceniodawcą. Sam przecież przekonywał Marię Henriettę do tego wyboru. Grymaśna królowa, zanim podjęła decyzję, godzinami wpatrywała się w kartony zamalowane przez Jordaensa dla tapiserii.

– Jeśli jest tak dobry, jak mówisz, jedź do niego, excelencjo, natychmiast. – Kiedy podjęła decyzję, była bardziej stanowcza niż ktokolwiek na jej dworze.

– Amor i Psyche. Nieskazitelnie piękna Psyche. Tchnienie. *Omnia vincit Amor*. Urodziwy bożek o twarzy cherubina. Panie, poproś zleceniodawcę o cierpliwość, a sam proś dla mnie Boga o pomoc.

Catharina wzięła dłoń Jordaensa i przytuliła do policzka. Od dziecka oswojona z farbami, terpentyną, płótnem rozumiała jego niepokój. Zwykle, zanim rozpoczął pracę, zanim wykonał pierwszy szkic, chodził rozdrażniony, nie mógł spać, czasami zdarzało mu się nawet krzyknąć na któregoś z uczniów.

– Wszystko będzie dobrze, Jacob.

Wstała, podeszła do okna, wsunęła się między zasłony i kiedy wydało się jej, że nikt nie może tego widzieć, złożyła ręce i zaczęła się modlić żarliwie. Była cztery lata starsza od męża i czuła, że szybkimi krokami zbliża się starość. Gdyby nie dzieci, być może, już dziś brakowałoby jej energii.

Di Verrua westchnął. Nie chciał stwarzać wrażenia, że się niecierpliwi, ale nie był przyzwyczajony do zwolnionego rytmu, leniwego czasu, jaki widocznie obowiązywał w tym domu. Chciał już podpisać dokumenty, taki był wymóg Marii Henrietty, i pojechać do swego przyjaciela, tutejszego biskupa, księcia van Maarwijk. To głównie dla niego tu przyjechał. Łączyło ich coś więcej niż przyjaźń. Czuł się raczej jego bratem niż duchowym przewodnikiem. Mieli wymienić uwagi na temat Ferdynanda, kardynała-infanta, który od pięciu lat z woli Filipa IV jako gubernator rządził niepodzielnie Niderlandami.

Jordaens podniósł kielich i stuknął nim delikatnie w naczynie gościa. Przez chwilę trzymał trunek między językiem a podniebieniem.

– Jeśli Pan Bóg pozwoli dożyć...

– Zachwyciłem się waszym malarstwem, mistrzu, od pierwszego obrazu, którym zobaczył. Nikt tak jak wy nie pokazał kuszenia Marii ani wieśniaków.

– Lud Boży...

– To nie to, mistrzu. Jesteście skromni.

Tak naprawdę wcale nie myślał o nim w ten sposób. Ta ogromna rezydencja, wyposażenie, tkaniny... Czuło się w tym domu nie tyle dostatek, co przepych raczej. Wystawność. Wiedział przecież, że malarz wżenając się w protestancką rodzinę van Noortów, sam był targany

wątpliwościami, więc ta wystawność nijak nie pasowała do skromności, którą wyniósł ponoć z domu.

– Żaden model, wyobraźnia, nie odda tego, panie, co dostrzeże oko. Trzeba chodzić między ludźmi. Widzieć ich wysiłek, cierpienie, rozpustę. Szlachetne twarze są takim samym oszustwem, jak – chwilę szukał właściwego słowa, a nie znajdując go, przygryzł dolną wargę – jak kruk na pustyni. – Ucieszył się, że wybrnął ze słownej pułapki, którą zastawił sam na siebie. Nie chciał wobec gościa uchodzić za nieuka.

Od zawsze lubił jasne kolory. Jeszcze w Het Paradijs, rodzinnym domu, w słoneczne dni biegał za światłem z pokoju do pokoju. Szukał go i zapamiętywał, nakładał farby na drewnianą paletę i rozmazywał plamę tak, aż wizerowała z niej cała gama. To matka, dla której miał tyle szacunku, zdecydowała o jego przyszłości, pielęgnowała talent, zachęcała, pocieszała w chwilach zwątpienia. To chyba dlatego tak pokochał Catharinę, jedyną miłość swego życia. Lubił jej ciało, zapach, lubił, kiedy go całowała i kiedy strzygła mu brodę. Lubił, kiedy siadała mu na kolanach, wpatrując się w jego oczy, lubił jej duże piersi, którymi potrafiła w nocy pobudzić wszystkie jego zmysły.

– Tylko wy, panie? Nikt inny nie będzie się z nami kontaktował?

– Nikt inny, mistrzu.

Skinął głową. Miał trzy miesiące na pierwszy obraz. Dawno nauczył się nie kaprysić. Więcej nawet, zbierał zamówienia, wiedząc, że nie zdąży na czas. Albo inaczej, wiedząc, że nikt inny by nie podołał. To teść nauczył go pracy po szesnastu godzin na dobę. Bez jedzenia, bez chwili oddechu, jakiegoś zaczadzenia płótnem, tym, co się wylania spod pędzla.

Pogładził dłonią brodę. Zawsze o tym marzył, chciał być pierwszy, zyskać sławę, która przetrwa przez wieki. Gdyby nie van Dyck, po śmierci Petera, bez wątpienia cieszyłby się sławą największą wśród największych. Wprost uznano by go za jego następcę.

Nawet nie zauważył, kiedy żona stanęła tuż za nim. Oparła dłonie na jego barkach. Tyle razy próbował ją sportretować. Choćby z rozpustną Amalteą.

– Podpiszcie – di Verrua podsunął mu pergamin, który chwilę wcześniej rozwinął.

Wziął go do ręki, choć nie zamierzał czytać uważnie. Szybko przeczucił wzrokiem łaciński tekst, w którym pełno było dat, dokładnych opisów treści i formatów przyszłych dzieł. Jesteś zwykłym rzemieślnikiem, jak szkutnik, jak cieśla, pomyślał. Na nich często zawisa czyjeś życie, a on, cóż on? Daje zamożnym chwile chwały, kiedy mogą wpatrywać się w swoje albo cudze oblicza. Nic więcej.

Catharina podała mu pióro. Złożył zamaszysty podpis. Dzieło życia, które zniknie w jakimś pałacu i którego nie ujrzy nikt, prócz bogacza, tak zamożnego, że stać go na ten zbytek. Gdzieś je schowa, oswoi ze ścianami, a jeśli będzie chciał, komuś daruje lub wyrzuci na śmietnik.

– Zjecie, panie, z nami kolację? – Catharina była świetną nie tylko matką, kochanką, doradcą, ale i gospodynią.

Cesare di Verrua popatrzył na nią swoimi czarnymi jak węgiel oczyma w taki sposób, że poczuła mrowienie przechodzące po całym ciele – od czubka głowy aż po pięty. Było w tym spojrzeniu cielesne łaknienie. Czowała, jak rozbiera ją wzrokiem, jak stara się pobudzić w niej wszystkie dawno zapomniane tęsknoty. Lubiała, kiedy stanowczy mężczyźni mieli w sobie odrobinę szaleństwa. Odpowie-

działa mu równie wyzywająco, co wywołało na jego twarzy nerwowy odruch zdziwienia. Rzadko która kobieta w jego obecności pozwalała sobie na taką śmiałość. Od lat przyzwyczajony był do tego, że spełniano każdy jego kaprys, ale żona Jordaensa nie zamierzała poddawać się tym zachciankom. Co więcej, sądziła, że góruje siłą woli nie tylko nad Jacobem, ale i nad gościem.

Przenieśli się do jadalni. Ze ścian spoglądały na nich rubaszne twarze wieśniaków i półnagich niewiast z niemowlętami u piersi. Obrazy były w ciężkich, prostych, dębowych ramach. Nawet w tym ogromnym pomieszczeniu przytłaczały swoją wielkością. Przy całej swej wiedzy di Verrua z trudem odgadywał tajemnice warsztatu mistrza.

Dwie służące w kilka minut zapełniły stół jadłem. Zdziwił się, widząc, że gospodarz zasiada do niego bez zmiany przyodziewku. Oplukał jedynie dłonie w misie podsunętej przez żonę.

Rękoma odłamywali z półmisków przyrumienione skrzydła drobiu, pełne niewielkich chrząstek i kości, i odkładali na bok, zapewne dla domowych psów, które widział przy wejściu. Włoch nie lubił tak tłustego jada, ale gospodarzom wyraźnie ono smakowało. Nie zwracali na niego uwagi. Głośno mlaskali, zdarzało im się też beknąć i odchrząknąć, gdy kostka, nim upadła na stół, stanęła im w gardle. Zamiast serwetami obcierali usta rękoma, które zaraz potem moczyli w wodzie. O czym miał z nimi rozmawiać? Gdyby nie obrazy, musiałby ich uznać za ludzi prostych, przeraźliwie prostych. Tak jak kardynał-infant Ferdynand, który mówił o Flamandach, że żyją jak bydłota. Z drugiej strony, ilu było takich, którzy mogli dorównać mu wykształceniem?

Służąca dołała im wina. Jordaens uświadomił sobie nagle, że Magdalena, Hiszpanka z Sewilli, służyła u nich już ponad dwadzieścia lat. Miała zwinne ręce zwieńczone długimi palcami. Czasami wołał ją do pracowni i kazał układać je na ciele w różny sposób. Początkowo nieufna, z czasem przywykła służyć za model i jakby nawet polubiła to zajęcie. Ze śmiechem próbowała zajrzeć mu w obraz, ale odganiał ją jak natrętną kotkę. Druga ze służących, prawie dwadzieścia lat młodsza od Magdaleny Lysbeth, miała w sobie znacznie więcej życia, ale i mniej umiała. Zdarzało jej się, co tak bardzo irytowało Catharinę, postawić naczynia nie na swoim miejscu albo wdać się w długą, przypominającą flirt pogawędkę z Jonasem, stajennym chłopakiem z twarzą podziurawioną ospą.

– Opowiecie coś o Italii? – Catharina przypomniała sobie o gościu.

– Cóż opowiadać? Papiery, manuskrypty... Siena, biblioteka Piccolomini, święty Augustyn, Abelard, Tomasz z Akwinu. Więcej we mnie poszukiwacza przeszłości, wszystkich sprzeczności życia niż zainteresowań doczesnych.

– A papież? – Catharina miała swój pogląd na katolików i głowę ich Kościoła. Pogląd niezupełnie zbieżny z odczuciami męża, a już z pewnością odmienny od przekonań gościa.

– Widziałem Ojca Świętego pół roku temu. Papież Urban to wielki człowiek. Miłośnik sztuki. Słuchałem jego wierszy...

Nie był już głodny. Wizyta w nowej rezydencji papieskiej w Castel Gandolfo była dla di Verrua czymś więcej niż tylko spotkaniem z przełożonym. Stary papież nie czuł się dobrze. Doskwierały mu duszności, a ponadto –

zdradził mu to papieski medyk – w jego kale co i raz znajdowano krew. Rzadko kiedy papież pytał o cokolwiek swoich kardynałów... Ale tym razem targwały nim wątpliwości co do watykańskiego majątku.

– Gdybym jeszcze raz mógł nim rozporządzać, żaden z moich braci, żaden z ich synów nawet by się do niego nie zbliżył.

Papież zaklinał się, że kierowały nim zbożne pobudki.

– Ktoś mówił – Jordaens wymawiał każde słowo dokładnie, jakby chciał uświadomić swojemu gościowi ich wagę – że Barberini zagarną całą władzę, z nikim się nią nie podziela, że gotują się do wojny o Castro...

Więc nawet tu dotarła zła sława papieskich braci? Ach, jakże żałował tego podziału w Kościele, jakże się modlił o cud czystości, o skromność i o pojednanie.

– Castro jest przynależne Ojcu Świętemu. Odoarno Farnese od dawna nie płaci długów. – Nie chciał powiedzieć nic złego na papieża Urbana. – Wszystkie te plotki roznoszą złe języki. Papież nie dopuści do rozłamu. Świat, Francja, Hiszpania, Habsburgowie, Szwecja, trzeba mieć do tego wielką głowę. Co więcej, prawo jest po jego stronie.

Sam nienawidził Richelieu i nie widział niczego dobrego w jego działalności. Tak, Maria Henrietta, Londyn, dobrze wiedzieli, z kim mają do czynienia. Z drugiej strony o ileż lepszy był krótki pontyfikat papieża Grzegorza...

– Ojciec. – W drzwiach stał wysoki chłopiec, może piętnasto-, może szesnastoletni.

– Chodź, chodź. Panie, przedstawiam ci mego syna.

Młody Jacob uklonił się i stanął nieśmiało za matką. Był wysoki, wyższy od ojca prawie o głowę. Lekki zarost poczercił mu już policzki. Czekał, aż ktoś z dorosłych

pozwoli mu usiąść do stołu. Matka gestem dłoni wskazała jego miejsce. Jadł szybko, jakby na to zajęcie brakowało mu czasu.

– Jacob jest twoim uczniem, mistrzu?

Jordaens skinął głową. Bał się, że będzie złym nauczycielem dla syna, że nie potrafi przekazać mu całej swojej wiedzy. O ileż lepszym przewodnikiem był van Noort. Tył mu zawdzięczał. Był cierpliwy i wyrozumiały. Potrafił godzinami korygować błędy, które dzisiaj wywołałyby na jego twarzy grymas zażenowania. Przyciągali się jak dwie gwiazdy. A mimo to nigdy, nawet po wyzwoleniu, nie przekroczył granicy, która oddziela ucznia od mistrza. Nawet kiedy zostali rodziną, wciąż czuł się jak uczeń.

Magdalena znów naląła im wina. Od jakiegoś czasu widział, w jaki sposób spogląda na nią młody Jacob. Zaśmiał się w duszy. Podobnie jak jego interesowały go tylko starsze kobiety. Czego się można uczyć od podlotków?

Nie słuchał księdza. Korespondowali ze sobą kilka miesięcy. Miał pewność, że di Verrua występuje w imieniu którejś z koronowanych głów. Trochę go irytowała ta tajemniczość. Gdyby nie Catharina, być może dalej odwlekałby tę wizytę? Ufał ludziom ponad miarę. Gdyby nie jej ostrożność, zapobiegliwość...

– Krążąc między zakonami, studiując zapisy w księgach metrykalnych, potykając się o zagadki...

Widział te figlarne ogniki w oczach żony. Nigdy nie czuł, że inny mężczyzna mógłby ją zaciekawić. Zwłaszcza ksiądz. A jednak, w ułamku sekundy zauważył, jak rodzi się w nim niechęć. Popatrzył na sygnet zdobiony małym palcem lewej ręki Włocha. Delikatny. Taki, jaki nosi się nie dla ozdoby, ale by podkreślić własną pozycję.

Śnieżnobiałe mankiety i kołnierzyk wywinięte na zewnątrz sutanny uwypuklały jego śniade oblicze.

Catharina kiwała głową. Rzadko kiedy przerywała wypowiedź gościa pytaniem. Od wypitego trunku poczerwieniały jej policzki. Wino rozluźniało ją, pozwalało nabrać pewności siebie. Zawsze była ciekawa ludzi, może dlatego ciągle przez ich dom przewijały się ich setki. Uwielbiał chodzić z nią nad Skaldę, do portu, między handlarzy. Zagłębiała rękę w rozciętego w poprzek dorsza, badając, czy jest wystarczająco tłusty. Ręce poplamione krwią wycierała w słomę i śmiała się do niego tym swoim śmiechem, którym go zniewoliła od pierwszego spotkania.

Di Verrua wytarł usta i dłonie w serwetę. Delikatnie odchrząknął, aby zwrócić na siebie uwagę, i podniósł się od stołu. Postanowił nie przedłużać wizyty. Zwłaszcza że czekający na niego w katedrze van Maarwijk musiał się już niepokoić. Podziękował gospodarzom za gościnę.

Jordaens odprowadził go aż do powozu. Ksiądz uczynił nad gospodarzem znak krzyża. Nie wiedział, czy błogosławi jemu, czy tylko modli się o wypełnienie kontraktu. Wszystko jedno. Był zmęczony, czuł, że powinien już odpocząć. Będzie musiał rano wstać. Chciał od świtu przy dobrym świetle zasiąść do kartonów. Tkacze już od miesiąca czekali na jego malunki.

Wymoczył nogi umęczone godzinami stania przed sztalugami. Chętnie wyszedłby jeszcze do miasta. Antwerpia wciąż była cudownym miejscem, w którym nie tylko bogacz, ale i drobny rzeźmieszek mógł znaleźć swoje, tylko swoje miejsce. Twarze oglądane w półcieniach rzucanych przez pochodnie miały w sobie czar, który przyciągał go jak ćmę do światła. Lubił zagłębiać się w zaułki, między warsztaty rzemieślników, baby z ko-

szami bielizny, rozwrzeszczane dzieci. Umiał to wszystko jak nikt inny przenieść później na płótno. Jego ewangelisci mieli przecież ich twarze, szerokie usta, pomarszczone czoła, wielgachne nosy i nierówno przystrzyżone brody. Otarł nogi i uznał, że jest jednak zbyt zmęczony, żeby gdziekolwiek jeszcze iść.

Zapał w krótką drzemkę. Przyśnił mu się łuk triumfalny przy Huidevettersstraat. Termin to było szaleństwo. Pracowali w śniegu, przy temperaturze bliskiej zera, przy rozpalonym ogniu. Zobaczył nagle przerażoną twarz Corneliusa de Vosa, który poślizgnął się, przeleciał przez balustradę rusztowania i zawisł bezwładnie kilka metrów nad ziemią. Zdażyli na czas, wszyscy podziwiali kunsztowne malowidła, nawet Rubens był zadowolony, ale on sam odchorował tę pracę zapaleniem płuc.

Nie otwierając oczu, poczuł układającą się obok niego Catharinę. Wystarczyło, żeby go dotknęła, a już odczuwał podniecenie. Z reguły powstrzymywała jego czułości, ale dziś sama pospieszyła z odszukaniem jego nabrzmiałego członka. Posapywała jak szczeniaczek walczący z innymi psiakami o sutki matki. Jęknęła, a on w obawie, że ją uraził, przesunął się na bok, ale przyciągnęła go, wsunęła jego ręce pod własne pośladki i zaczęła unosić się razem z nim do góry i na dół, do góry i na dół. Później szepnęła, żeby jeszcze poczekał, ścisnęła palcami jego przyrodzenie i zaczęła całować namiętnie.

A kiedy było już po wszystkim, zobaczyła nie Jacoba, ale ich dzisiejszego gościa, otulonego w czarną sutannę Cesare di Verrua, watykańskiego dyplomatę, jak pochyła się nad nią i delikatnie całuje jej rozgrzane podbrzusze. Bezwiednie skierowała tam lewą rękę i zaczęła przesuwać do dołu i do góry, ale tak nieznacznie, że Jordaens,

przytulony, a raczej wtulony w nią, niczego nie dostrzegł, nie poczuł. Kiedy ochłonęła, zaczęła sobie wyrzucać grzeszne myśli. Modliła się dłuższą chwilę.

– Jacob – szepnęła, ale jej mężczyzna, utrudzony całym dniem, zamiast odpowiedzieć, jęknął tylko, jakby odganiał dręczące go koszmary.

Była szczęśliwa u jego boku, niczego jej nie brakowało. Od kiedy władze ustanowiły go starszym cechu świętego Łukasza, nikt nie odważył się kwestionować jego dokonań. Tak naprawdę zresztą nikt ich nie kwestionował od czasu wyzwolenia na mistrza. Już jako waterscilder imponował warsztatem. Ukochaną temperą mógł zrobić każdy projekt, każdą nawet najmniejszą dekorację. Mieli trójkę pełnych radości i talentów dzieci, byli bogaci, mogli sobie pozwolić na wiele fanaberii niedostępnych innym. Imponowała damom bogactwem strojów, biżuterią, domem pełnym przepysznych niespodzianek. Zamówienie, które przywiózł Włoch, jeszcze bardziej nobilitowało Jacoba. A jednak czegoś jej brakowało. Często myślała, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby zamiast Jordaensa wybrała innego z uczniów ojca. Na przykład Hugona van Elsta. Też przecież się w niej kochał. Kiedyś ukradkiem dała mu się pocałować i mało brakowało, a w zaciszu stajni dopuściłaby się grzechu śmiertelnego.

Z niepokojem wsłuchiwała się w oddech męża. Doskonale wiedziała, kiedy nie czuł się dobrze. Z trudem łapał powietrze. Przelykając ślinę, krztusił się i charczał. Delikatnie położyła rękę na jego czole. Był rozpalony. Wstała i poszła do kuchni.

Nawet nie zauważyła, kiedy Lysbeth stanęła tuż za nią. Kazała jej przygotować kompresy. Dziewczyna spojrzała na nią swoimi wielkimi oczyma.

– Co się stało? – zapytała, zanim sięgnęła po złożone w spiżarni lniane ściereczki.

Wzięła od niej misę z wodą i kazała wracać do sypialni dla służby. Nigdy nie pozwalała nikomu opiekować się chorymi z własnej rodziny. W tym zakresie ufała tylko sobie. Była przekonana, że mieszkający z nimi ojciec dożył późnej starości tylko dzięki niej. Miała pięćdziesiąt jeden lat. Ponad pół wieku, pomyślała. Pan Bóg dał jej długie, szczęśliwe życie.

Zamoczyła szmatki w wodzie, a potem starannie wyżyła. Zanim położyła je na czole Jacoba, chwilę patrzyła na jego rozpaloną twarz. Przyszło jej do głowy, że to kara za jej grzeszne myśli, ale szybko odrzuciła to przypuszczenie. Kiedy musiała działać, chronić swoją rodzinę, nie było dla niej nic ważniejszego. Gdyby musiała o nią walczyć z Bogiem, nawet z nim, nie wahałaby się ani chwili. Przypomniała sobie chorobę Elisabeth, ich najstarszej córki, chorobę, która o mały włos, a zakończyłaby się nieszczęściem.

Jordaens otworzył oczy i popatrzył na nią nieprzytomnie. Długo wpatrywał się w jej twarz, jakby nie poznając.

– Jesteś chory, Jacob.

Chciał coś powiedzieć, ale zaczął gwałtownie kaszleć. Z kącików ust pociekła mu ślina. Nie miał najlepszego zdrowia, często bywał przeziębiony, rzadko kiedy jednak poddawał się chorobie i na dłużej niż dzień, dwa pozostawał w łóżku.

– Śniło mi się, że latam – powiedział, kiedy oprzytomniał. – Miałem skrzydła, machałem nimi i leciałem. Jak Leonardo...

Kazała mu milczeć i choć przez chwilę się buntował, coś tam jeszcze buczał, znów zapadł w sen. Czuwała

przy nim przez kilka godzin. Przykładała mu do czoła, policzków i szyi zimne kompresy, aż poczuła, że gorączka spada, a jego oddech wyrównuje się i uspokaja.

Położyła się wreszcie i w tej samej sekundzie zasnęła. Kiedy trzy godziny później otworzyła oczy, odruchowo poszukała jego ręki, a nie znalazłszy, usiadła gwałtownie i rozejrzała się dookoła. Ten szaleniec jak każdego ranka, mimo choroby i świąt, musiał się poderwać do pracy. Światło było dla niego ważniejsze od zdrowia. Zarzuciła na siebie nocną pelerynę i z gołymi nogami obutymi w drewniane chodaki poszła do pracowni. Jacob nie usłyszał, kiedy weszła. Siedział zamyślony przed sztalugą. Zagruntowane płótno czekało na pierwszy jego ruch. Wiedziała, że nie powinna mu przeszkadzać, i choć drżała o niego, wyszła, bezszelestnie zamykając drzwi. Nikt mu nie będzie dziś przeszkadzał aż do wieczora.

Wpatrywał się w pobielone płótno. Miał w głowie jakieś wyobrażenie, pierwsze widzenie tego, co powinno się na nim znaleźć. Wbrew obawom Cathariny wiedział, że nocna gorączka nie została spowodowana chorobą. Ciśnienie, jakie go ogarniało, kiedy zaczynał pracę nad nowym obrazem, miało czasami takie skutki. Czuł podniecenie pomieszane z niepokojem. Umoczył pędzel w naczyniu do połowy wypełnionym gęstą, źle rozcieralną farbą. Z pewnym trudem pokrywał nią płótno. Próbował przyporządkować jakiejś konkretnej postaci twarz Wenery, matki Amora. Dziki bożek, lekko odchylony do tyłu, jeszcze niepewien swej urody, jeszcze zakłopotany, z rozleniwieniem wpatrujący się w matkę, jakby pytający o możliwości i prawa przypisane takim, jak on. Bez obaw prezentujący swoją cielesność. Przyszła mu do głowy pijana Bluth, gospodyni proboszcza od Świętego Pawła.

Widział ją zataczającą się po jakimś święcie. Uchwycił w jej twarzy błysk, może to dzięki słonecznemu promieniowi, który oświetlił ją inaczej niż wszystkie inne zgromadzone tam kobiety. Widział spojrzenia mężczyzn, w których nie było zgorszenia, raczej pożądanie, chęć skorzystania z tego ciała rozpasanego, wulgarnego. Bluth uwieszała się u ich ramion, chwiała, zataczała. Nawet stary ksiądz Antonio nie potrafił przywołać jej do porządku. Jeden z mężczyzn sięgnął pod ciasno opinającą ją suknię. Odepchnęła go, ale ze śmiechem, bez złości. W jednej chwili zrozumiał, że nie musi już szukać. Niezbyt często zdarzało mu się z taką wyrazistością widzieć twarz, którą chciał przenieść na płótno. Tak było z Marią Magdaleną, z Adrasteą, z Dianą.

Zawsze rozpoczynał od szczegółu, z niego wychodził, wokół niego budował. Więc jakieś zwierzę, pies albo koza, jakieś drzewo albo róg. Dzięki van Noortowi nigdy nie miał kłopotów z równomiernym rozmieszczeniem postaci ani z perspektywą. Zaczął i w tej samej chwili nie musiał już myśleć, jakby ręce przejęły przewodnictwo w tej dobrze naoliwionej maszynie.

Nagle stanęła mu przed oczyma młodsza siostrzyczka Magdalena. Beginka. Bege, kolor niefarbowanej sukni, brak koloru. Długo mu tłumaczyła związek między pobożnością a ascezą, ubóstwem. Trudno znosił jej argumentację o zaprzędaniu się bożkowi pieniądza. Razem z drugą siostrą niosły pomoc potrzebującym. Nie chciały się pogodzić z tradycyjną rolą kobiety. Często im dokuczał, przywołując bullę Klemensa. Unosił wtedy palec do góry i jak budzący lęk prałat ze śmiechem wykrzykiwał groźby i przepowiednie ognia piekielnego dla heretyków.

Wierzył w Boga stwórcę, a jednak nie potrafił się do niego zbliżyć, tak jak pozostała czwórka rodzeństwa. Catharina została tercjarką, a Abraham augustianem. Też żebrak. Skąd ta cnota, udręczenie, umartwienie? Może gdyby nie Catharina sam poszedłby tym tropem? Albo gdyby nie talent. W tej samej sekundzie skarcił sam siebie za pychę.

Odmówił modlitwę, której uczyła go matka w dzieciństwie. Nie potrzebował do niej klękać. Wystarczyło brodeń oprzeć o piersi i powtarzać słowa: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie” i wyznać mu grzechy, prosząc o wybaczenie.

Rzadko widywał rodzeństwo. Wszyscy podziwiali jego sprawne dłonie, ale nie widzieli w tym oddania Bogu. Tyle kościołów wymalował, tyle kaplic, tylu świętych... Mógł przecież malować portrety. Takie jak Velázquez, malarz hiszpański. Kiedy ujrzał je parę lat temu, nie mógł wyjść z podziwu dla precyzji ręki, szczegółu. Jakby kaprysu. Chętnie zobaczyłby go przy pracy. Te koronki, zbroje, grymasy na twarzy. Kiedy tego potrzebował, kazał któremuś z uczniów przywdziewać suknie Cathariny. Tak długo się w nie wpatrywał, aż dostrzegł najdrobniejszą fakturę materiału, każdą niemal szczelinę, przez którą przepływało powietrze, lśnienie, głębię barw.

Na chwilę zatrzymał pędzel i pokiwał głową. Czasami zdarzało mu się w myślach przywoływać innych malarzy. Nie zazdrościł im talentu, nie miał wobec nich kompleksów. Może jedynie wobec Petera...

Znów malował. Biele, dawno zrozumiał, że kolory tak naprawdę można rozróżniać na setki sposobów. Czasami niedomyty pędzel dawał lepsze efekty niż starannie mieszane farby. Był przywiązany do sposobów, sztuczek, iluzji, sekretnej wiedzy, receptur, których na-

uczył się w młodości. Z irytacją patrzył na dzieciarnię przyprowadzaną do pracowni po naukę. Wszyscy mieli talent, ale on ich talent miał za nic. Wiedział, że nieoparty pracą wypali się jak szczapa w piecu i nikt się w nim nie ogrzeje. Wierzył w pracę, w nią jedną. Zdarzało mu się usunąć ucznia z pracowni i nigdy się nie pomylił. Nawet jeśli szli do innych po naukę, prędzej czy później kończyli tak, jak skończyć musieli. Wśród tysięcy malarzy w Niderlandach to jego szukano, jemu powierzano tych, którzy jak on odnajdywali coś więcej niż tylko sławę.

Catharina zajrzała do pracowni. Uderzył ją ostry zapach zwierzęcego kleju, jakim pokrywano płótno. Minęło południe, a Jacob nic dotąd nie zjadł. Gotowa była prosić o złamanie ścisłego postu. Martwiła się o niego. Bała się ciągłych migren czyniących zeń bezradne dziecko. Próbowała walczyć z jego nałogami, z pracą, w której zapomniał o wszystkim. Zanim go objęła, poczuł jej zapach. Święteczne przygotowania powodowały, że przesiąkła kaparami, oliwkami, zapachami imbiru, pieprzu, gałki muszkatołowej, goździków i innych przypraw. Pocałował ją w rękę. Wiedziała, że nigdy nie objął innej kobiety, że grzeszną myślą nie wypełnił głowy. Zajmowała całą jego życiową przestrzeń.

– Odpocznij – poprosiła szeptem, jakby zdradzała mu ściśle zastrzeżoną tylko dla nich tajemnicę, jakby ktoś mógł ich tutaj podsłuchać, zabrać uczucie, które ich wypełniało.

Kiwnął głową, ale zanim odłożył paletę, jeszcze pociągnął pędzlem, domalowując jakiś – dla zwykłego śmiertelnika zupełnie niewidoczny – szczegół. Przez chwilę tłumaczył jej swój zamysł, kompozycję, rozmieszczenie po-

staci, których przecież jeszcze nie było. Później zaczął wycierać dłonie w szmatę, wetkniętą za cholewę buta.

Lubiła go słuchać. Miał ciepły głos, którym raczej uspokajał, uciszał, niż wywoływał emocje. Nawet kiedy zagłębiał się w swój warsztat, kiedy tłumaczył zawiłości laserunków, strugania deski, półtony w kolorach, wydawało się to ciekawe, frapujące. Posiadał dziwny dar zjednywania sobie słuchaczy. Nigdy nie nudziła się w jego towarzystwie. Może wynikało to z tego, że starała się nie narzucać, nie absorbować sobą. Wiedziała, kiedy może go zająć swoimi sprawami, domem, dziećmi, a kiedy powinna się raczej wycofać, nie przeszkadzać.

– W nocy wspominałeś, że śniłeś o lataniu, pamiętasz?

– Mówią, że ziemia jest okrągła, ale z góry tego nie widać. Czuję falowanie powietrza, wiatr sam mnie niósł. To było przyjemne, nawet bardzo przyjemne uczucie. Galileusz...

Nie skończył, objął ją w pasie i przytulił. Nie chciał zaśmiecać jej głowy tym, czego nie mogła zrozumieć.

– Kto to jest Galileusz? – Obiło się jej to nazwisko o uszy, słyszała jakieś spory, ale nie było w niej chęci poznania szczegółów, pytaniem raczej chciała sprawić mu przyjemność.

– Nikt, nikt.

Czasami miała wrażenie, że jego myśli krążą gdzieś daleko, że coś do niej mówi, a chwilę potem nie pamięta już o tym. Jak każdy artysta był trochę w sobie zaparty. Nie raziło jej to, raczej odwrotnie, od wielu lat utwierdzała go, że jest tym najlepszym, że nawet Rubens niewiele może mu przeciwstawić. Gładził ją wtedy po policzkach, uśmiechał się i zamykał jej usta.

– Nie, nie, Catharino. Trzeba go było zobaczyć przy pracy.

Co z tego? Wszyscy najwięksi od śmierci Petera widzieli w nim kontynuatora. A on, przecież czuła to, miała pewność, wyrastał ponad mistrza i przyjaciela.

– Jacob, dziś Wigilia. Niedługo trzeba będzie siadać do stołu. Ojciec jest już gotów. Wypytywał o ciebie. Mówi, że to grzech pracować dzisiaj.

Co miał powiedzieć? Grzech? Stary van Noort mieszkał z nimi już od kilku lat. Po śmierci żony zamknął się w sobie i długo musieli go przekonywać do przeprowadzki. Malował w pokoju, w którym spędzał całe dni, ale – widzieli to wyraźnie – nie sprawiało mu to takiej przyjemności, jak kiedyś. Tracił pamięć, zdarzało mu się zapomnieć imion któregoś z domowników albo służby. Starał się nie czynić swoją osobą kłopotu, nie zrażać swoimi problemami, schodzić wszystkim z drogi. Namawiali go, żeby wziął sobie ucznia, kogoś do pomocy, żeby pokazał mu swój warsztat, ale machał tylko ręką. Nie miał już do tego głowy.

Zaraz święta. Może faktycznie nie trzeba było przyjmować di Verrua? W przeddzień Wigilii nie powinno się rozmawiać o pieniądzach. Z drugiej strony – jak miał odmówić?

Wzięła od niego pędzle i zaczęła wycierać. Zanim spostrzegła, całe ręce miała pobrudzone.

– Zostaw – poprosił.

Poszli do łaźni. Catharina, jak rzadko kto, dbała nie tylko o porządek w domu, ale i o czystość ich ciał. Była nawet z tego powodu wyśmiewana przez sąsiadów. Kazała nalać wrzątku do balii. Patrzyła, jak się rozbiera, jak starannie układa ubranie. Niewielkie fałdy tłuszczu opa-

sywały mu brzuch. Zobaczyła też siwiznę wokół przyrodzenia. Garnuszkciem dolewała zimnej wody i sprawdzała ręką. Wreszcie uznała, że może już do niej wejść. Pchnęła go lekko. Zanurzył się cały, z głową, i tylko podkurczone kolana wystawały na zewnątrz. Czekala, aż się wynurzy. Prychał i chlapał dookoła. Miała wrażenie, że w kąpieli ulatują z niego wszystkie złe myśli nagromadzone tam w ciągu tygodnia.

Stał, a ona całego go mydliła, myła jak matka dziecko. Bo i czasami była dla niego matką. Tarła plecy, aż się zrobiły czerwone, potem odwróciła go przodem do światła i zrobiła to samo z rudo owłosionym torsem. Sięgnęła między nogi i bez wstydu obmyła członek. Kazała usiąść i szorowała nogi od stóp aż do kolan. Na piętach miał zrogowaciałą skórę, która płatami oddzielała się przy pierwszym potarciu. Wcierała mu w stopy oliwę i maść, którą przygotował cyrulik.

Zdjęła z pieca prześcieradło i otuliła go nim starannie. Kazała stanąć obok rozżarzonej płyty. Bała się nawrotu choroby. Poszła po czyste ubranie. Ze śmiechem przegnała spode drzwi obie służące. Czasami wydawało jej się, że w oczach Hiszpanki dostrzega coś więcej niż tylko przywiązanie do Jacoba. Przeżegnała się i odrzuciła grzeszne myśli. Kazała zastawiać stół do wieczery. Ogolila go jeszcze brzytwą, którą wyostrzyła na skórzanym pasie zwisającym z deski przytwierdzonej do ściany drewnianymi kołkami z rzeźbionym zwieńczeniem. Miał ostry zarost. Wystarczyło, że nie ogolił się dwa, trzy dni i robił się już z tym problem. Policzki zarastały mu prawie do oczu. Potem raz-dwa sama zanurzyła się w balii. Woda nie była już zbyt ciepła.

Zanim przeszli do jadalni, Lysbeth wprowadziła jakiegoś żebraka, który przesiadywał od południa w kuchni. Cuchnął i utykał na lewą nogę. Każdego roku siadał z nimi do stołu nieznanomy. Sprowadzał ich Jonas, wyszukawszy uprzednio gdzieś w porcie albo na targu. Mężczyzna równie dobrze mógł być w wieku gospodarza, jak i starszy od niego o lat dwadzieścia. Długa zmierzwiona broda zwisała mu aż do pasa. Kubrak, który go okrywał, jak strupy zablizniały cery i łąy.

Mężczyzna mówił niewyraźnie. Przywędrował do Antwerpii z Aalst, gdzie służył w kolegiacie St. Martin. Jordaens nie dopytywał o szczegóły. Miał wrażenie, że do miasta schodzą się nieprzebrane tłumy takich nieszczęśników. Odesłali go do łaźni. Wciąż można było wykorzystać wodę po jego i Cathariny kąpieli.

Bus, gość przyprowadzony przez stajennego, tak jak wszyscy van Noortowie, był protestantem. Sztywny podział rodziny stwarzał czasami problemy. Tylko dzieci i Jacob chodzili do spowiedzi. Czasami nad tym ubolewał, czasami miał wrażenie, że bliżej mu do żony i tej części społeczeństwa, której wiara plenila się niczym chwast na polu w wyzwolonych Niderlandach.

Modlili się w ciszy, w powadze. Stary mistrz odczytał po łacinie fragment księgi Genesis: *Nasadził też był Pan Bóg sad w Eden, na wschód słońca i postawił tam człowieka, którego był stworzył.* Zanim usiedli, Jordaens szepnął do samego siebie: *ave Maria gratia plena.*

Patrzył na zgromadzonych domowników, rodzeństwo jego i żony, służbę, gości. Wszyscy byli w tym dniu równi sobie. Widział w nich całe bogactwo świata. Jego różnorodność, brzydotę pomieszaną z pięknem, młodość ze starością, zamożność z biedą. Pomyślał o zmarłych

w dzieciństwie braciach i siostrach, o przemijaniu, odchodzeniu, o pamięci. Tydzień wcześniej w padającym śniegu, w wietrze, który zrywał kapelusze z głów, stał nad grobem ojca w Onze Lieve Vrouwekerk. Dwadzieścia dwa lata po śmierci wciąż świetnie pamiętał jego dobrą twarz. Przypomnił sobie, jak wsuwał mu w dzieciństwie w wyciągniętą dłoń połupane orzechy. I tę chwilę krótkiego szczęścia po kupnie domu i zaraz potem łzy matki, jakieś słowa, które do niej nie docierały, kościół Najświętszej Marii Panny wypełniony ludźmi, szepty, dziesiątki świec, trumnę bogatą, jakby ten splendor z pogrzebu mógł mu oddać szacunek należny za życia.

Przelamywali się chlebem cienko skrojonym, jak przystało, przez gospodarza. Nie czuł głodu, kierowało nim raczej przyzwyczajenie do jedzenia. I nawet wtedy sprawiało mu radość zapamiętywanie. Uchylone usta, ukruszony ząb, szerniałe podniebienie. Każdy szczegół, który mógł później przenieść na płótno, na deskę albo na papier.

Lysbeth odziana w nową suknię, z rękoma bez śladu sadzy czy kurzu zaśmiała się z jakiejś opowieści młodego Jacoba. Często go przytulała. Miał wrażenie, że syn ma większe zaufanie do niej niż do rodziców.

Anna Catharina zaśpiewała kolędę. Miała głos jego matki. Wysoki sopran zupełnie nie pasował do skromnej postury. Najpierw zamilkli, a potem przyłączyli się do śpiewu. Z powagą może nawet zbyt wielką. Z drugiej strony Męka Pańska, to o niej myślał w czasie tego święta, nigdy nie skłaniała go do radości.

Bus jadł łapczywie. Kobiety nakładały mu na talerz, a on, jakby nie czując smaku potraw, objadał się, odkładał na zapas, dodawał sił. Budził ciekawość, ale dobre

wychowanie skłaniało biesiadników do powstrzymania się od pytań. Kiedy wreszcie zaspokoił głód, spojrzawszy ciekawie na ścianę, przeżegnał się i wskazał na jeden z obrazów. Biskup Paryża trzymał na nim w rękach własną głowę.

– Panie – zwrócił się do gospodarza – bardzoście odeszli od świętego Pawła.

Przez chwilę zastanawiał się, czy to możliwe, aby ten obdartus, biedak i przybłęda był w stanie odróżnić miejsce kultu z całą jego prostotą, bez ozdób, obrazów, figur z czasów apostoła od współczesnego domostwa, ze wszystkimi zmianami, które na przestrzeni wieków oddzieliły Kościół z całym jego sztafażem od wiernych z ich potrzebą czczenia, oddawania hołdu, z pokorą, w której przyjmowali to, co nieuchronne.

– Bałwochwalstwo.

W jednej chwili zrozumiał, że Bus nie jest tym, za kogo go brali.

– Pan Bóg nie wymaga od nas pochwał. Bliższe są mu oddanie, współczucie, gołe ściany, w których nasze myśli nie będą od niego uciekać.

Co miał mu przeciwstawić? Potrzebę radości? Ukwiecenia życia? Bus musiał być jednym z wędrownych kaznodziejów szukających porozumienia z Bogiem poprzez umartwienie, ascezę, powściągliwość, której folgowali wyłącznie podczas świąt. Od blisko wieku Antwerpia pełna była takich jak on. Niektórzy po oddzieleniu Niderlandów od Korony szukali zrozumienia w nowym Kościele, inni, nawiązując do potrzeby krzewienia wiary, nawracania, odganiania przez księży, przekonywali, chodząc po domach, zwracając uwagę, cytując *Pismo Święte*.

Catharina kiwała głową, choć wiedział przecież, że nigdy, za nic w świecie nie odrzuciłaby ani jego, ani ojca obrazów.

– Bałwochwalstwo, powiadacie?

Wiedział, że nie zawsze to, co Catharina mówi, zgodne jest z tym, co myśli. Często zadając pytania, pokpiwała sobie, nie dając jednak odczuć rozmówcy, że jest od niego mądrzejsza, dojrzała, bardziej gospodarna i zapobiegliwa.

Nie słuchał więcej przybłedy. Stanął nad młodszą z córek i pogładził ją po włosach. Przypominała mu urodą i gestykulacją matkę. Jak ona będzie miała szerokie ramiona, talię, która bez problemów pozwoli jej urodzić gromadkę dzieci, i twarz, którą oczaruje wielu mężczyzn. Cieszył się na to jej przyszłe szczęście. Popatrzyła na niego uważnie.

– Będziemy malować? – szepnęła, jakby byli współnikami w jakimś niecnym przedsięwzięciu.

Kiwnął głową. Rodziła się w niej kobieta, widział lekkie wybrzuszenie na piersiach, tuż obok kokardy zdobiącej nową suknię z niewielkim dekoltem, szytą specjalnie na święta. Paradowała w niej niczym dama, dygała, przechylała się to na jedną, to na drugą stronę, zalotnie zagadywała starszych, niby niechcący ocierała się o nich i pytała o rzeczy zupełnie nieważne. Chciała być dostrzegana.

Nalał wina teściowi i stuknął się z nim kielichem.

– Za twoje zamówienie, Jacob – sapnął van Noort.

Podziękował za toast i wypił więcej, niż zwykł to czynić w innych okolicznościach. Zrobiło się gorąco, trudno było nawet zbliżyć się do rozgrzanych kafli pieca. Rozpiął ciasno opinającą go kamizelkę.

Przypomniawszy sobie, jak van Noort brał go kiedyś pod ramię, odciągał od obrazu, kazał oglądać z różnych stron, od lewej i od prawej, odbity w lustrze, tym jakże rzadkim wówczas weneckim wynalazku, czasami nawet kładł się z nim razem na ziemi. Prowadził do bogatych bankierów i pokazywał dokonania innych: Mabuse'a, van Orleya, van Eycka, van der Goesa. Kazał mu czytać księgi Giorgio Vasario, Francisco da Hollanda, Bartolomea Fazio.

– Niczego nie osiągniesz bez znajomości perspektywy geometrycznej – przekonywał do nauki.

Przypominał sobie te lekcje z czułością. Osie obrazu, linie perspektywiczne, optyczne, ich zbieg, wciąganie widza w iluzję, w to, czego naprawdę można się było tylko domyślać. Teść dał mu więcej niż innym uczniom. Dużo mu zawdzięczał, bardzo dużo.

– Mówią, że po Rubensie nikt inny nie może ci dorównać.

– Jest wielu malarzy...

Wcale nie był skromny. Rozumiał, że każdy malarz ma swój czas. Cóż, zarabiał pieniądze. Popatrzył na ręce starego mistrza. Widział, jak z trudem je zgina. Nie zostało mu już dużo życia. Odchodził powoli, jak roślina, która usycha. Rzadko kiedy dostrzega jeszcze w jego wzroku dawny błysk, chwilowe zainteresowanie.

Catharina i Lysbeth zaczęły śpiewać jakąś pieśń. Wydało mu się, że słyszy ją po raz pierwszy, ale po chwili uświadomił sobie, że tkwiła w nim od lat. Z zakamarków pamięci powracały zapomniane słowa.

Ponury Bus rozchmurzył się na moment, zaczął nawet coś mamrotać pod nosem. Jonas poszturchiwał go łokciem i czynił żarty z mieszkańców Aalst, którzy w Antwerpii nie uchodzili za zbyt rożgarniętych.

– Z cudu zrodzony w Nazaret Iesoús... – przybysz dziwnie wymawiał imię Pana. Dało się też zauważyć, że nie był przyzwyczajony do zbyt wielkich uciech świątecznych.

Stajenny nie dał mu skończyć, nalał wina do kielicha i prawie zmusił do wypicia duszkiem całej zawartości.

Jordaens poczuł, że i jemu – podobnie jak innym – zaczęło już szumieć w głowie. Usiadł obok żony i wpatrywał się w nią tak intensywnie, że aż wzbudził jej zainteresowanie. Oparła się o jego ramię. Zaczynała siwieć. Gdzieniedzie srebrzył się jaśniejszy włos. Starannie maskowała objawy zbliżającej się starości czerwonymi kokardami wpiętymi w zaplecione kosmyki.

Trzeba się było zbierać do kościoła. Ponaglił córki i syna. Ktoś ze służby podał im wierzchnie okrycia. Głęboko na głowę naciągnął kapelusz. Bał się zimna. Ciągle marzył, że jeszcze zdąży wybrać się do gorącej Italii, nasyć się jej słońcem i rozpaloną ziemią. Zamiast tego poczuł przeszywający chłód. Przytrzymał się starszej z córek. Zbyt blisko mieli do kościoła, aby zaprzęgać konie. Ciasno zbitą gromadą szybko zaczęli się oddalać od domu.

Jakiś żebrak, oparty na długiej lasce, która zastępowała mu lewą nogę, gromadził wokół siebie tłum tuż przed wejściem do Onze Lieve Vrouwekerk. Rzucił mu monetę nie dlatego, żeby się pokazać, ale dlatego, że nigdy nie żałował ofiary, i przepchnął się do środka. Miał własny klęcznik w bocznej nawie, tuż przed ołtarzem. Lubił to miejsce, gdzie mógł się nie tylko spotykać z Panem Bogiem, ale i podziwiać swoją kunsztowną robotę. Cały boczny ołtarz to przecież jego dzieło.

Ludzie kiwali mu głowami. Czuł, że plotkują na jego temat. Budził zazdrość. Bogactwo dodaje powagi, zakpił z samego siebie.

Ukląkł i modlił się żarliwie. Nie miał jakichś specjalnych próśb. Dawno zresztą uznał nieuchronność przeznaczenia, pogodził się z tym, co nieuniknione. Lubił atmosferę nocnego czuwania, czarowania obrzędem, liturgią, lubił zapach świec, dźwięk dzwonek, szum zbiorowego śpiewu, strach budowany łaciną i gromy rzucane na grzeszników. Czuł swój związek z Kościołem, widział w nim swoje miejsce, choć nie ukrywał też swoich wątpliwości. Często wiódł spory na ten temat z młodszym bratem. I choć uznawał jego argumenty, każdy pozostawał przy swojej opinii.

Anna Catharina ścisnęła go za rękę i wskazała oczyma mężczyznę klęczącego nieopodal. Mimo półmroku i cieni rzucanych przez świece rozpoznał w nim swego wczorajszego gościa. Zdziwił się. Di Verrua był ubrany jak zwykły, ubogi ksiądz. Po co ta maskarada? Chciał nawet podejść i zapytać, ale uznał, że pasterka to nie jest okazja do tego typu pytań. Nigdy zresztą nie należał do zbyt ciekawskich. Umiał uszanować tajemnice innych. A ponadto kardynał wydawał się tak głęboko zatopiony w modlitwie, że byłoby z jego strony nieprzyzwoite ranić go pytaniami.

Zagrały organy, które były dumą nie tylko tego kościoła, ale i całej Antwerpii. Jakiś chłopiec zaśpiewał głosem tak wysokim, że nawet kobiety miały problemy, by nie wypaść z tonacji.

Pod koniec mszy czuł, jak ogrania go senność. Nawet beknięcie, które wymusnęło się z czyjegoś gardła i tak rozśmieszyło młodych, na nim nie wywarło żadne-

go wrażenia. Czuł kwaśny odór wina, pot wielu ciał, suchość w krtani i ogólne znużenie.

– Amen. Idźcie w pokoju. Ofiara spełniona. – Czekał na to zdanie, a kiedy je usłyszał, ledwie się podniósł z kłęczek. Dokuczał mu reumatyzm.

Pokłonił się przed świętym obrazem.

– Mistrzu. – Di Verrua stał tuż za nim. Odczekał dłuższą chwilę, zanim powiedział coś jeszcze. – Szukajcie w swych obrazach radości. Zbyttna powaga burzy harmonię. Bez wesela świat jest tyle uboższy...

Nie takich słów spodziewałby się po osobie duchownej. Co więcej, nie bardzo rozumiał, czego ten tajemniczy mężczyzna od niego oczekuje.

– Wiecie, dlaczego przypadło wam to zlecenie?

Nie miał zamiaru odpowiadać na zadane pytanie. Wpatrywał się w czarne oczy di Verrua, które w tym świetle przypominały oczy jakiegoś dawno wymarłego gatunku stworów ziejących ogniem.

– Jest w was coś, co was odróżnia od innych malarzy.

– Znowu chwilę pomilczał. – Szukacie ciepła. To rzadki dar, nie zgubcie go.

Podciągnął rękawy sutanny, odsłaniając biel koszuli ciasno opiętej na wąskich przegubach dłoni. Ucałował krzyżyk spinający różaniec zawieszony w pasie i bez słowa pożegnania oddalił się do innego księdza, który najwyraźniej znudzony oczekiwaniem przysnął w ławie trzy rzędy dalej. Wystarczyło jednak, że kardynał musnął go ręką, aby poderwał się na równe nogi.

Ostry wiatr przywrócił Jordaensowi jasność spojrzenia. Tłum, który jeszcze przed chwilą wypełniał okolicę, gdzieś się rozplynął. Ruszyli do domu popędzani dużymi płatami śniegu sypiącymi gwałtownie po oczach.

Młody Jacob przystanął na chwilę i mocował się z długim soptem zwisającym z dachu. W świetle pochodni był to widok groteskowy. Wydłużone ramię chłopca tworzyło jeden ciąg z lodową bryłą. Gdyby umiał przenieść to na płótno, gdyby Pan Bóg ofiarował mu więcej...

Catharina wygrzała mu posłanie flaszą pełną wrzątku. Ledwie mógł dotknąć butelki stopami. Zona położyła się obok niego, a on przylgnął do jej pleców, objął ramieniem i poszukał piersi. Chciał jej opowiedzieć o oczach ich gościa, ale szepnął coś tylko, może jakieś wyznanie miłosne, sam nie rozumiał swych słów, i zapadł w sen.

Słyszała jego równy oddech, poczekała, aż zaśnie głęboko, i wstała jeszcze. Miała kłopoty z żołądkiem. Od kilku dni jedzenie przelatywało przez nią jak przez jakąś maszynę. Obmyła się w wiaderku i pomacała po biodrach. Zajrzała do pokoju młodszej z córek. Dziewczynka spała wtulona twarzą w poduszkę. Przez chwilę zatechniła do spokojnego dzieciństwa. Byleby wojna, wciąż i wciąż na nowo wybuchająca w sąsiednich Niderlandach, do nich nie przyszła. Co tam bogactwo, zaszczyty. Wysłuchała się w oddech córki, a potem wyszła, wciąż myśląc, że całe swe szczęście zbudowała wokół rodziny.

Długo nie mogła zasnąć. Dziwne myśli krążyły jej po głowie. Dojrzała żebraka, którego przyjęli przy wigilijnym stole. O dziwo, przybrany w porządne szaty wyglądał zupełnie inaczej. Namawiał ją na podróż, opowiadał o Afryce, do czegoś przymuszał, śmiał się, pokazywał rozgwieżdżone niebo. A zaraz potem przyszedł do niej młody Jacob, taki, jakiego pamiętała sprzed lat, chłopięcy, z ledwie sypiącym się na twarzy zarostem, nieśmiały, ukradkiem wypatrujący kawałka jej ciała, ale już zako-

chany, pełen nadziei, bo przecież nieodepchnięty, nieodrzucony. To dla niego zmuszała matkę do kupowania coraz to nowych strojów, układania włosów, przypinania kolorowych szarf. To do niego odwracała się, aby pokazać nowe kolczyki, i dla niego, niby przypadkiem, odsłaniała dekolt bardziej, niż wypadało.

Ocknęła się z tego pólśnu i nie mogła skojarzyć miejsca, w którym się znalazła. Czasami opanowywał ją jakiś lęk, irracjonalny, bez powodu, obawa, że wszystko jest snem. Szukała oparcia i znajdowała je zwykle tuż obok. Odwróciła się na bok i pogłaskała go po twarzy.

Nie potrafił malować, jak ter Brugghe, bez szkiców. Wszystko musiał mieć dopracowane, całą kompozycję. Szczegół był ważny, może najważniejszy, ale nie od niego rozpoczął obraz.

Rysował na brązowym papierze węglem drzewnym zmieszonym z olejem. Ani chwili wahania, zawieszenia ręki. Wszystko poukładane w głowie. Każdym nerwem czuł konieczność pociągnięcia linii właśnie tu, a nie gdzie indziej. Czasami odchodził na bok, przyglądał się temu, co zrobił, i zaraz wracał do pracy. Zaznaczał światło, które miało rozjaśnić obraz. Miał w oku miarę, pozwalającą mu z milimetrową dokładnością znaleźć punkt, którego szukał. Robił szkice i jeden po drugim odstawiał na bok. Nigdy za dużo, powtarzał sobie w duchu, bo choć pewien był tego, co robi, wiedział, że to, co najlepsze, przyjdzie w odpowiedniej chwili.

Goniły go terminy. Każdy z siedmiu obrazów, które do tej pory odebrał di Verrua, budził zachwyt Antwerpii. Z podziwem przyglądał się im zazdrosny Snyders, mało-

mówny van Dyck, który właśnie na moment zjechał z Londynu, i delikatny Seghers. Miał się czym chwalić. Amor i Psyche dzięki jego wyobraźni w każdym obrazie byli inni i tylko równe, szerokie pociągnięcia pędzla dawały oglądającym pewność, że wszystkie obrazy wyszły spod tej samej ręki. Zdumienie oglądających było tak wielkie, że pewnego dnia usłyszał propozycję, która zwała go z nóg.

Specjalnie dla niego zjechał do miasta najstarszy z potężnych Fuggerów, augsburskich bankierów, przez ręce których, każdego dnia, przepływały tysiące florenów. Mężczyzna, mimo że dawno przekroczył sześćdziesiątkę, wciąż był przystojny, choć jego oblicze specyli czerwone brodawki, które starannie maskował stalowosiwą brodą. Próbował nakłonić go do oddania mu zamówionych obrazów.

– Di Verrua? – nie kojarzył nazwiska z osobą. – Kardynał, powiadacie? Dzięki mnie możecie mieć zamówienia od Rzymu po Nowogród.

Któż się mógł mierzyć z Fuggerami? Może Medyceusze? A i to nie na pewno. Nawet królewskie dwory, zadłużone w ich bankach, musiały ulegać ich kaprysom. Mieli w swych zbiorach dzieła największych. Już choćby to powinno go było skłonić do rozważenia propozycji. Nikt rozsądny nie odrzucał takiej możliwości.

– Prawnicy obalą waszą umowę, mistrzu – zdecydował, obejrzawszy dokument.

Ale nie uległ. Podjął gościa wystawnym obiadem, obiecał, że i dla niego będzie kiedyś malował, i zapomniał. Zapomniał tak, jak zapominał o całym bożym świecie, kiedy siadał do rysunku. Czuł, że te obrazy – dwadzieścia dwa wielkie płótna – dadzą mu nieśmiertelność, zrównają z największymi, że nawet Paul Peter, choć pozornie nigdy

z nim nie rywalizował, zostanie w tyle. Pracował jak szalony, dni zlewały mu się z nocami, uczniowie chodzili wokół niego na palcach, nikt nie śmiał przerwać mistrzowi pracy, zadać pytania, złożyć niestosownej propozycji. Nawet dzieci nie narzucały się ojcu ze swą miłością.

Choć pracował, od więcej niż trzech tygodni każdego dnia podświadomie czekał na przyjazd Włocha. Cekał na jego skromny komentarz, słowo zachęty, błysk w oku. Ale mimo że majowe słońce dawno już zaszło, nie słyszał, aby ktokolwiek dobijał się do De Halle van Lier, jak z przyjemnością nazywał swój dom. Hala Bluszczowa. Dom zawdzięczał to określenie nie tylko roślinom opasującym zewnętrzne kolumny, wymyślne krużganki i podesty, które sam projektował, ale i malunkom, którymi opasał domowe korytarze.

Scaglia di Verrua spóźniał się bardziej niż kiedykolwiek w ciągu tych kilku miesięcy. Z każdym dniem nabierał podejrzeń, że jego nieobecność to nie przypadek. Do tej pory nie zdarzyło się, aby zwłoka była większa niż dzień, dwa. A i to tylko dlatego, że drogi były zimą niezbyt przyjazne podróży.

A jednak wieczorem doczekał się gościa. Zamiast karocy podjechał jednak pod dom skromny powozik, który w żaden sposób nie mógł być kojarzony z purpuratem. Wytoczył się z niego opasły jegomość w kapeluszu, starannie osłaniającym twarz, w podniszczonej opończy i takimże samym obuwiu. Kazał woźnicy czekać, a sam z energią, o jaką trudno go było posądzić, zakołatał do drzwi.

– Mistrzu – skłonił się Jordaensowi w sposób, który równie dobrze mógł być z jego strony wyrazem szacunku, jak i zniecierpliwienia.

Podał mu pismo w zalakowanej kopercie. Jacob w słabym świetle nie widział zbyt dobrze. Zadzwonił na Lysbeth i poprosił o jeszcze jedno łuczywo. Razem z nią do salonu weszła Catharina. Miała dziś ciężki dzień. Ledwie wróciła z podróży do wciąż biedniejszej Gandawy, a od rana musiała się mierzyć z płaceniem dostawcom i najemnym robotnikom. Mimo świetnych zarobków męża podejrzewała, że rozbudowując dom do takich rozmiarów, podjęli się dzieła ponad ich siły.

Jordaens przeczytał pismo, gestem dłoni wskazał gościowi krzesło, a sam bez słowa czekał, aż i Catharina zapozna się z wiadomością. Jak to możliwe? Ot, tak, po prostu, był i nie ma? Ile lat mógł być starszy od niego? Pięć, sześć? I dlaczego w takim momencie? Od dziecka oswajał się ze śmiercią: rodzeństwo, rodzice, sąsiedzi, tyłu malarzy, ale za każdym razem odejście było niespodzianką.

– Panie – Catharina, jak zawsze potrafiła szybciej niż on zapanować nad emocjami – przywozisz nam smutną wiadomość.

Lorenzo Sabionetta kiwnął głową. Czuł dziwny zapach w komnacie.

– To smutna wiadomość dla wszystkich. Kardynała oplakuje nie tylko rodzina, ale i papież. Jego choroba – niepytany postanowił zdać im relację z ostatnich dni di Verrua – była tak gwałtowna, niosąca tyle bólu, że nawet modlitwa, której pogrążony w paraliżu oddał się całkowicie w przedśmiertnych godzinach, nie uśmierzyła cierpienia. Trzeciego dnia żaden medyk nie mógł mu już pomóc. Zasnął przygarnięty przez Pana.

Dłuższą chwilę milczeli, jakby śmierć Włocha stanęła między nimi, oddzieliła ich od siebie. Przybysz skulił

się i oparł na podstawkach siedzenia. Jordaens dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie tylko mówienie, ale i rozumienie flamandzkiego musiało mu sprawiać duży kłopot. Starał się więc wypowiadać każde słowo powoli i wyraźnie.

– Pismo księdza Agostino...

– Ksiądz Agostino – Sabionetta machnął pogardliwie dłonią i zabulgotał jakimś włoskim słowem, którego nikt poza nim samym nie dosłyszał. – Ksiądz Agostino niewiele wiedział. Był sekretarzem kardynała, ale nie zdobył jego zaufania. To dzięki mnie napisał do mistrza. Kardynał zabierał mnie w każdą podróż...

Chciał sobie przypisać jakąś zasługę? Oczekiwał z ich strony podziękę? Zapłaty?

– Wiecie, panie, że kardynał złożył u mnie zamówienie?

Włoch kiwnął głową.

– Wiecie więc zapewne, skoro wam się zwierzał – tym razem to Catharina wzięła na siebie ciężar rozmowy – że odbierał zamówione obrazy.

Sabionetta znów kiwnął głową.

– W takim razie wiecie też zapewne, że zamówienie nie jest ukończone.

Mężczyzna jeszcze raz kiwnął głową. Widział te siedem płócien pełnych nie tylko jedzenia, ale i obfitych kształtów boskich kochanków, łamiących zakazy, już zalotnych, ale jeszcze nieśmiałych, spoglądających na siebie w świetle lampy, przyciąganych wbrew klątwie cudownej Wenus, w opozycji do niej, w udręce, ale i szczęściu, jakby odnajdywanym na przekór bogom. Cenił to malarstwo, choć wychowany na włoskich mistrzach nie był pewien jego wartości, wydawało mu się,

że postaci są zbyt wielkie, a ich skala nieproporcjonalna w stosunku do płótna. Ale jaki z niego znawca?

– Czy przywieźliście więc pieniądze?

Tym razem grubas rozłożył bezradnie ręce.

– Jestem tylko posłańcem, panie – z włoską galanterią uznał za stosowne zwracać się tylko do Jacoba.

– To zamówienie okryte było tajemnicą. Ale wy, panie – Catharina nie zwracała uwagi na żadne formy grzecznościowe – chyba wiecie, kto je składał.

– Nie, pani. Kardynał – jeśli to było możliwe, skulił się jeszcze bardziej, jakby kobieta przyłapała go na kłamstwie – miał swoje sekrety.

– Przecież zabierał was w swoje podróże...

Skonfundowany Sabionetta nerwowo zginał i prostował palce złożonych ze sobą dłoni.

– Nie zwierzał mi się ze wszystkich swoich tajemnic, panie.

– Taki szmat drogi jechaliście do nas, tylko po to... – Jacob zdał sobie sprawę, że pytanie, które chciał zadać, jest co najmniej niestosowne.

Posłaniec patrzył na niego wytrzeszczonymi oczyma. Widocznie zdał sobie sprawę, że wiadomość o śmierci Scaglii di Verrua niosła ze sobą coś więcej niż tylko smutną informację.

– Ktoś musi po nim dziedziczyć – Catharina znów wzięła rozmowę na swoje barki. – Umowa, tak czy inaczej, zobowiązuje obie strony. Czy wiecie – mówiła do Sabionetty, ale patrzyła na męża – ile pracy zostało włożone, ile wysiłku, ile w tym czasie można było zarobić? Wszystko przecież kosztuje.

Czuła, że musi wyrzucić z siebie całą bezsilność. Złość, która ją opanowała, była silniejsza od dobrego

wychowania. Wiedziała, że Jacob znajdzie chętnych na swoje płótna, ale takie zamówienie nie zdarza się każdego dnia. I tyłu odmówił. To ona przecież utwierdzała go w przekonaniu, że te obrazy dadzą mu coś więcej niż satysfakcję.

– Pani – Włoch wreszcie zrozumiał, że to nie Jordans jest tu najważniejszy, a w każdym razie nie tylko on – kardynał ma braci, ma siostry...

– Muszą zapłacić.

Jacob dostrzegł w twarzy Cathariny coś więcej niż tylko determinację. Nigdy dotąd nie była tak zawzięta.

– Będziemy się domagać wypełnienia umowy. Niech im pan to przekaże.

– Boję się...

Nie dała mu skończyć.

– Proszę im to przekazać. Jeśli nie, pójdziemy do sądu.

Posłaniec wzruszył ramionami. Zamiast z wdzięcznością, spotkał się z niezasłużoną złością. Po prawdzie, sam chętnie przejąłby rolę pośrednika. Znał swoje miejsce w szeregu, ale wciąż miał nadzieję, że wiedza, którą zdobył u boku kardynała, pozwoli mu wspiać się znacznie wyżej, niż był dotychczas. Życie, które do tej pory rzadko go rozpieszczało, rzuciło mu nadzieję, a teraz gwałtownie zabierało ją bez tłumaczenia. Zrozumiał, że wszystkie plany, z jakimi tu jechał, były naiwnym rojeniem.

Chciał przynajmniej odzyskać pieniądze, jakie wydał na podróż. Ledwie jednak o tym wspomniał, kobieta wrzasnęła na niego niczym przekupka z Padwy.

– Ruszaj, panie Sabionetta, czy jak się pan zwie, tam, skądżeś przybył. I przekaz, że mistrz wykona zlecenie.

Próbował ją jeszcze przekonać, że to on jest ostatnią nadzieją na kontakt z bogaczem, który zamawiał obrazy, ale kobiety nie dało się udobruchać.

Zanim wyszedł, uświadomił sobie, co to za zapach, który poczuł na początku ich rozmowy. Tak pachniało sandałowe drzewo, które widocznie sprowadzano z Afryki, nie tylko do Italii, ale i do Niderlandów.

Długą chwilę po wyjściu Włocha siedzieli w milczeniu. Żadne nie chciało pierwsze przyznać, że brak pieniędzy, których oczekiwali, nie rujnując ich, stwarzał jednak pewien problem. Może zresztą nie pieniądze były najważniejsze. W każdym razie utracone zamówienie, jak wszystko, co z pozoru jest na wyciągnięcie ręki, w pierwszej chwili boleśnie zraniło ich poczucie stabilizacji.

– Umarł – wydukał wreszcie.

Catharina popatrzyła na niego, jakby chciała dostrzec w jego wzroku coś ponad suche potwierdzenie czyjejś śmierci.

Regularnie spływające do tej pory pieniądze czyniły z niej damę nie tylko pewną siebie, ale i ofiarną. Nie miała zwyczaju informować męża o sumach przeznaczanych na zbór, a i on, ufając w jej rozsądek, nigdy nie zapytał, gdzie nikły te wielkie sumy, które zdobywał talentem i pracą.

– Musisz wypełnić zamówienie. – Wypełnić to nie było właściwe słowo, ale takiego właśnie użyła. – Przecież ktoś musi wiedzieć...

– A jeśli... – targaly nim wątpliwości. – Może lepiej poczekać? Praca...

Zawsze pracował, realizując czyjeś zamówienia. Nigdy dotąd ich nie szukał, brał zresztą na siebie więcej niż powinien. Czasami nawet miał problemy z dotrzy-

maniem terminu. Uczniowie malowali, a on kilkoma pociągnięciami pędzla korygował błędy, dając obrazom nie tylko sygnaturę, ale i własny rys. Lecz teraz, przecież wszystkim odmówił... Gdyby przyjął zlecenie Fuggera. Przypomniawszy sobie jego nabrzmiałą twarz. Niemiec, zapamiętał to, miał zwyczaj oblizywać wargi po każdym zdaniu. Gruby, mięsisty język, nawet nie różowy, ale jakiś krwistoczerwony. Utrwalał w sobie takie szczegóły. Mógł zapomnieć, co do niego mówiono, ale kiedy miał odtworzyć postać, gest, ruch, przychodziło mu to z łatwością.

– Będziemy się procesować, Jacob – zdecydowała i wiedział, że z raz podjętą decyzją nie warto się spierać. W każdym razie nie od razu.

Nie lubił jej gniewu. Od roku, może dwu miał wrażenie, że coś jej dolega, uwiera od środka. Często nie umiała pohamować irytacji. Zlana potem budziła się w nocy z krzykiem, głowa potrafiła ją boleć przez kilka dni, skarżyła się na duszności i stukot serca. Przyciągał ją do siebie, przytulał, ale odpychała go, jakby to wszystko, co łączyło ich od tylu lat, nie miało teraz żadnego znaczenia. Bez powodu, co wcześniej nigdy się nie zdarzało, potrafiła krzyczeć na służbę.

– Catharino – podszedł do niej i wziął jej dłoń między swoje – każdy obraz...

Nie skończył. W gruncie rzeczy wiedziała, co ma jej do powiedzenia. Nie chciał w życiu robić niczego innego, ale od jakiegoś czasu i on nie czuł się najlepiej. Był przepracowany, a ona, zamiast go pocieszyć, stawiała mu się kulą u nogi. Poprzedniej nocy zalala pościel krwią. Ostatnie podrygi, pomyślała. Nie budziła go, skryła się w kuchni i przesiedziała tam aż do świtu. Dopiero wtedy zmyła

z siebie cały brud. Wciąż na swój sposób była szczęśliwa. Inaczej niż kiedy była młoda. Lubiła muzykę. Godzinami mogłaby słuchać *Hodie Christus natus est*. Czuła w tym utworze siłę Stwórcy. Sweelinck musiał być tylko jego narzędziem. Zaden śmiertelnik nie mógł mieć takiej mocy. Ale coraz gorzej znosiła obecność w kościołach. Sąsiedzi spoglądali na nią nieufnie, odwracali się, niektórzy nawet lżyli. Mogła przyjąć wiarę męża... Na wszystko już za późno, pomyślała. Wyjechać z Antwerpii, pozbyć się tego ciężaru... Przestać się spierać z Panem Bogiem... Chciała spokoju, ciszy.

Przez chwilę Jordaens sądził, że Catharina zasnęła. Nie poruszał się, prawie wstrzymał oddech. Widział każde drgnięcie skóry na przymkniętych powiekach. Od zawsze poddawał się jej woli, ale tym razem był przekonany co do słuszności własnego sądu. Malarz, który spiera się z matką wyłącznie dla zarobku, nawet przy jego mistrzostwie szybko się wypala, traci pewność jego ręka, oko krzywi się, gubi perspektywę. Praca stanowiła dla niego źródło radości, te rudoczerwone tonacje, które były tylko jego, jemu przypisane, jego wyróżniały wśród innych, to jego odkrycie, tajemnica, zamknięcie, którego nie podarował mu ani van Noort, ani żaden inny z podglądanych mistrzów. Te chwile wyłączenia, ta tajemnica, którą zyskiwał każdego ranka, kiedy odnajdywał w zaczęłym obrazie niedokończone pociągnięcie...

– Nie podarujemy im ani florena.

Jednak nie spała. Gdzie ich szukać? Ich? Czemu użył liczby mnogiej. Cóż mieli do zamówienia spadkobiercy Scaglii di Verrua? Był przekonany o prawdziwości nie tylko kardynała, ale i tego Sabionetty. Zresztą słyszał o takich fanaberiach bogaczy. Chcieli mieć płótna wyłączone

nie dla siebie, cieszyć nimi oczy, czasami zaskoczyć kogoś z gości, wzbudzić zazdrość, pokazać bogactwo. Nauczył się z tym żyć. W gruncie rzeczy rzadko kiedy tęsknił za swoimi obrazami. Te, które kochał, miał przez jakiś czas w Hali Bluszczowej. Pamiętał każdy ich szczegół, chwilę, w której malował, ale nie odczuwał potrzeby posiadania. Był rzemieślnikiem, być może lepszym od innych, zganil zaraz sam siebie za tę przechwałkę, dekoratorem, upiększaczem życia, niczym więcej.

– Chodźmy do ojca. – Wysunęła dłoń z jego dłoni. Już była opanowana. Miała twarde zasady, w których nie mieścił się ani strach, ani tym bardziej pokusa przekonywania samej siebie.

Van Noort dożywał swoich dni. Jego śmierć była kwestią raczej tygodni, może nawet dni, a nie miesięcy. Często przywoływał zmarłą żonę, mylił ją z Cathariną, nie poznawał wnuków, ale wciąż był pogodny. Lubił, kiedy ktoś siedział obok niego. Czuł się wtedy pewniej, odrywał od modlitwy, uśmiechał.

W pokoju nie dało się jednak wytrzymać. Stary malarz od dawna już nie potrafił utrzymać moczu, zalewał i siebie, i posłanie. Jordaens podszedł do okna i otworzył je na całą szerokość. Noc była ciepła, prawie letnia. Pomógł Catharinie unieść bezwładne ciało. Razem z przywołaną Magdaleną sprawnie zmieniły pościel i umyły van Noorta. Skóra na jego ciele, pomarszczona i zwiądła, obwisły skurczony penis, nogi, które nie dawały oparcia, nic nie przypominało w nim sprawnego jeszcze kilka miesięcy temu mężczyzny.

Wspominał onieśmienie, z jakim po raz pierwszy zastukał do jego domu przy Everdijstraat. Van Noort był wówczas dużo wyższy od niego i robił wrażenie zbyt po-

ważnego. Uważnie przyglądał się jego dłoniom, jakby chciał z nich wyczytać przyszłość. Odwracał je w jedną i drugą stronę. Jeszcze raz i jeszcze. Potem posłał go do Dirka, małowójnego chłopca, niewiele starszego, ale zaznajomionego już z pracą artysty. Jordaens próbował się z nim zaprzyjaźnić, ale Dirk Stuywens traktował naukę u mistrza równie dosłownie, jak wiarę. Stanowił kopię nauczyciela i nigdy poza tę kopię nie wyszedł. Za to Johan Verveelde to diabeł wcielony. Wszędzie go było pełno. Nic sobie nie robił ze starszych uczniów. Miał talent może nawet większy od innych, ale za nic w świecie nie chciał się poddać rygorowi pracy.

– Umarł Johan. – Jakby ściągnął myśli teścia. Czemu właśnie teraz? – Pan Bóg – mówił z ogromnym trudem, przetykając co chwila dławiącą go ślinę – na jego obrazach miał wylupiaste oczy. Przeszklone. Nie umiał ich malować. Musiałem poprawiać. – Wykonał jakiś ruch ręką, jakby prowadził czyjąś dłoń. – Za to Jordaens, o tak, on i Rubens, dwu uczniów...

Czyżby go nie poznał? Ciągłe go to zdumiewało. Kochał tego staruszka wcale nie mniej niż własnego ojca. Był z nim związany jednym rozumieniem sztuki, jednym widzeniem, odgadywaniem, całą tą nicią, która wiąże natury podobne. Inaczej niż Rubens nigdy nie szukał lepszych nauczycieli. Może i Otto Vaenius dał Peterowi więcej, a może to jego podróże, Rzym, Wenecja, Genua, Hiszpania? Patrząc, też można się uczyć.

Wiele razy w swoich obrazach próbował sportretować van Noorta. Nigdy nazbyt starannie, nigdy do końca. Bał się, że nie odnajdzie tego, co piękne, godne podziwu, szlachetne. Studiował tę twarz nieustannie. Budziła w nim podziw i onieśmienie, jakiś rodzaj strachu

i podniecenia. Nawet przybrany w królewską koronę, w półcieniu, w brązach, jako jeden z niewielu wymykał się pociągnięciom pędzla. Jakby niewidzialny włos odklejony od innych rył swoją odrębną żłobinę, zniekształcał, czynił uboższym.

– Ojciec – Catharina ułożyła go na poduszkach z wysoko uniesioną głową – trzeba coś zjeść.

Próbowały go karmić, ale jedzenie przepływało mu między rzadkimi już zębami, ciekło po brodzie, zatrzymywało na serwecie obwiązanej wokół szyi.

Nie pozwalał swoim uczniom na zbyt wiele. Był rygorystyczny, ceniał pracę. Ale miał cechę, którą potrafił sobie zjednać wszystkich młodych. Potrafił kpić z najlepszych, ale nigdy z tych, którym nie starczało talentu. Przymuszał ich, podpuszczał, czynił z nich dziwne maszyny, w których każdy ruch miał swoje miejsce.

Tysiące prostych linii, bez podpórek, bez ułatwień, na przekór ręce, z zamkniętymi oczyma. Stukał ich w głowę.

– Tu jest malarstwo, nie w dłoni.

Wcale nie był tego pewien. Zresztą van Noort, podejrzewał, też nie, ale wmawiał im to, uczył, przekonywał i osiągał swój cel szybciej niż ktokolwiek inny.

– Śpi – Magdalena podciągnęła koldrę ponad ramiona.

Przymknął okno i wyszli, pozostawiając drzwi uchylone, by móc spełnić każde życzenie starca. Równie dobrze mógł spać do rana, jak i, obudzony za chwilę, zwlec się z posłania, próbować dźwignąć o własnych siłach, a wtedy – poobijany – stawał się kłopotliwy bardziej niż kiedy indziej.

Wieczorny posiłek, obfity do przesady, jedli tylko we dwoje. Sen wcześniej zmorzył Annę Catharinę, a młody

Jacob wymknął się z domu do portu pod pozorem oglądania wielkiej hiszpańskiej fregaty, o której od dwu dni mówiło całe miasto. Statek przywiózł nowych żołnierzy, którzy rozpełzli się po Antwerpii. Jej mieszkańcy bez respektu, ale i bez życzliwości spoglądali na ich stroje, jeszcze nieruszone wojną, wykwinne, pełne dziwnych upiększeń i twarze ogorzałe, inne niż widywane tu na co dzień.

Catharina, dostrzegł to, nawet przez moment nie zwróciła uwagi na jedzenie. Kiedy nad czymś bolała, jadła zbyt dużo. Może stąd nabrała tyle ciała? Nie przeszkadzało mu to, nawet odwrotnie, lubił, kiedy kobieta miała odpowiednie kształty. Chude kobiety nie budziły jego zachwyty. Widował takie czasami w biedniejszych dzielnicach. Nieodparcie kojarzyło mu się to z chorobą. Krągłość pośladków, zasobne biodra i duże piersi nie przez przypadek odnajdywano na jego płótnach.

– Musisz wypełnić zlecenie – upomniała go raz jeszcze. – Nikt nie może nawet wspomnieć...

Miał dużo pracy. Musiał wykonać zamówione przez tkaczy kartony do tapiserii, skończyć zaczęte przez Rubensa dzieła dla Filipa IV, jakieś mniejsze obrazy do kaplicy. Herakles z płótna Petera Paula swym ogromem, władczym spojrzeniem, proporcami, drganiem mięśni nie pozwalał oderwać od niego wzroku. Obraz wymagał jeszcze wielu godzin, uzupełnień, domalowywania dalszych planów, pogłębienia ledwie zarysowanych bocznych postaci. Za to Andromeda z drugiego płótna – delikatna, subtelna, pełna radości – była zabawą. Odnosił wrażenie, że mimo łańcuchów, którymi została przykuta do skały, nie ma w niej strachu, raczej przekonanie, jakaś pewność, że los, Perseusz, inni uczestnicy zdarzenia

biorą ją w swoją obronę, a nereidy, je właśnie musiał rozjaśnić, ożywić, stanowią tylko zachętę do opozycji.

Zanim podjął się wykończenia prac przyjaciela, długo chodził do domu Rubensa, przyglądał się, studiował te płótna. Chciał poznać sposób myślenia, ułożyć farbę według tego samego wzoru, tym samym pociągnięciem pędzla zrealizować cudzą tajemnicę. Tylu malarzy znalazło się w tej pracowni: van Dyck, aksamitny Brueghel, Snyders. A jednak to jego poproszono o uzupełnienia. Ten jeden raz skłonny był ulec, zgubić swój wizerunek. Własny, odrębny, przypisany jego ręce. Ktoś inny byłby zazdrosny, zaczadzony mistrzostwem, ale jemu – prócz podziwu – przychodziło do głowy tylko marzenie. Marzenie dobrej pracy. I był z niej zadowolony bardziej niż z odnowionych obrazów Schuta i van der Hoecke.

Zapytał Catharinę o jej podróż do Gandawy. Miał wrażenie, że umknął mu jakiś szczegół. Czasami zdarzały się takie chwile, w których nie mógł sobie przypomnieć fragmentu rozmowy. Może zapomniał zapytać o kogoś z krewnych?

– Sukno zdrożało – odpowiadała logicznie na wszystkie pytania, choć widział, że jej myśli krążą gdzie indziej.

Słyszał, że od powstania Ligi miasto wciąż ubożało, choć ciągle jeszcze tamtejsze kościoły słały do niego zamówienia.

– Beeth urodziła syna – Catharina przywykła do powtarzania tych samych wiadomości. – Obiecała, że kiedy dorośnie, pójdzie w twoje ślady.

Lubił Beeth, kuzynkę, którą widywał niezbyt często, ale jej psikusy, humor, rubaszne żarty stanowiły okrasę każdego spotkania. Była ledwie dwa lata młodsza od je-

go żony, więc powicie w tym wieku dziecka było nie lada sensacją.

Przez chwilę – mimo pełnych ust – podtrzymywał rozmowę. Chciał, żeby Catharina przestała myśleć o dzisiejszym spotkaniu z Sabionettą. Co się stało, pomyślał, już się nie odstanie. Powinien położyć się, odpocząć. Jutro czekało go spotkanie w cechu. Tyle lat mu przewodniczy, wciąż walczy o innych. Był wygodny dla wszystkich – i dla władz miasta, i dla malarzy. Ziewnął, ale zanim wstał od stołu, zrobiła to jego żona. Podeszła do niego, okrakiem usiadła na kolanach i przytuliła policzek do jego twarzy. Chwilę potem wzięła jego ręce i wsunęła pod ubranie. Gubił się w tych wszystkich sukniach, pofałdowanych halkach, długich, sięgających kolan majtkach. Kiedy wreszcie dotknął skóry na jej plecach, usłyszał coś jak westchnienie ulgi.

Chciała sprawić mu przyjemność, przypomnieć, że wciąż ma ciało, które może podniecać mężczyznę. Gdzieś w głowie zobaczyła sztych z flamandzkiego burdelu, który tak ją wówczas zgorszył, a Jordaensa rozśmieszył. I przed ślubem, i po nim był nieśmiały, z trudem przewycięzał lęk przed cielesnością. Przez moment pomyślała, że mogłaby znaleźć się tam, gdzie te występne damy, dawać rozkosz innym mężczyznom. Chwilę potem z obrzydzeniem odegnała te myśli. A przecież tak lubiła, kiedy na nią patrzył, dotykał, nawet sprawiał ból. Więc odsunęła się i szybkim ruchem rozsypała tasiemki krępujące ją w pasie, a potem wsunęła jego rękę między nogi. Wpatrywała się w twarz męża, przymknięte oczy, jakiś cień migocący na brodzie. Czuliła, jak podniecenie ogarnia każdy fragment jej ciała. Przez chwilę znów była młoda, zrzucała ślubną suknię, widziała, jak zanim przy-

lgnął do niej, przysłania dłonią przyrodzenie, a wreszcie odsłania się, wchodzi w nią szybkim ruchem, całą mokrą, nieświadomą tego, czym za chwilę wybuchnie, pochylony nad nią, całujący, czuły.

Próbowała sobie to przypomnieć, zgnieść siwiznę, całą swoją kobiecością zaprzeczyć brakowi odwagi. Gdyby jak Beeth rzuciła się znów w pieluchy, znów dała mu radość, krzyk niemowlęcia?

Wiedziała, że za chwilę eksploduje, więc łagodnie odsunęła jego dłoń, zeszła z kolan i przysiadła na sąsiednim krześle. Patrzył na nią nieprzytomnie, jakby chciał zapytać, dlaczego to robi, dlaczego prowokuje, a zaraz potem zabiera to, co obiecała. Zsunęła trzewiki i oparła nogi na jego kolanach. Przesunął je bliżej siebie i gładził delikatnie.

– Wciąż masz piękne ciało – powiedział tak cicho, że ledwie to usłyszała. – Wciąż mi cię mało.

Gdyby mogła mu opowiedzieć o swoich lękach, o tych wszystkich samotnych porankach, sam na sam z twarzą coraz bardziej pokrytą zmarszczkami, ze swoją nagością, która nie potrafiła już cieszyć, z bólem pleców, z marzeniami, aby nikt na nią więcej nie patrzył.

– Niewielu mężczyzn spogląda na mnie w ten sposób.

Nie był skory do pochopnych opinii, więc i tym razem odczekał chwilę, zanim się odezwał.

– Nigdy nie mówiłaś w ten sposób.

– Pragnęłabym, żeby czas stanął w miejscu – machnęła ręką, jakby chciała samej sobie zaprzeczyć – żeby się cofnął. Bóg mnie pokarze za moją pychę.

– Wciąż jesteś piękna – powtórzył jak dziwną modlitwę wyuczoną przed laty.

Uśmiechnęła się z niedowierzaniem, a w jej wielkich oczach zajaśniały łzy.

– Śnił mi się.

– Kto? – zapytał, bo nigdy dotąd nie opowiadała mu o snach, w których pojawialiby się mężczyźni.

– Włoch.

– Di Verrua? Ksiądz?

– We śnie był mężczyzną, nie księdzem. Grzeszyłam.

Po co mu o tym mówiła? Przecież nie chciała go zranić, dotknąć, sprawić bólu.

– To tylko sen – wybaczyłby jej każdą grzeszną myśl.

– Niech go piekło pochłonie.

Nie wiedziała, co bardziej ją rani. Te senne mary sprzed kilku miesięcy czy śmierć zdradziecka, która zabrała nie tylko pieniądze już w planach zarobione, ale i marzenia. Była przekonana, że śmierć Rubensa pozbawiła Jacoba konkurentów, dała niepowtarzalną szansę, a te obrazy... Ukoronowałyby jego dorobek, stałyby się pomnikiem. Tak dużo by dała, żeby mógł je skończyć... Zaden z sąsiadów nie śmiałyby więcej czynić wyrzutów, szczuć na odstępców od świętego Kościoła, obmawiać rodziny. Pomyślała, że w gruncie rzeczy powinni uchodzić do Niderlandów. Tam nikt by ich nie prześladował, nie naskakiwał, nie obrzucał błotem. Bała się inkwizycji, tortur, przymusu. Jordaens opowiadał jej o uczoneym z Italii o dziwnym nazwisku Galileo Galilei. Zmuszono go do zaniechania głoszenia poglądów, których co prawda nie rozumiała, ale brzydziła się wszelką przemocą, nawet wobec oprawców, a co dopiero uczonech. Zresztą i u nich rany po krwawym Albie de Toledo wciąż jeszcze nie były zablźnione.

– Powinniśmy iść spać.

Może czekała, aż zapyta o ten sen? O swoje w nim miejsce? Nie był tego ciekaw. Zresztą, cóż winien ten mężczyzna? Pan Bóg zмага się z diabłem, a rozum pozwala czynić dobro na jego chwałę.

Dopili wino i wstali od stołu. Lysbeth sprzątnie, zanim rano którekolwiek pojawi się w jadalni. Jacob objął żonę ramieniem i przyciągnął do siebie. Wciąż był silny, silniejszy od większości mężczyzn w jego wieku. Pocałował ją delikatnie w czoło. Powinna przyszybyć mu już brodę, zbyt długą, której nawet serweta nie chroniła przed resztkami jadła.

Przeszli jeszcze do dziecięcych komnat sprawdzić, jak śpią. W przeciwieństwie do nadzwyczaj porządnej Anny Cathariny syn z młodzieńczą fantazją porozrzucił ubranie po całym pokoju, jakby pełen miejskich wrażeń, a senny ponad miarę nie nadążał z ich zdejmowaniem.

Zanim poszli spać, długo jeszcze klęczeli przed łóżem, wyznając Bogu grzechy, a potem, oczyszczeni, pogasiwszy świece, legli obok siebie, każde pod własnym przykryciem.

Długo nie mogli zasnąć. Początkowo wsłuchiwali się w swoje oddechy, a potem każde pogrążyło się we własnych myślach.

Jordaens układał w głowie rysunek. Jakiegoś jeźdźca w wykwintnym stroju na brązowym, potężnym koniu w galopie. I gdzieś obok rzymskiego rycerza. Oliwny gaj w tle i powietrze, które dobry malarz musi oddać tak, aby nabywca odczuwał je zapachem, ciepłotą, żeby go przenikało, stawało się częścią otaczającego świata. Miał zaufanie do tkaczy, zwłaszcza najlepszego z nich, osiadłego od pół wieku w Antwerpii, Caspara Graefego, Niemca, który przywędrował do miasta z Norymbergi.

Podziwiał jego sprawne dłonie, przenoszące z rysunku na tkaninę więcej, niż mógłby wymagać. Przyjaźnili się od wielu lat, ale po śmierci żony, która sama umiała więcej od tych, tytułowanych mistrzami, zdesperowany Caspar brał już tylko te zlecenia, których projekty wychodziły spod jego ręki. Żadnemu innemu malarzowi nie ufał.

– Twoje słońce, Jacob, jest moim słońcem – oznajmiał nieco patetycznie, ale chciał tym podkreślić swój dla niego szacunek i oddanie.

Caspar nigdy nie nauczył się flamandzkiego na tyle, aby nie budzić zdziwienia. W jego wykonaniu była to dziwna mieszanina któregoś z niemieckich narzeczy, nie wiedzieć czemu łaciny i tych może stu, może dwustu słów flamandzkich, które przyswoił sobie z trudem wielkim.

Tapiserie Graefego cieszyły się zasłużoną renomą. Miał nabożny stosunek do swojej pracy. Brał rysunek Jacoba i przesuwiał po nim ręką, jakby chciał wyczuć jakąś wypukłość, chropowatość, szczególnie właściwy raczej rzeźbie niż pociągnięciom węgla, tuszu czy farb.

Jordaens od dziecka lubił te projekty, które później zdobyły najlepsze z antwerpskich domów. Nie przeszkadzało mu, kiedy widział je na meblach, szacie biskupiej, baldachimach czy antepediach. Liczył się pomysł, odmienność, szacunek dla oczekiwania nabywcy. Często jego sugestie zdobywały uznanie, zdarzało się jednak i tak, że żaden argument nie przemawiał do upartego klienta. Wtedy zwlekał, dawał mu czas na przemyślenie, na zmianę decyzji, na otrzeźwienie. Przypomniawszy sobie śmieszny przypadek biskupa Vaale. Smoki ziejące ogniem, okrucieństwo i zaraz obok krajobrazy, pejzaż leciutki, słoneczny. Nie mógł odmówić, więc wymawiał

się chorobą, innymi zleceniami, aż udało mu się doprowadzić do tego, że biskup dał się przekonać do całkiem innego projektu.

– Nie śpisz? – Catharina czuła, że mimo nocy wciąż jeszcze może z nim porozmawiać.

Zanim odpowiedział, usłyszeli ciche pukanie we drzwi. Zerwała się, zarzuciła na siebie jakieś odzienie i wyszła do Lysbeth, która szeptała z nią w korytarzu dłużej niż minutę. Jeszcze usłyszał ich szybkie kroki, a później znów został sam na sam z własnymi myślami. Powinien był wstać, pójść za nimi, zobaczyć, co się dzieje. Zamiast tego zapadł w gorączkowy sen, który nie mógł trwać dłużej niż kwadrans.

– Co się stało? – zapytał, kiedy poczuł wsuwającą się w pościel żonę.

– Ojciec... Nic, nic. Słabuje, śpij.

Ale wyczuł w jej głosie coś więcej niż niepokój. Usiadł i przybliżył swoją twarz do jej twarzy. W mroku ledwie widział zarys jej głowy. Delikatnie przejechał po niej dłonią. Czynił tak czasami w nadziei, że samym dotykiem jest w stanie sprawić, że złe myśli odlecą od niej, ulotnią się, znikną choć na chwilę.

– Leżał na ziemi. Gdyby nie kaszel... Wszyscy śpią... Ktoś musi być przy nim. Nie chcę, żeby umierał w samotności.

Rozumiał jej obawy, ale nie mógł pozwolić, aby troska o zdrowie ojca zniszczyła ich życie.

– Rano pošlemy po medyka.

To nie potrwa już długo, pomyślała. Siedemdziesiąt dziewięć lat. Dobry Bóg zezwolił mu na długie życie, dał szóstkę dzieci, żonę darzącą uczuciem, majątek, który pozwolił godnie żyć, uczniów, z których mógł być dum-

ny. I czułą opiekę na starość. Czegóż więcej wymagać od losu?

– Co się stanie z ciałem?

Przez chwilę nie rozumiał, o co pyta. Co ma się stać?

– Kto w tym mieście pochowa innowiercę? – uściśliła.

Była przewrażliwiona. Tyle lat tu żyją. Katolicy, protestanci, nawet Żydzi, których przegnano z Hiszpanii i Portugalii. Przecież jest tylko jeden Bóg. Nikt nie może występować przeciw niemu. Kto ośmieli się odmówić jemu, najsłynniejszemu malarzowi, nie chciał tego określenia, nie lubił go, ale żadne inne nie przychodziło mu do głowy. A i van Noort miał przecież swoje zasługi. A może jednak jej obawy nie są tak całkiem bezpodstawne? Słyszał już o takich przypadkach. Katolicka Antwerpia broniła swojej wiary, odrzucała nową naukę.

– Wynocha – wrzasnął któryś z sąsiadów, gdy miesiąc temu stanął w obronie Staalensa, pastora z Hagi, który niezbyt ostrożnie wdał się w wymianę poglądów tuż przed katedrą. To powinno dać mu do myślenia. Może trzeba było jej posłuchać, sprzedać dom, uciec od Hiszpanów pod skrzydła rozumnego Frederika Hendrika? Zamienić jeden dwór na inny? Jakie znaczenie ma, którego z wielkich tego świata będzie malował? A jeśli to Filip będzie zwycięzcą tej wojny? Bzdura, wszystko to bzdura. Nie po to budował swój świat, żeby teraz z niego uciekać.

– O czym ty mówisz? – udał, że nie rozumie jej pytania. – Śmierć wszystkich zrównuje.

– Jacob...

Nie widział tego, ale czuł, że po jej policzkach spływają łzy. Była odważną kobietą, ale – jak wszyscy – bała się piekła, mąk piekielnych i potępienia. Poczul, że drży, więc wziął jej głowę na własne ramię i przytulił.

Zasnęła szybciej, niż mógł przypuszczać, ale on, wybity ze snu, długo przewracał się z boku na bok, próbując znaleźć pozycję nie tyle wygodną, co taką, w której najmniejsza fałda pościeli nie będzie burzyć jego idealnego porządku.

Rano okazało się, że van Noort czuje się znacznie gorzej niż poprzedniego dnia. Wezwany medyk przykładał ucho do jego piersi, puszczał krew, a na koniec bezradnie rozłożył ręce.

– Tutaj nie da się wiele zrobić – oznajmił, jakby przygotowywał ich na najgorsze. – Płuca, zator.

Starzec był przytomny, a wypowiedane w jego obecności słowa nie robiły na nim większego wrażenia. Przysłuchiwał się im z uśmiechem, ale albo nie rozumiał, albo – co wydawało się znacznie bardziej prawdopodobne – dawno pogodził się z myślą o rychłym spotkaniu z Bogiem.

Przywołał wreszcie gestem ręki Catharinę i długo szeptał jej coś do ucha. Kobieta kiwała głową, a kiedy wreszcie skończył, opatulila go starannie kołdrą i pocałowała w czoło.

Delikatnie wypchnęła wszystkich z pokoju.

– Chce zostać sam – oznajmiła, starannie zamknąwszy drzwi.

– Trzeba się modlić, nic więcej nie można już zrobić.

To było dla wszystkich oczywiste.

Zanim Jordaens wyszedł z domu, żona powiedziała mu to, co usłyszała od ojca.

– Śmierć nie jest straszna. To nasze wyobrażenie o niej – van Noort miał jasność myślenia zdumiewającą dla jego stanu – powoduje lęki. Śmierć wyrównuje rachunki, godzi. I wbrew pozorom wcale nie pozbawia pychy. Zbiorowo chowani podczas zarazy wcale nie są

równi możnym tego świata. Bezimienni, zapomniani, przemieszani ze sobą, anonimowi. Bo to właśnie pamięć, dzieło ludzkich rąk i jego myśli zachowują, pozwalają trwać. Ojciec powiedział – Catharina jakby też pogodziła się z tym, co nieuniknione – że nie ma w nim lęku. Jest dumny z tego, co po nim zostanie. Chce, abyśmy zachowali jeden jego obraz.

Kiwnął głową. Nawet nie musiała mówić, który obraz ukochał jej ojciec. To wcale nie było najlepsze płótno starego mistrza. Ale ten wczesny portret musiał mu przypominać coś więcej niż młodość. To raczej tło, bliki rozjaśniające twarz nieznaney kobiety, te wszystkie zabiegi, których stosowanie dawno już zarzucono, nadawały wartość temu obrazowi. Jak w podręczniku można było w nim dostrzec wszystkie zmiany, jakim uległo malarstwo w ostatnim półwieczu.

Ktoś potrącił go na ulicy. Gniewnie burknął coś pod nosem, ale nie obejrzał się, nie zatrzymał. Spóźnił się, tak więc kiedy wszedł do budynku cechu, był on już wypełniony po brzegi. Szybko zamienił kilka słów z de Vosem. Cornelius musiał zauważyć zmęczenie na jego twarzy, bo ze zdziwieniem, wzięwszy go pod ramię, poprowadził do ogromnego lustra świeżo przywiezionego od Francuzów, którzy sami sprowadzali je z Murano. Ten szklany cud wciąż wszystkich zadziwiał.

– Popatrz na siebie, Jacob – powiedział. Nie było w tym nawet odrobiny złośliwości. Przyjaciel od lat traktował go jak niańka. – Powinieneś chyba odpocząć.

– Adam umiera.

Wszyscy wiedzieli o chorobie van Noorta, ale chyba nikt nie spodziewał się, że jej postęp będzie tak szybki

i gwałtowny. Znając jego uczucia do teścia, de Vos uści-
snął go mocno.

Nie mieli czasu na dłuższą rozmowę. Władze miasta
zwołały na dzisiaj to posiedzenie, bo od dłuższego czasu
miały problemy z regulowaniem płatności za wykonane
prace. Miesiącami przeciągały wypłaty, tłumacząc roz-
wścieczonym artystom, że lada chwila miejską kasę wy-
pełnią floreny z madryckiego dworu. Zamiast tego wciąż
i wciąż musieli do niego dokładać.

Jordaens nigdy nie należał do zwolenników radyka-
łów. Szukał porozumienia, dobrze wiedząc, że żaden
bunt nie przyniesie im tego, czego oczekują. Z drugiej
strony dobrze rozumiał też tych, którzy nie ciesząc się
renomą taką jak on, mieli prawo oczekiwać, że podpisa-
ne umowy będą respektowane. Tym bardziej że wielu
młodych i tak godziło się już na stawki jeszcze kilka lat
temu nie do przyjęcia.

Burzliwa dyskusja ciągnęła się w nieskończoność.
Każda ze stron, przekrzykując adwersarzy, co i rusz
podawała nowe argumenty i nowe terminy. Siedząc
w swoim fotelu, przysypiał. Pomyślał, że gdyby teraz
wyszedł, nikt by nie zauważył jego braku. Całe Nider-
landy malują, zamieniły się w dziwną manufakturę,
w której jeden produkt jest bliźniaczo podobny do inne-
go. W gruncie rzeczy tylko fachowcy potrafili odróżnić
nauczyciela od ucznia. Ogarnęło go zniechęcenie. Od
dawna chciał się pozbyć tego ciężaru, którym obarczo-
no go wbrew jego woli. Nie chciał uchodzić ani za za-
usznika rządzących miastem, ani za tego, który pogar-
dza pracami innych.

Bolała go głowa i czuł się coraz bardziej senny.
Z trudem otwierał oczy.

– Szkoda czasu – siedzący tuż przy nim Cornelius
miał widocznie identyczne poglądy – chodźmy stąd.

Nie mógł, ot tak, wyjść sobie. Musiał przerwać obra-
dy albo oddać przewodnictwo w inne ręce. Poprosił o to
Cossiersa, a ten, widocznie bardziej niż on zaintereso-
wany dyskusją, kiwnął tylko głową.

Poszli do portu. Majowe słońce na tyle rozleniwiło,
że tragarze wynoszący towary ze statków poruszali się
jak muchy w smole, niespiesznie, pokrzykując do siebie
wesoło, a kiedy już musieli dźwignąć ciężar, starannie
umieszczali go na odsłoniętych, muskularnych plecach.
Obaj patrzyli na nich z zaciekawieniem. Wielu malarzy
szukało tu natchnienia, szkicowało statki, budynki por-
towe, spichlerze, kolumny, wozy, złodziejasków, damy,
których wdzięki każdy mógł poznać, tylko w niewielkim
stopniu pobudzając wyobraźnię. Na chwilę przysiedli na
kamiennych schodach któregoś z budynków. Nabrzeże
pełne było ludzi i zapachów charakterystycznych nie tyl-
ko dla portu, ale i wielkiego miasta. Tuż obok nich ukła-
dano wielką piramidę beczek z peklowanym mięsem, za-
pewne szykowanych na zamorską wyprawę, dalej jakieś
kadzie, kosze pełne paszy, stosy gwoździ, kołków, sie-
kier, zbiorników wody. Trochę dalej porykiwało stado
krów, które pędzono na pokład, jeszcze dalej jacyś siła-
cze – z marnym skutkiem – próbowali unieść żelazne
balustrady wykute ręką antwerpskiego kowala. Gdzieś
dzwoniły obijane o siebie flaszki, a przez cały ten szum,
jakby mu na przekór, przebijała się wesoła melodia do-
chodząca z któregoś z zajazdów.

– Kupicie, panie, przyprawy? – jakiś chłopiec, z całą
pewnością młodszy od jego syna, próbował zachęcić go
do wydania pieniędzy.

Skrzywił się i to wystarczyło, aby w tym samym momencie zaproponował swój towar handlarzowi ciągnącemu wózek pełen bydlęcych skór. Ten roześmiał się i wskazał francuską brygantynę zacumowaną nie więcej niż dwieście metrów od nich.

Wszyscy bez słów zrozumieli, skąd pochodził towar. Chłopiec musiał należeć do tych, którzy licząc na szybki interes, brali ze statków resztki z rozprutych pojemników i zachwalali je jako pełnowartościowy produkt. Naiwni musieli się liczyć z tym, że zamiast imbiru okraszą ciasto czy likier kurzem zmiecionym z pokładu. Ale młodość, tupet i gadulstwo sprawiały, że ten niecny proceder nie wywoływał wśród kupców sprzeciwu. Wręcz odwrotnie, ceniono tych ludzi za ich przedsiębiorczość. Zresztą każdy tu szukał okazji do zrobienia interesu.

– Widziałeś dzieło Vranksa?

Nie był nim zachwycony. Proporcje wydały mu się niewłaściwe. Może zresztą nie to. Przestrzeń, którą uchwycił, płaską, bez głębi, on sam widział inaczej. Ale przytaknął i nie chcąc kłamać, zrobił ruch ręką, dzięki któremu de Vos mógł to odebrać zarówno jako komplement, jak i irytację wielkiego mistrza podrażnionego niechlujstwem.

Zeszli do piwnic, w których Hunthorst podawał wina najtańsze w całym mieście. Najtańsze były nie dlatego, że podle, skwaśniałe albo zbyt młode. Ograniczony do minimum sznur pośredników pozwalał oddawać je gościom z niewielką marżą, którą rekompensowały szynkarzowi tłumy przewalające się przez jego winiarnię.

Zasiedli do stołu, przy którym siedzieli już marynarze, kupcy, podróżni przybyli do miasta w interesach, nieroby przesiadujące tu godzinami w oczekiwaniu, aż

ktos o dobrym sercu zamówi dla nich kolejkę, i tacy jak oni – łapiący oddech, chwilę wytchnienia między pracą a snem. Nieznajomi po chwili bratali się z sąsiadami, przepijali do nich, szukali pociechy albo wręcz odwrotnie sporu, którym mogliby uciszyć dręczące ich wyrzuty sumienia. Na tych ostatnich, gdy stawali się zbyt agresywni, Hunthorst wysyłał jednookiego Jususa, który chwyciwszy delikwenta dłonią, był w stanie unieść go do samego sufitu.

Zamówili burgunda z wyjątkowo dobrego rocznika. Pieczone mięsiwo, które wraz z nim podano, ociekało tłuszczem. Obgryzali kości i rzucali je wraz z chrząstkami wprost na klepisko, skąd w mgnieniu oka porywały je psy, które tu tolerowano właśnie ze względu na gości i ich wygodę.

Wielu z obecnych poznawało słynnych malarzy. Kłaniano im się, pozdrawiano uniesieniem ręki lub uchyleciem kapelusza. Na chwilę przykucnął obok nich Hunthorst. Łasy na pochwały, chciał jak zwykle wysłuchać komplementów.

– Nadzienie, Johann – Cornelius oblizał palce – pierwsza klasa. – Nie był to komplement na wyrost, bo kuchnia w gospodzie mogłaby konkurować z wieloma z tych o najwyższej renomie.

Jordaens przytrzymał ramię Hunthorsta.

– Zrobię cię królem.

– Królem? – szynkarz nie zrozumiał jego żartu.

– Doda ci koronę – de Vos nie zamierzał wyjaśniać mu więcej niż powinien.

– I szaty nowsze niż te łachy – włączył się do rozmowy siedzący na prawo od Jordaensa Hendrik Johannsen, przybyły ze Skandynawii złotnik, który zawsze był tam,

gdzie dobra zabawa. – A ja ci dodam królewskie pierścienie. Tylko zastawa – puknął dłonią w pokrywkę cynowego dzbanka – nie taka.

Wszyscy roześmiali się. Wreszcie i Hunthorst zrozumiał, że nawiązują do obrazu Jacoba, w którym centralną postacią jest król pijący z pięknego kielicha.

Ten motyw ze Świąta Trzech Króli, w którym i płacek, i ziarno bobu, i nawet papierowa korona są żartem, powodem do plebejskiego święta, wykwitł w jego obrazach przed kilkoma laty. To właśnie takie twarze, nieuładzone, z bliznami znaczącymi zdobycz przetrwania, pełne iluzji, chwilowego szczęścia, pożądające, pijane – były na swoim miejscu. Nie oczy uduchowionych świętych, nie rycerze godzący się oddać życie dla uludy miłości, nie królowie, ale właśnie tacy jak Johann, poklepujący po karku swoich gości szczęśliwcy, stanowili tło jego szaleństw. Zabawy pędzłem, odnajdywanie stłoczonej cielesności, żywiołu, namiętności.

– Ze świnią u kolan, zajęcmi – tak właśnie powiedział – u powały. Ale – uniósł do góry wskazujący palec lewej dłoni, uciszając w ten sposób biesiadników – jeśli nie przysłonisz – drugą ręką przejechał po brzuchu – tego, co tylko dla dam, wymówię ci, Jacob, gospodę.

Zgromadzeni przy stole gruchnęli śmiechem.

Dobrze się czuł w towarzystwie tych ludzi. Znacznie lepiej niż w zgromadzeniu cechowym albo na dworach bogaczy. Nawet głowa bolała go jakby mniej. Johannsen obierający z ości wędzonego łososia stuknął się z Jordaensem kielichem, a siedzący z drugiej strony stołu szyper, widocznie pod dobrą już datą, zaczął snuć opowieści o morskich potworach, z którymi rzekomo się zetknął podczas swych niezbyt w końcu odległych morskich eskapad.

Było późno, czuł, że zmitrężyli tu ze dwie godziny. Na dworze zrobiło się już zapewne ciemno, ale starał się odwlec chwilę powrotu do domu. Kiedy wreszcie się podniósł, poczuł, że wypite wino – tak ciężkie, że zdawało się, iż można by je kroić nożem – odbija się nie tylko w jego głowie, ale i nogach. Z trudem przecisnęli się do wyjścia. W drzwiach otarli się jeszcze o Jususa, który bez pardonu, jednym szarpnięciem wyrzucił na bruk kogoś z niezbyt poważanych gości. Ten, leżąc w błocie, wygrażał bełkotliwie szynkarzowi i brutalnej obsłudze.

Pomógł mu wstać i otrzepać odzienie, ale nie spotkało się to z reakcją, której oczekiwał. Pijak prawdopodobnie pomylił go z Hunthorstem, bo zaczął przeklinać i nawet próbował wymierzyć mu cios, na szczęście w porę złapał go za rękę przytomny de Vos, a potem, nie czekając na powtórkę, odciągnął od niego przyjaciela.

– Nigdy nie lituj się nad pijakiem – był rozeźlony bardziej, niż powinien.

Wiedział, z czego wynika ta jego niechęć do nadużywających trunków. W mieście była to głośna sprawa. Ojciec Corneliusa o mało nie złamał mu kariery, kiedy to zamiast na naukę syna przeputał majątek na przekleństwo przyjemności.

– Taka moja natura – odpowiedział filozoficznie, choć wiedział, że nie sprawi tym przyjacielowi przyjemności.

Padła deszcz. W kilka chwil byli cali mokrzy. Nawet kapelusze o dużych rondach nie chroniły ich przed ogromnymi kroplami, jakby złośliwie niesionymi przez wiatr wprost w ich twarze. Cornelius odprowadził go pod sam dom, ale mimo zaproszenia nie wszedł do środka.

– Lubię taką pogodę. To nie do wyobrażenia, prawda? – zapytał na pożegnanie.

Znał jego dziwne upodobania, ale faktycznie tylko człowiek szalony albo taki, który utracił domostwo, mógł chodzić w taką pogodę po ulicach. Ale de Vos, będąc wspaniałym malarzem, miał też dziwną naturę. Mieściły się w niej szaleństwa przywodzące na myśl nieuleczalne choroby, których Jordaens bał się bardziej niż czegokolwiek innego.

Szybko zmienił ubranie, zajrzał w poszukiwaniu żony do kuchni, a nie znalazłszy jej tam, gdzie się spodziewał, zaszedł jeszcze do komnaty van Noorta. Starzec spał spokojnie z na wpół uchylonymi oczyma, jakby wyczerpany nocą, dochodził teraz do siebie. Pomyślał, że to tylko pozór, chwilowy odwrót choroby.

Przeszedł do pracowni. Siódemka podopiecznych, nie zauważywszy jego wejścia, zaśmiewała się z jakiegoś dowcipu. Po kolei podchodził do nich, chwalił, taką miał zasadę odziedziczoną po teściu, najpierw pochwał, dopiero potem pokaż błędy, niekiedy przytrzymał rękę albo listwę, na której dla wygody ją opierali, domalowując jakiś szczegół najcieńszym z pędzelków. Na koniec przypatrzył się pracy syna, być może najzdolniejszego w całej pracowni. Nie wyróżniał go, ale i nie wykorzystywał bardziej od innych. Tylko złośliwiec mógłby powiedzieć, że w tym miejscu łączy ich coś więcej niż tylko doskonałość projektu. Szkicował woły, których ogromne cielska, podbite światłem, mogły w jego wykonaniu uchodzić za bardziej niż poprawne. Czegoś w nich jeszcze brakowało, ale to przyjdzie z czasem, pomyślał.

Brał od nich podmalowane obrazy, odmieniał, dawał niepowtarzalny rys. Któż zresztą z wielkich czynił ina-

czej? Byli jak małe dzieci kształtowane cudzą ręką. Często w jakimś ruchu, geście, pociągnięciu łuku dostrzegał samego siebie. Po wielokroć powtarzali jego prace, czuł, jak wychwytują jego myśli, dojrzewają, stają się sprawni. Zresztą każdy z nich miał tę bożą iskrę, która pozwalała żywić nadzieję, że kiedyś zajmie należne mu miejsce, że lata stracone na ćwiczeniach, żmudnym szkicowaniu modelu, poświęceniu młodości nie są daremne. Chciałby mieć tyle szczęścia, co van Noort, znaleźć kogoś takiego jak Rubens albo on sam.

Któryś z młodzieńców nie powstrzymał kłopotów z żołądkiem, co stało się przyczyną huraganów śmiechu. Tyle ich radości, pomyślał.

Do pracowni zajrzała Lysbeth. Od tygodnia była przeziębiona, kichała i co rusz wycierała nos w płócienną szmatkę, która wystawała z obszernej kieszeni umieszczonej centralnie na brzuchu. Zdziwiła się, widząc go w pracowni.

– Pani pojechała z małą do Anny – poinformowała, kiwnęła na któregoś z chłopców i wyszła razem z nim, starannie domykając drzwi.

Żona rzadko kiedy odwiedzała teraz siostrę. Anna miała w ostatnich tygodniach zbyt wiele na głowie. Więc nawet się ucieszył, że posiedzi z nią chwilę, zobaczy siostrzeńców. Całe szczęście, że ta trzy lata młodsza od Cathariny kobieta mimo domowych obowiązków mogła mu czasami poświęcić kilka godzin na pozowanie. W ilu obrazach umieścił jej twarz? Dwu? Trzech? A może więcej? Dziecięcą, w wieku dojrzewania i kobiety już. Była cierpliwym, wytrwałym, nieulegającym emocjom, najlepszym modelem i gdyby to możliwe, uwieczniłby ją w każdym płótnie. Miała już swoje lata, ale wciąż uchodziła za piękną.

Wziął do ręki paletę, zaczął mieszać farby. Dawno odszedł od luminizmu, teraz to, co ważne, rozgrywało się w jego głowie. Nie światło, ale postać, wyraz jej twarzy, oczy, usta, zdobiąca ją szata. Ktoś mu kiedyś pokazał obraz wielkiego Caravaggia. Potem jeszcze jeden. Pamiętał swój zachwyt dla kontrastu, światłocienia, ruchu, tego, co odnalazł w kompozycji, odwagi w barwach. Nie mógł spać przez wiele nocy, chciał malować jak tamten, uczynić ze światła oś obrazu. Całe szczęście, że Rubens przywołał go do porządku.

– Zmarnujesz talent – usłyszał od niego, ale wciąż nie chciał przyznać, że ta mania, wzorzec, tkwi w nim jak cierni. – Weź do ręki własny pędzel, nie cudzy. Odychaj.

Starał się zrozumieć. A potem zauważył, że albo cofnie się do tego punktu, z którego wyszedł, odrzuci zachwyt, znajdzie to, co w nim własne, przemyślane, albo będzie malował jak ter Brugghe, Baburen i tylu, tylu innych, o których, ceniąc ich mistrzostwo, świat będzie pamiętał tylko razem z uwodzącym ich Włochem.

Pociągnął okrągłym pędzlem po szkicu. Wypełniał postać Amfitryty, najpiękniejszej z boginek, baraszkującej z innymi wśród traw, które zakrywały połowę sylwetki. Zmieniał brunatną linię gęstą farbą zgarnianą z palety.

Nie wiedzieć czemu, przypomniał sobie, że Caravaggio był nawróconym zabójcą. Gdyby nie uciekł, gdyby papież mu nie darował... Gdzie jest ta cienka linia dobra i zła, gdzie w imię sztuki można zapomnieć, przebaczyć? A może nie zapomnieć, ale tylko przebaczyć? Zdać się na sąd Boży. Winy małe i całkiem wielkie. Przykazanie Boże, nie zabijaj. A gdyby Sacrum Officium

znów tu wróciło? Gdzie byłoby jego miejsce? Co byłoby ważniejsze, rodzina czy wiara?

W pulchnej bogince, malowanej szybkimi pociągnięciami pędzla, w jej zmysłowej twarzy, w ciele, o którym mógłby marzyć każdy mężczyzna, nie było żadnego rysu starości, niczego, co zapowiadałoby ból, cierpienie nieuchronnie przecież spięte z każdym losem. Nawet zwierzęta wokół miały być spokojne, wyciszone, rozumiejące, że przypisano je do ról prawie boskich.

Tak się zamyślił, że dopiero teraz spostrzegł wchodzących uczniów. Widocznie Lysbeth zabrała ich do kuchni. Miała do nich wyjątkowy stosunek. Opiekowała się nimi, wsuwała w kieszenie smakołyki, a oni, kpiąc między sobą z tej jej dobroci, byli wdzięczni, bo czuli w niej trochę matkę, starszą siostrę, kogoś zaufanego, komu mogą powierzyć część swojej młodości.

Skupili się wokół niego, nagle wyciszeni, pełni podziwu. Nawet najmłodszy wyrosł już z wieku, w którym rozdziawia się gęby i traci wiarę we własne możliwości. Umieli tyle, że potrafili dociekać błędów, ale i tych kilku pociągnięć, które odmieniały płótno. To zresztą, co było w malowaniu najlepsze, dla każdego – nawet dla takich jak on – to niespodzianka, niewiadoma, dziwne spotkanie. Bo nawet najstaranniej przemyślany obraz, choćby go rozrysować w najdrobniejszym szczególe, odmieniać setki razy, i tak będzie zaskoczeniem.

Pozwolił im dłuższą chwilę przyglądać się swojej pracy. Czuł ich oddechy, bicie serc. Pewnie gdyby mogli, znał to z autopsji, sami poprowadziliby jego rękę. A później pogonił ich jeszcze na chwilę do pracy. Zresztą prawie wszyscy, obcy w tym mieście, niewiele mieli do roboty po wyjściu z pracowni. Mieszkali u wdowy

Coppens, bogobojnej, surowej damy, która za niezbyt wygórowaną opłatą od lat opiekowała się wszystkimi jego uczniami. Ci starsi, z sypiącym się wąsem, próbowali poznawać miasto, jego nocne uroki, ale czynili to z obawą, raczej sposobem, wymykając się z wieczora bocznym wyjściem, niż oficjalnie, bo sroga dama nie była skłonna wybaczać ani tym bardziej aprobować stylu życia ludzi uciekających od Kościoła, wiary, utartych schematów życia. Pani Coppens, utraciwszy w młodości jedyne go syna, często obwiniała się o niepełnione grzechy. Zabierała ich przed kolacją na wieczorną mszę, a gdy któryś wymawiał się chorobą albo bólem zęba, pilnowała, aby kolejny dzień uczciwie spędził w łóżku.

Wyszli koło siódmej. Został tylko z synem. Pokazał mu pewną sztuczkę ze światłem wychodzącym spod wierzchniej warstwy farb, a chłopiec, jakby w zamian, zademonstrował mu swoje doświadczenia. Malował inaczej niż ojciec, krótszymi ruchami, starając się od początku dopieścić obraz, nadać mu ostateczny kształt. Miał pewien problem z uchwyceniem osi obrazu, z odnajdywaniem tych kilku punktów, które decydują o umiejscowieniu figur. To przyjdzie z czasem, pomyślał. Bez wątplenia jednak młody Jacob malarsko dojrzał wolniej od niego.

Przyjrzał się napisom na steli, która – niby z boku – przyciągała jednak wzrok każdego fachowca. Wziął od niego najcieńszy pędzel, ledwie kilka włosów, umoczył w farbie i delikatnym dotykiem w parę sekund wyrównał inskrypcję. Amazonki z obrazu także nie były jego. Zamiast pogody widział w nich rozbuchane żądze. Naga pierś wymykająca się zbroi, też przecież nieprzypadko-

wo, u niego znaczyłyby delikatne wyzwanie, a u szesnastolatka – zauroczenie.

Wytarł ręce w szmatę, przyciągnął go do siebie i przytulił. Chłopiec unikający zwykle czułości, tym razem odwzajemnił mu uścisk.

– Chodźmy do dziadka – zaproponował.

Starannie wytarli pędzle i wstawili je do specjalnych dzbanów wypełnionych na centymetr olejem.

Starzec leżał z otwartymi oczyma. Ciężko dyszał, a strużki śliny od czasu do czasu wypływały mu z kąćków ust. Miał wysuszoną twarz, która jakby się zbiegła pod wpływem choroby.

– Jak z wulkanu – powiedział, a syn musiał zrozumieć to porównanie, bo o nic nie zapytał.

Van Noort nie poznał ich, nie wykonał żadnego gestu. Było więcej niż pewne, że choć spokojny, jest już we własnym świecie, do którego nie mają dostępu inni.

Usiedli przy łóżku, młody Jacob wziął rękę dziadka.

– Ma całkiem zimne dłonie – powiedział.

Był związany ze starcem. Jako dziecko często przeszkadzał mu w pracy. Wchodził na kolana, podbierał pędzle do swoich zabaw. Cierpliwy van Noort pozwalał mu na bardzo wiele. Mimo reguł panujących w tym domu nie irytował się, kiedy malec coś zniszczył.

– Mama wspominała o śmierci Włocha – przypominał mu wczorajszy dzień.

Nie dopuszczał dzieci do rozmów o interesach. Inaczej Catharina. Może zresztą uznała, że Jacob nie jest już dzieckiem? Był wysoki i na dodatek miał ładną twarz. Pomyślał, że będzie się podobał kobietom.

– Nikt nie wie, kiedy mu pisana godzina.

– A zamówienie? Mama mówiła o pieniądzech, które są wam winni.

Machnął ręką. Nie powinien o tym myśleć. W każdym razie nie teraz. Z drugiej strony przecież nie może od tego uciekać. Umów należy dotrzymywać.

– Kto jest winien?

– Ktoś przecież zamawiał te obrazy.

– W tym rzecz, że nie mamy pojęcia, kto. Ten ktoś nie chciał, abyśmy wiedzieli.

– A rodzina kardynała?

– Przecież nie zamawiał ich dla siebie.

– Niczego się nie domyślają?

Skąd mógł wiedzieć? Uparta Catharina skłonna była szukać sprawiedliwości, dochodzić należności. Gdyby to od niego zależało, machnąłby ręką.

– De Vos wspominał, że jezuici od Karola Boromeusza mają zlecenie w kościele. Chcą, abyśmy zaczęli od przyszłego miesiąca.

Czuł, że chłopiec chce porozmawiać, ale że to nie pieniądze, nie obrazy teraz go zajmują.

– Bóg stworzył ludzi na swoje podobieństwo – rozpoczął chrzęc niezdarne. – Ale Bóg to byt absolutny, prawda?

Przytaknął. Skąd u niego te myśli? Mógł się tego tylko domyślać. Słyszał przecież o słynnym Francuzie nazwiskiem Descartes, mieszkającym teraz tuż, tuż w wyzwolonych Niderlandach.

Starzec jęknął i w tym samym momencie szerzej otworzył oczy.

– Pić, pić – szepnął.

Chłopiec niechętnie podniósł się z posłania i oddalił po Magdalenę. Ale zamiast niej przybiegła Catharina,

która musiała właśnie wrócić od siostry, bo nie zdążyła jeszcze zdjąć wierzchniego okrycia. Zrzuciła je na podłogę i zaczęła pić ojca maleńką łyżeczką, którą szybko zanurzała w dzbanku.

– Trzeba posłać po twoje rodzeństwo – wiedział, że ta chwila przyjdzie, że sprawi jej ból, że będzie uciekać od tej myśli, ale o dziwo przytaknęła.

Przed północą dom był pełen ludzi. Wyciszonych, zalęknionych. Zjawił się też pastor z kalwińskiej gminy o nazwisku Voorhof, który starał się zebranych pocieszać, nakłaniając do modlitwy.

Ale stary van Noort zrobił wszystkim niespodziankę. Ani myślał wybierać się na tamten świat. Umarł prawie trzy tygodnie później, a przed śmiercią zaczął nawet chodzić.

Nie był już chłopcem. Miał dziewiętnaście lat, rudawą czuprynę i tors, który w upalny dzień chętnie obnażał. Listy polecające, które Joris Waldou przywiózł w czerwcu roku tysiąc sześćset czterdziestego piątego, świadczyły o tym, że sława malarskich dokonań Jacoba Jordaensa dawno wykroczyła poza Niderlandy, Niemcy czy Hiszpanię.

Mistrzu,

oddawca tego listu, nasz poddany, utalentowany malarz Joris Waldou, od lat marzy, aby móc rozwijać swój talent pod waszym okiem, okiem największego z Mistrzów doby współczesnej.

Kieruje nami przekonanie, że jego starania, poparte Waszą opieką, wyzwolą w nim najgłębsze pokłady uzdolnień, uczynią zeń świadka epoki, dadzą współczesnym i potomnym dzieła, obok których nikt nie przejdzie obojętnie.

List miał sześć stron i w szczegółach przedstawiał prośbę. Podpisana pod nim delikatną ręką szwedzka królowa Kristina, rozplywała się nie tylko nad Jorisem, ale i jego liczną rodziną. Zwłaszcza nad ojcem, który na dworze wypełniał funkcje nie tylko ważne, ale – sądząc z jej słów – wymagające umiejętności i wiedzy ponadprzeciętnej. Musiał być kimś do specjalnych poruczeń, tajnych misji, niebezpiecznych wojaży albo nawet szpiegiem, który zniewalał innych na chwałę dworu w Sztokholmie.

Zanim się zgodził przyjąć go do pracowni, długo przyglądał się przywiezionym płótnom. Waldou bez wątpienia miał talent. Ale to słowo – talent – tak chętnie nadużywane, przypisywane każdemu, kto machnął pędzlem, nie było chyba zbyt dobre w tym wypadku. Miał jakiś rodzaj bezczelności, ironicznej pewności siebie, która prawdopodobnie odpychała od niego ludzi drażliwych, czułościowych, zakompleksionych, niepewnych.

Dawno zauważył, że z obrazów można wyczytać charakter ich autorów. Joris malował inaczej niż jego uczniowie. Androgyniczne anioły, natura, w której prastary las stanowił jakiś motyw mroczny, tajemniczy, germańscy rycerze o zmęczonych, wykrzywionych twarzach, kobiety zeszepecone, przekwitłe, nieapetyczne. Było to dziwne połączenie ubiegłowiecznych rozpasanych Włochów z nowatorstwem współczesnej optyki, gamą odbijających luster i miłością do tego, co brzydkie. Z drugiej jednak strony młodzieniec operował kolorem oszczędnie, nie nadużywał bieli, to, co chciał wyeksponować, zaznaczał odcieniem. Może właśnie to było w nim najbardziej interesujące? Ta oszczędność, w której tak rzadko gustowali młodzi.

Popatrzył mu prosto w oczy.

– Brązowe, jak kora drzew. – Waldou nie spuścił wzroku, roześmiał się i odgarnął długie, spadające na oczy włosy. Gdyby był kobietą, pewnie plótlby je w warokoz. – Chcecie, panie, zapytać, po co tu przyjechałem? Co mnie skłoniło do wyprawy tak daleko od domu?

Pokręcił przecząco głową. Nie to go interesowało. Zresztą i tak wiedział, co usłyszy.

– W waszym wieku... – chciał mu powiedzieć, że w jego wieku powinien mieć inne wyobrażenie o świecie. – W waszym wieku umiałem znacznie mniej – skłamał, nie wiedząc czemu, ale Joris przyjął jego kłamstwo za dobrą monetę, a komplement za coś tak naturalnego, jak czerwcowe burze.

Podobał mu się. Złapał się na tym, że podoba mu się jako mężczyzna. Uczuł nawet coś jak lekkie podniecenie. Delikatny zarost, czoło bez śladu zmarszczek, gładka skóra na rękach, umięśnione ramiona, których zarys przebiegał się przez płótno koszuli, żywe, rozbiegane, ciekawe świata oczy, wszystko to, czego jemu zaczynało powoli brakować. Mógłby być dobrym modelem, przywołał sam siebie do porządku.

W przeciwieństwie do niego Catharina nie była oczarowana nowym uczniem. Może dlatego, że nie wiedząc, z kim ma do czynienia, potraktował ją jak służącą? A może od pierwszego dnia wyczuła w nim konkurenta dla Jacoba? Nie do sławy, ani do pieniędzy, bo przecież nie bała się jego talentu, ale... Kiedy pokazał jej obrazy, roześmiała się.

– Co to jest? – w jej głosie lekceważenie szło o lepsze z pogardą. Wyciągnęła palec i wskazała kobietę o wysuszonych, ropiejących piersiach. – Nawet przez dziesięć lat niczego go nie nauczysz.

Często jej rozum, siła argumentów, zdolność przekonywania skłaniały go do zmiany decyzji. Ale zdarzało się przecież, jak w sprawie z rodziną Scaglii di Verrua, że nie miała racji. Więc zaprotestował gwałtownie, zbyt ostro, jak na tak błahy powód.

– Bies cię jakiś opętał, Jacob – starała się zachować spokój, ale był to spokój pozorny.

Wychodząc, trzasnęła drzwiami. Czowała dziwne zagrożenie, choć nie utożsamiała go z Waldou. Cóż znaczył ten szczeniak z wysuniętą do przodu szczęką? Nawet to, że był protegowanym królewskiego dworu, a może to nawet przede wszystkim powinno go skłaniać do pokory, nie pychy. Nie w tym domu, nie w jej domu. Za żadne pieniądze nie pozwoli, aby ktokolwiek cokolwiek tu zmienił. Potrafiła być uparta, ale do tej pory nigdy nie ingerowała w warsztat męża, a zwłaszcza nie okazywała uczuć w stosunku do jego uczniów.

– Kto to jest? – Anna Catharina, najmłodsze z ich dzieci, nie musiała wyjaśniać, o kogo pyta.

Dostrzegła w oczach córki isierki charakterystyczne dla panien próbujących ukryć zainteresowanie mężczyzną. Pogroziła jej palcem, ale uśmiechnęła się. Szesnastolatka mogła i z ojcem, i z nią robić, co chciała.

– Podoba ci się?

– Skądże. Co mamie przyszło do głowy? Ot, tak pytam.

– Ot, tak?

– Tylko jedno mamie w głowie.

– Mnie?

Klepnęła ją w pupę, tak jak czyniła to, kiedy Anna była dzieckiem. Dziewczyna, zamiast się oburzyć, pochyliła się w przedziwnym, dworskim ukłonie.

– No, kto to jest? Powiedz, powiedz.

– Za młody dla ciebie. I rudy.

Lysbeth zagarnęła ją do siebie samymi łokciami, bo ręce miała w resztkach patroszonej ryby, i ucałowała w głowę. Jak rodzice, była przywiązana do tej panny.

– Tajemnica, tajemnica – służąca zaczęła się droczyć, ale nie trwało to długo.

Oplukwała ręce, wytarła w lnianą ścierkę, odciągnęła małą do spizarni i zaczęły coś szeptać między sobą.

Catharina czasami bywała zazdrosna o te względy służby. Czowała, że dzieci wymykają się jej, zaczynają żyć własnym życiem. Nawet najmłodsza stała się już prawie dorosła. Ale ten Joris? Skąd zainteresowanie tym rudzielcem? Kimże on jest, do diabła? Nie, zresztą, jak miałyby ją puścić od siebie? Na koniec świata? Ta Szwecja, z ich wojowniczymi królami, zimą, śniegami. Dzikusy. Nie, nie. Wystarczy tych wojen tutaj. Jak kwoka chciałaby zgarnąć swoją rodzinę pod skrzydła. Dom stanowił dla niej coś więcej niż tylko miejsce zamieszkania. Tylko w nim czuła się wolna od lęków, które od jakiegoś czasu zdominowały jej życie.

Nie umiała się długo gniewać, więc wyszła do Jacoba. Siedział przed rozstawionymi obrazami Waldou i wpatrywał się w nie, jakby szukając odpowiedzi na niezadane pytanie. Przywołał ją gestem ręki. Wziął jej dłoń i zaczął nią poruszać przed obrazem. Chciał naśladować pociągnięcia pędzla Jorisa. Ale jakby się wahał, nie był do końca przekonany.

– To samouk. Nikt tak nie maluje – orzekł wreszcie.

– Patrę i patrę. No, spójrz – puścił jej dłoń i wskazał na dalszy plan. – Punktuje tam, gdzie inny ciągnąłby

pędzlem. To zamach na klasyczne malarstwo. Melancholia i chłód, zobacz, jaka gama nastroju.

Był już pewien swego. Więcej niż pewien. Ten chłopak zmierzy się z nim nie jak uczeń z mistrzem, ale jak równorzędny partner. Chyba że go złamie, nauczy malować, zburzy jego hierarchie.

Więc zostawił ją i poszedł do pracowni, gdzie odeśłał Jorisa. Dłuższą chwilę szukał go wzrokiem. Szwed siedział na ziemi przy bocznych drzwiach z nogami podciągniętymi pod brodę i czytał, a może tylko udawał, że czyta, jakiś list. Nie zwracał uwagi na innych. Podszedł do niego i bez słowa wskazał miejsce po chorym Gasparze.

– Tu i tu – dłuższą chwilę tłumaczył, czego po nim oczekuje.

Płótno w sztalugach wymagało prostych zabiegów. Harmonia obrazu, jego jednorodność wynikała z samej treści. Zdjęty z krzyża Chrystus, surowo realistyczny, pokrwawiony, spoglądający na niego z góry Bóg Ojciec i grzeszna Magdalena. Chciał, aby kontynuował podmalówki, uzupełnił, dolne partie, jakieś kamienie, kurz. Sam był ciekaw tego obrazu.

Zamiast wziąć się do roboty, Joris zaczął z nim dyskutować. Kiedy pokazał mu załamanie proporcji, musiał przyznać rację, ale kiedy chciał kwestionować światło, kazał mu milczeć.

– Za mało na ten temat wiecie – oznajmił autorytatywnie – aby wchodzić w moją rolę.

Stał do swojej pracy i ukradkiem przyglądał się młodzieńcowi, tak samo jak inni uczniowie. Niby zajęci pracą, ale tak naprawdę ciekawi nowego.

Trzy dni nie odzywali się do siebie. Byli jak wściekłe psy, które zanim zaatakują, obwąchują się, warczą, straszą, próbują zastraszyć przeciwnika samym wyglądem.

Ale to, co normalne dla takiego malarza jak Jordaens, z całą pewnością nie mogło być normalne dla Waldou. Widział, że ten bunt, pycha, wcale nie spływają z niego. Joris nie pokorniał, wręcz odwrotnie. Coraz śmieiej rozglądał się po pracowni, zagadywał sąsiadów, ale przede wszystkim zawzięcie malował.

A kiedy uznał, że wypełnił polecenie, poprosił Jacoba do siebie.

– Mistrzu, rzucicie okiem? – to nie było pytanie ani prośba.

Jordaens skończył to, co miał skończyć, i podszedł do obrazu. Żadnego błysku. Poczul się rozczarowany, może nawet zażenowany. Czym ten chłopak tak mu imponował? Może Catharina znów miała rację? Klóciła się z nim o niego zawzięcie. Przekonywała, ale gdzieś w głębi duszy czuł, że ta niechęć lada chwila może eksplodować uwielbieniem. Kobiety z jego otoczenia często szokowały zmianą frontu.

Waldou chyba jednak źle odczytał przeciągające się milczenie Jordaensa. Wziął je za skupienie, namysł, dobieranie słów. Dało się zauważyć, że oczekuje pochwał. W ogóle nie wypełnił poleceń Jacoba. To, co namalował, było jakimś buntem. Zmieniony nie do poznania Chrystus wcale nie stanowił teraz ucieleśnienia cierpienia. To raczej Bóg Ojciec przyciągał i skupiał na sobie uwagę. Jedyne, co można było uczynić, to zamalować go i odtworzyć na nowo.

– To jakiś żart? – zapytał gniewnie.

Zobaczył, jak po twarzy Jorisa przebiegł skurcz. Potem jeszcze jeden i jeszcze. Starał się opanować i nie pokazać emocji, ale musiał być zaskoczony.

– Żart? – wystękał niepewnie.

Wyjął z jego pojemnika najszerszy pędzel, zanurzył w farbie i pociągnął nim przez środek płótna. Od góry do dołu, potem odwrotnie. Nie chciał na niego patrzeć. Pierwszy raz zdarzyło mu się, że uczeń go nie posłuchał. Zamalował obraz i wyszedł bez słowa. Poszedł do kuchni, poprosił Lysbeth o wino i nie przebijając się, tak jak stał, zasiadł do niego w jadalni.

Pił samotnie aż do przyjścia Schuta. Małomówny Cornelius nie był najlepszym partnerem do pogawędek. Odzywał się rzadko, długo ważył słowa, a włos lubił dzielić na czworo. Siwa, potargana czupryna i brodawki, które kłębiły mu się po policzkach, stwarzały wrażenie, że zasiadł za stołem człowiek sędziwy. A był przecież cztery lata młodszy niż Jacob.

– Nie pracujesz?

Schut wiedział, że o tej porze, przy dziennym świetle Jordaens poświęca się tylko malowaniu. Przyszedł nie po to, aby mu przeszkadzać, ale by prosić o radę. Miał dziwny problem z freskami. Nawet nie z samym malowaniem. Zawilgocone ściany katedry powodowały, że zanim skończył jeden fragment, musiał go znów pokrywać zaprawą i malować na nowo. Gonili go terminy kolejnych zamówień, a zdawał sobie sprawę, że bez jego obecności inni nie poradzą sobie z tą skomplikowaną strukturą.

Cornelius był przekonany, że Jacob znajdzie radę. Trafiał przecież pod najlepszy adres. Jordaens lubił malować na mokrym tynku, miał w tym wprawę.

– Poczekaj – poprosił.

Poszedł do pracowni, kazał Waldou zostawić obraz i iść z sobą.

Siedmionawowa gotycka katedra przytłaczała swoim ogromem. Nie czuł się w niej zbyt dobrze. O ileż bardziej wolał wspaniały kościół Świętego Pawła i jego tajemnice różańcowe na pięćdziesięciu zgromadzonych tam obrazach, jego jednolity wystrój, kolorystykę od mahoni po biel, marmurowe ołtarze. Wspięli się po drabinach na podesty tuż pod sufitem, tak pełne ludzi, że trudno im było przejść obok siebie. Młodzi murarze kładli kolejną warstwę zaprawy. Schut pociągnął go za rękaw i pokazał po lewej stronie – rozpięte między świętymi – muzykujące anioły. Faktycznie część postaci rozplywała się, nikła, konstrukcja załamywała i czyniła fresk kompletnie nieczytelny. Sprawdzał farby, powąchał je, a potem roztarł odrobinę na dłoni. Nie tu tkwiła przyczyna. Problemem było wapno i zbyt duże partie sufitu, na które kładziono zaprawę.

Przywołał do siebie kierującego murarzami Stealensa.

– Wiesz, co się dzieje?

Stealens pokręcił głową. Tego należało się spodziewać. Rzadko kto przyzna się do błędu. Zresztą, zatrudnianie akurat jego było rozwiązaniem co najmniej ryzykownym. Jordaens wolałby pracować z doświadczonymi Swartenbroeksem, van Hegem, a nawet z młodym, za to solidnym Hidenem. Stealens, gdy nie patrzyło mu się na ręce, potrafił zepsuć każdą robotę. A Cornelius zgromadził wokół siebie tylko młodziaków, zdolnych, pomocnych, ale nie takich, którzy wychwycą każdą nedoróbkę.

Wskazał ręką wyschniętą zaprawę.

– Na tym się nie da malować. Nie widzicie tego?

Schut przejechał dłonią po suficie. Uśmiechnął się z niedowierzaniem. Był łatwowierny i często płacił za to pracą ponad siły.

– Mistrzu – Waldou patrzył na Jordaensa z niemym podziwem.

Machnął ręką, nie oczekiwał teraz pochwał. Wytlumaczył mu, na czym polega problem.

– Zostaniesz u Corneliusa. Zanim da ci się dotknąć do malowania, każdego dnia sprawdzisz murarzy.

To miała być dla niego twarda szkoła życia.

– Coś za coś – szepnął Schutowi na ucho. – Zajmij się tym chłopcem. I nie oszczędzaj go.

Malarz kiwnął głową. Od lat wyświadcza sobie drobne przysługi.

– Panie... – Stealens wciąż był gotów do sporu, ale Schut nie dał mu skończyć.

– Ani słowa Stealens. Albo zbierajcie się na dół – wymownie pokazał palcem na drzwi katedry.

– Nie wykonacie niczego bez jego zgody – Jacob wskazał murarzom Jorisa. – A i ja wieczorem przyjdę was sprawdzić. Mistrz Schut powinien was obciążyć za błędy.

Ostrożnie zszedł na dół. Pod podestem, wyraźnie go upatrzawszy, czekał na niego w ławach ogromny prałat Fryne, znany z tego, że uwielbiał śmiać się z własnego nazwiska zbieżnego z imieniem greckiej hetery tak pięknej, że przebaczone jej nawet bezbożność.

– Dawno nie byłeś, Jacob, u spowiedzi – rozpoczęła, ale ta przygana stanowiła tylko pretekst do całego ciągu dowcipów, niewinnych żartów, a nawet obscenicznych scenek rodzajowych.

– Fryne – Jordaens nigdy nie zwracał się do niego inaczej niż po nazwisku – tyś się minął z powołaniem.

Bo i po prawdzie prałat znalazłby miejsce w każdej teatralnej trupie. Jego ludowy humor sprawiał, że był powszechnie lubiany i szanowany, a otwarty umysł pozwalał dostrzec, że prócz życia duchowego jest też życie doczesne.

Ale na koniec księżulo spoważniał i wygłosił kilka przestróg odnoszących się do lekceważenia papieża i hierarchów, do nowomodnych poglądów o językach narodowych w liturgii, do wybieralnych pastorów.

– Musisz Fryne nas odwiedzić. Zjemy głąszca – zaproponował, a prałat wywrócił oczy do góry, tak że widać było tylko ich białka, i gwałtownie zaczął przelykać ślinę, jakby chciał dowieść, że sama myśl o jedzeniu budzi do życia cały jego organizm.

– Kusiciel – pożegnał go znakiem krzyża i mocnym uściskiem dłoni.

Zanim wyszedł, zorientował się, że zostawił na górze kapelusz, którym chronił się od czerwcowego słońca. Wrócił i stanął pod rusztowaniem.

– Waldou – krzyknął do góry, bo czuł się zbyt zmęczony, aby znów wspinać się pod kopułę.

Widocznie jednak w panującym tam rozgardiaszu Joris go nie usłyszał, bo musiał krzyknąć raz jeszcze, a echo zwielokrotniło jego głos. Kiedy młodzieniec wychylił się znad rusztowania, pokazał mu na odkrytą głowę. Chwilę później próbował złapać lecący z góry kapelusz, ale panujący w kościele przeciąg sprawił, że ten minął jego ręce i wylądował zupełnie nie tam, gdzie przewidział. Ale zanim upadł, Jacob pomyślał, że to znakomita scena malarska. Promień światła przechodzący przez katedrę od świetlików u góry po kamienną posadzkę, starszy mężczyzna i unoszony wiatrem kapelusz,

a w drugim planie ołtarz z ukrzyżowanym Jezusem o twarzy jak u Caravaggia, jego młodzieńczego mistrza, od którego tak już się oddalił. Taki obraz nie byłby możliwy w innych kościołach, w których witraże zastępują zwykle szyby, ale tu, czemu nie?

Nie miał ochoty wracać do domu, dzień i tak był już stracony. Poszedł więc w stronę Skaldy i maszerował jej brzegiem poznawany i zaczepiany przez przechodniów. Ale nie szedł całkiem bezmyślnie. Od dawna chciał zajść do pracowni Joosa Engla, popatrzeć na szlifowanie diamentów. Lubił do niej chodzić. Kiedyś, gdy miał więcej czasu, potrafił spędzić tam i pół dnia.

– Mistrz Jacob? Co za niespodzianka – najmłodszy z synów Joosa, Niceto, przywitał go radosnym uśmiechem.

Przeszli między uczniami do pracowni głowy rodziny. Engel, mimo pięćdziesiątki na karku, wciąż musiał mieć świetny wzrok, bo obrabiany kamień trzymał jak dawniej z dala od głowy.

Jacob pokazał Niceto, aby nie przeszkadzał ojcu w pracy. Stali od niego może metr, może półtora i patrzyli, jak wysupluje diament z małej obejm, unosi kamień do światła, przygląda się mu, znów mocuje, robi kolejne nacięcie, przyciera, znów patrzy. Ta praca, pozornie jednostajna, była jednak szalenie wciągająca. Wreszcie Engel sięgnął po kawałek pokrytej włosiem skóry, zaczął wycierać i przyglądać się swemu dziełu.

Niceto delikatnie odchrząknął. Wiedział, że każdy gwałtowny ruch mógłby spowodować nieodwracalne szkody. Uszkodzenie tak długo obrabianego arcydzieła doprowadziłoby ojca nie tylko do gniewu, ale i zmusiłoby go do poświęcenia kolejnych godzin, a w tym piekiel-

nym pośpiechu, w którym toczyło się ich życie, pośpiechu, jakiego nie znała żadna wcześniejsza epoka, była to strata trudna do oszacowania.

– Tak? – Joos nie odwrócił się, czekając, aż syn wyjaśni powody, dla których ośmielił się zakłócać mu jego czas.

– Ojciec, masz gościa – Niceto nie czekał i wyszedł z pracowni, zanim starsi wpadli sobie w ramiona.

Engel lubił Jordaensa nie tylko dlatego, że ten, jak nikt inny, potrafił zobaczyć w jego pracy coś więcej niż zwykle rzemiosło. Był w swoim fachu nie mniejszym mistrzem niż tamten wśród malarzy.

Pokazał mu obrabiany, zabarwiony na czerwono dwunastościenny kamień, w którym załamania światła grały przy każdym obrocie. Pomyślał, że to świecidełko, oprawione w złoto, będzie najpewniej zdobić rękę kogoś ze dworu, jakiejś damy, która uzna za naturalne, że właśnie jej świat ofiarowuje taki prezent.

– Popatrz – Joos kazał mu się przyglądać i dostrzec coś, czego jego oko, w końcu wyczulonego na szczegół, początkowo wcale nie dostrzegało. – Całe szczęście – wykrzyknął wreszcie. – O, tu.

Był w tym triumf osoby, z którą niewielu może się równać. Faktycznie, w miejscu, które wskazał, znalazło się zdumiewające przebarwienie, plamka, a oglądany od tej strony kamień robił niezwykle wrażenie.

– Tylko w Rosji są takie diamenty – orzekł autorytarnie. – Tysiące lat ugniatania, krystalizacji. Czy to nie śmieszne?

– Śmieszne? – nie zrozumiał, ale tamten tylko machnął ręką, jakby ta uwaga została skierowana nie do gościa, ale do niego samego.

Engel pokazał mu całą kolekcję kamieni, od największych po całkiem małe, takie, które kupowali antwerpscy bogacze dla swoich dojrzałych żonek albo całkiem młodych córek tuż przed oddaniem ich w cudze ręce.

Kiedy usiedli już przy winie, Jordaens, nie wiedząc czemu, zaczął opowiadać o Waldou. Mówił o swoim początkowym zachwycie i rozczarowaniu, przygnębieniu, jakie wywołał w nim swoim obrazem.

– Płótno można zamalować – Joos próbował rozproszyć wątpliwości. – To jednak inna materia niż diamenty. A poza tym – na chwilę zawiesił głos – sam wiesz, że w młodości każdy się buntuje. Patrzę na moich synów – prócz Niceto Engel miał jeszcze trzech innych: Wima, Carla i Matthiasa – patrzę, jak dorastają, jak umieją coraz więcej, jak nie sztywnieją im już palce. Patrzę, jak obchodzą się z ludźmi, jak są stanowczy, ale i łagodni. A kiedyś potrafili tylko warczeć. Każdy się buntuje. Trzeba umieć mu pokazać to, co dla niego najlepsze.

– Catharina mówi, że nic z tego nie będzie.

– Kobieta – Engel lekceważąco machnął ręką. W tej tradycyjnej rodzinie kobiety nie znaczą zbyt wiele.

– Ma więcej rozumu niż większość mężczyzn – zaproponował.

– Być może, być może – zgodził się z nim niechętnie. – Ale to ty – puknął go palcem w pierś – nikt inny, tylko ty wiesz, co tkwi w tym chłopaku.

– Kiedy właśnie nie wiem.

Joos roześmiał się. Od lat lubił przekomarzać się z przyjacielem. Trzy lata temu powiesił portret jego autorstwa tuż obok płótna Rubensa. Dwie sylwetki, dwie twarze, dwu najlepszych malarzy. Nawet on dostrzegł podo-

bieństwo, ten sam rodzaj faktury, ale też dzielące ich różnice. Rozwiczrzoną, monumentalną Paul Peter i jakby przygniecioną jego wielkością Jacob. Nie, nie, wcale nie był gorszy, a jednak to z obrazu tego pierwszego przebiła pewność siebie, wyczuwalne stanie na czele. I nie zmieniła tego nawet śmierć autora *Trzech gracji*.

– O tobie zawsze mówiono dobrze. Zawsze dobrze. Nie dziwi cię to? Może to przez twój charakter? – wybuchnął śmiechem. – Trudno cię wyprowadzić z równowagi, Jacob.

Faktycznie, trudno go było rozgniewać. Co więcej, naiwnie przebaczał nawet tym, którzy zawiedli go po wielokroć. Tak jak Frans de Brooh, bankier, u którego trzymał pieniądze. Ile musiał się naprosić, ile razy musiał grozić sądem, zanim wy dostał od niego swój majątek. A jednak nie obmawiał go, nie wydziwiał, nawet wciąż mu się kłaniał. Albo Ursula Hoekstra, której portret z takim trudem kończył mimo choroby. Wydawała mu się piękna i mądra, a okazało się, że była tylko piękna.

– Powinienem przenieść pracownię do ciebie Joos. Tyle tu niespodzianek. – Wiedział, że tą pochwałą sprawi przyjacielowi przyjemność. – Dziś inaczej bym cię malował – wskazał na portret.

– Wciąż się uczymy. Na starość zapominamy przestrogi mistrzów. I okazuje się nagle, żeśmy tak samo głupi, jak na początku. Albo jeszcze bardziej.

Engel, w przeciwieństwie do tylu innych, nie był skąpcem. Lubiał piękno i otaczał się pięknymi przedmiotami. Wielu nawet wyśmiewało to jego dążenie. Ale nie Jacob. Dobrze rozumiał, że człowiek może być szczęśliwy tylko tam, gdzie znajduje harmonię, ład, efekt dobrej pracy.

Stąd te kielichy, patery, misternie cięte szkła, obrazy i delikatne figury z jadeitu i carraryjskiego marmuru.

Pora była wracać do domu. Wstąpił jeszcze na chwilę do kaplicy Sint Jan przy Jodenstraat, a potem – już bez ociągania – pomaszerował na Hoogstraat. Z niecierpliwością czekał, aż zobaczy Catharinę, aż opowie jej o wizycie u szlifierza, pięknych kamieniach i swoim pomysłem na Jorisa. Ale kiedy ją zobaczył, wymęczoną, z opuchniętymi nogami, które moczyła w gorącej wodzie, przeszedł mu cały zapał do opowieści. Przysunął krzesło i przysiadł obok. Za to ona miała mu dużo do powiedzenia. Zwłaszcza o dręczącym ją bólu, który rozsadzał kręgosłup. To z niego brały się nieustanne bóle głowy. To on też był powodem coraz częstszych wizyt medyków, którzy próbowali zaradzić cierpieniu poprzez różne mikstury.

Była pewna, że ucieka od niej. Bał się jej choroby, tego że go zmusi do opieki, chodzenia wokół siebie, starań. Czasami ogarniało ją szaleństwo. Widziała przecież te spojrzenia młodych kobiet, na wpół rozebranych, rozłożonych w pościeli, bezwstydnym, odsłoniętym kroczem. Przecież taki widok musiał na niego działać, podniecać, narzucać lubieżne myśli. Miała zresztą wrażenie, że im starszy, tym częściej zwabia je do siebie, płaci, rozdrabnia swój talent. I te świńskie głowy na jego płótnach, odrąbane od tułowia, króliki obdarte ze skóry, gęsi smalone nad ogniem, psy rozszarpujące ściervo.

Zaczęła o tym mówić. Najpierw delikatnie, a potem coraz gwałtowniej, jakby musiała dać upust zbierającej się od lat niechęci.

– Myślisz, że o tym nie wiem? – krzyknęła wreszcie, nie bacząc, że może ich słyszeć służba. – Beze mnie, beze mnie... – rozplakała się bezradnie.

– Dość tego, Catharino. Dość, na Boga. – Uznał, że musi przerwać ten potok podejrzeń, nieprawdziwych skojarzeń, niesłusznych zarzutów.

Chciał odejść, zamknąć się samotnie w pracowni. Odnaleźć spokój. Nie zdążył.

– Nie ma cię całymi dniami – jęknęła. – Po co ten dom, po co to wszystko?

Przykłęknął obok niej na pochłapanej wodą posadzce. Pachniała mydlinami. Przypomniał sobie, jak bardzo potrzebował przed laty jej ciała. Jak smutno mu było, kiedy nie miał jej przy sobie choć przez jedną noc. Z czasem to silne, gwałtowne przyciąganie osłabło, ale nie wygasło przecież. Wciąż lubił przysunąć się, otrzeć o nią, przejechać ręką po delikatnie owłosionym podbrzuszu. Miał jednak wrażenie, że to ona ucieka przed nim, nie szuka kontaktu, odgradza się niewidzialnym murem. Że czyni się wreszcie starszą, niż była.

Ni z tego, ni z owego poderwała się do góry, wyprostowała. Zrzuciła z ramion okrywającą ją suknię. Zdziwił się, że nie ma nic pod nią. Po co ta demonstracja? Co chciała udowodnić? Gdyby ktoś teraz wszedł? Jak to tłumaczyć?

– Przypatrz się, przypatrz – ogarnęła ją jakaś histeria. – Inna nie będę. Coraz gorsza, starsza i brzydsza.

Czy życie wciąż musi sypać takimi niespodziankami? Co takiego zrobił, że los doświadcza go ludzką chorobą? Te kilka lat różnicy, cóż one znaczą?

Ale ją to, że piersi, nie tak jak kiedyś, obwisły, że na brzuchu pojawiły się fałdy tłuszczu, może mało widoczne, ale jednak tam były, zmarszczki na szyi, przecież to widziała, doprowadzało do furii. Czuła, że za rok, dwa nawet Jacob nie spojrzy już na nią jak na kobietę.

Zaczęła przeklinać, okropnie, tak, jak niekiedy kleli pijani marynarze. Nawet nie wiedział, że znała takie słowa. Delikatna, łagodna Catharina. Dlaczego?

Próbował ją okryć suknią. Wbiła mu się paznokciami w twarz. Bez trudu ją poskromił, ścisnął, wziął na ręce, dosyć bezradnie zwiślała na nich, i zaczął kołysać jak niemowlaka.

– Dobrze, dobrze już.

Przemknął z nią przez korytarz do sypialni. Wydawało się, że przyszło uspokojenie, że ten dziwny spazm, którego był świadkiem, minął. Przez chwilę zdawało się, że zasnęła.

– Jacob – szepnęła. Pod zamkniętymi oczami wciąż musiały kłębić się złe myśli. – Ten wielki dom... Czasami mam wrażenie, że się w nim zgubię... Spotykam tu twoich rodziców...

Jego rodzice nie żyli od tylu lat. Szatan gościł w jej głowie i pozwalał sobie na coraz więcej. Może Fryne miał rację? Może powinien być przyjąć komunię, wyświadczyć się z grzesznych myśli, może za mało dał do tej pory Bogu? A może to kara za heretyckie nawyki? Może w tym domu faktycznie nie on jest panem?

Więc szeptał jej jakieś słowa otuchy, pocieszenia, napomynał o dzieciach, mówił, że wciąż mogą więcej, że lata całe będą się jeszcze sobą cieszyć.

Nie słuchała go, zatykała uszy dłońmi i taka, jakiej nigdy dotychczas nie widział, oddalona, cudza, leżała prawie naga i po raz pierwszy musiał się zmusić, by ją przytulić.

– Śmierdzisz, Jacob.

– Śmierdzą?

– Od lat to czuję.

Powinien wezwać lekarza. Z jej głową musiało dziać się coś, o czym zwykły śmiertelnik nie miał pojęcia.

– Ten Waldou jest w przeciwieństwie do ciebie taki męski. Każda kobieta – wyprężyła się i uniosła lekko ku górze, jakby poddana jakiemuś odruchowi – byłaby z nim szczęśliwa.

Uczuł ukłucie zazdrości. Może to właśnie zazdrość kazała mu tak niechętnie spojrzeć na jego płótno?

– Catharino...

– Daj mi spokój. – Zaczęła drzeć suknię, którą ją przykrył, a kiedy ją zrzuciła, lubieżnie sięgnęła palcami między nogi. Tarła nimi krocze i wydawała piski, które i jego podnieciły.

Nie chciał tego oglądać, więc zerwał się, szarpnął kołdrę, narzucił ją na nią i przycisnął jej ręce do łóżka. Zobaczył w jej oczach smutek i cierpienie, jakiego dotąd nie widział. A zaraz potem zapadła w sen, pełen drgawek, dziwnego warkotu, odchrząkiwania, kaszlu.

Czuwał przy niej do rana. Kilkakrotnie budziła się, ale zaraz znów zapadała w męczący sen. Otworzywszy wreszcie oczy nad ranem, niczego nie pamiętała.

– Czemu tak siedzisz? – zapytała zdziwiona. – Nie spałeś?

Opowiedział jej o tym, co się stało. Nie ukrywał niczego z tego, co było ich doświadczeniem ostatniego wieczora i nocy. Nie chciała uwierzyć. Pokazał jej ponaddzieraną suknię. Podejrzewała, że robi sobie z niej niewybredne żarty. A kiedy wreszcie dotarło do niej, że mówi poważnie, przeraziła się.

– Jacob – zakryła twarz dłońmi – nigdzie nie pójde.

– Gdzie miałybyś iść? – nie rozumiał.

– To jest mój dom, prawda?

Przytaknął. Oczywiście. A kogo miałby być? Przysiadł przy niej. Zapytała o dzieci, a on nagle sobie uświadomił, że nie widział ich od wczorajszego poranka. Nie, nie miał obaw, że coś złego mogłoby się przydarzyć. Każdy w tym domu znał własne miejsce. Zresztą ta dwójka, która została z nimi, była już prawie dorosła i nie wymagała ich troski w każdej minucie. Zdziwiło go co innego. To mianowicie, że nie pomyślał o nich nawet przez chwilę. Że Catharina tak go zajęła swoją chorobą, iż nie znalazł dla nich miejsca we własnych myślach.

Sięgnął po Biblię. Szybko znalazł miejsce, którego szukał: *Przełoż opuści człowieka ojca swego i matkę swoją, a przyłączywszy się do żony swojej, i będą jednym ciałem.* Przeczytał jej ten wers po trzykroć, jakby chciał, aby odmawiała go z nim razem, a odmówiwszy, poczuła się lepiej jego zdrowiem, jego ciałem.

Przylgnęła do niego uspokojona. Chciał wezwać medyka, ale prośbami ubłagała go, aby tego nie czynił.

– Przynajmniej nie teraz. Zresztą, o czym mu powiesz?

Trudno się było spierać. Robiła wrażenie nie tylko przytomnej, sprawnej i zawstydzonej tym, co zdarzyło się w nocy, ale i zupełnie odmienionej, pełnej energii, chęci do życia, zajmowania się domem i rodziną.

W południe w pracowni zjawiał się Joris, już nie tak pewien siebie, jak wcześniej, choć dalej uśmiechnięty.

– Mistrz Schut kazał mi wracać.

– A freski?

Młodzieniec kiwnął głową, co miało chyba oznaczać, że wszystko idzie ku lepszemu. Dał mu następną robotę, ale tym razem postanowił asystować przy niej dłużej niż poprzednio. Wenus, która miała się znaleźć na obrazie, była

ledwie obrysem. Podwójnym obrysem, bo jej postać miała także iskrzyć się w taflి jeziora. Ale nie chciał, aby dotykał się do niej, zepsuł cokolwiek. Rozumiał kłopot z lustrzanym odbiciem, które rzadko kiedy udawało się tak niedoświadczonym malarzom. Chciał, żeby uwypuklił skrzydlate amory znajdujące się w górnych rogach. Tłuściutkie twarzyczki maleńkich bożków zawieszonych na ptasich skrzydłach, z kłosami zboża w dłoniach i kołczanami przewieszonymi przez gołe piersi miały podkreślać spokój, pewność siebie centralnej postaci. W zamyśle, gdzieś z boku chciał jeszcze zmieścić zwycięskiego Oktawiana. Czuł przez skórę, że może tą swoją Wenus zmierzyć się z Rubensowską, z Wenus Vecchio, z Tycjanowską, z dziesiątkami innych. Ale chciał, żeby jego obraz zachował nastrój *Porwania Europy*. Tak, z tego płótna mógł być zadowolony. Może dziś coś by tam poprawił, jakiś detal, szczegół, ale to, co ważne, nastrój, postaci, zwierzęta, kolorystyka, do tego nikt nie miał prawa wnosić pretensji. Oczywiście, ten malutki obrazek, który stał przed nim teraz w sztalugach, był ledwie szkicem, zarysem, jakąś próbą. Przy tym, ogromnym, nieustannie wchodził i schodził z kozłów, na których oparto platformę, przy tym, aby go ocenić, wystarczyło zrobić krok w tył.

Lubił te wielkie płótna. Miał w nich przestrzeń, zdobywał coś więcej niż tylko okazję do pokazania malarzskiego kunsztu. Alegorie, mitologiczny antyk, sceny biblijne – wszystko to musiało odpowiadać randze, jaką przypisała im historia. Pomniejszone kruszyły nadane im znaczenie.

Cierpliwie mówił o swoim pomysłе, wyjaśniał, dlaczego tu, a nie gdzie indziej muszą „wisieć” amory, jak pada na nie światło, a gdzie są strefy cienia, jak ich twa-

rze mają wspomóc uśmiech bogini i wyeksponować jej doskonale kształty.

Nie pozwolił innym uczniom zaglądać mu przez ramię. Czuł, że Waldou został wystarczająco upokorzony, że poniósł stosowną karę za błazenadę, której się dopuścił.

Patrzył, jak Joris rozgrzewa palce. Sam nigdy tego nie robił, ale słyszał, że niektórzy traktują to jak rytuał, swego rodzaju miłosny wstęp do pracy. Wiedział, że żaden twórca nie lubi, jak mu się narzuca, sugeruje, zmusza, ale przecież taka była jego rola. Więc po półgodzinie milczącego śledzenia zrobił pierwszą uwagę. Kazał podbarwić oczy amora, uwypuklić je tak, aby zyskać wrażenie krągłości reszty twarzy. Pokazał ręką niewidzialną linię, która winna łączyć postaci, zarówno w pionie, jak i po przekątnych. Waldou spojrzał na niego nieufnie, jakby chciał powiedzieć, że wszystkie jego rady są bez sensu, że dawno opanował warsztat nie gorzej niż on sam. Ale się nie odezwał, co więcej – zaczął mieszać farby dokładnie według wskazówek Jordaensa.

Czuł, że musi choć na chwilę wyjść z pracowni. Poszedł do stajni. Przed trzema dniami Jonas przyprowadził młodego ogiera. Jego poprzednik, którego imię tak śmiesznie zniekształcał młody Jacob, zestarzał się w ich rodzinie tak bardzo, że nie sposób było go już zaprzęgać nawet do małej bryczki.

Stał przed końmi odgradzonymi od siebie grubymi żerdziami. Szpunt zarżał radośnie i przecisnął łeb w jego stronę w oczekiwaniu jakiegoś przysmaku. Za to nowicjusz odskoczył pod drugą ścianę i opierając się o nią bokiem, tytał na intruza nieufnie. Gdyby nie uniesione do góry uszy, znamionujące zaciekawienie, można by pomyśleć, że oddaje teren bez walki. Ale ta uległość, wiedział

to, to tylko pozór. Koń był młody, słabo jeszcze ułożony, ale o silnych, dobrze umięśnionych nogach. A mimo to tkwiła w nim jakaś delikatna subtelność. Mieszały się w tym zwierzęciu rasy, ale z każdej zyskiwał to, co najlepsze, najtrwalsze. Jonas, od maleńkiego chowany wśród koni, znał się na nich jak mało kto.

Wszedł do zagrody. Nie bał się ani koni, ani żadnych innych zwierząt. Zresztą był przekonany, że nawet te najbardziej dzikie można oswoić dobrocią i spokojem. Wziął wiązkę słomy i podszedł z nią do deresza. Patrzył w jego duże, trochę wystraszone ślepia i zachciało mu się śmiać. Przyszło mu do głowy, że w jakiś sposób ten koń jest inną wersją Jorisa. Obu będzie musiał okiełznać, ułożyć, obu musi dać szansę. Zaufać i cierpliwie czekać na efekty tresury. Nagle zdał sobie sprawę, że każdy niepotrzebny gest niesie w sobie zarodek konfliktu. Wyciągnął słomę w kierunku zwierzęcia, ale zamiast akceptacji zobaczył tylko rząd wyszczerzonych zębów i gniewne bicie kopyt w klepisko. Doszedł do wniosku, że lepiej nie ryzykować. W każdym razie jeszcze nie teraz.

– Dobrze, dobrze, nie denerwuj się – zaczął przemawiać łagodnie. – Prędszej czy później i tak się zaprzyjaźnimy.

Podszedł na chwilę do Szpunta i pogłodził go po białej strzałce na pysku. Dostał go, wówczas jeszcze żrebacka, wiele lat temu jako wynagrodzenie za niezbyt udany portret kupca z Ostendy Paula Pustveina. Kochały go wszystkie jego dzieci, a on, początkowo nerwowy, odpłacał im łagodnością, spokojem i uwagą.

Wrócił do pracowni w samą porę, aby zapobiec kłótni między Waldou a młodym Jacobem. Stali naprzeciw

siebie, zaperzeni, z zaciśniętymi pięściami, z wypiekami na twarzach.

– Co tu się dzieje? – starał się mówić spokojnie, nie unosić, zachować powagę właściwą temu miejscu. Nikt nigdy dotąd nie podniósł tu ręki na drugiego.

Żaden nie chciał powiedzieć, o co poszło. Pospuszczali głowy i chcieli umknąć do swoich sztalug. Nie pozwilił im odejść.

– Jacob? Powinieneś przeprosić Waldou?

Byli prawie równego wzrostu. Dzielące ich pół roku nie stanowiło różnicy, ale uważny obserwator dostrzegłby niewątpliwie fizyczną przewagę Szweda, inną budowę jego mięśni, drzemiącą w nich siłę i ten przypisany walecznym ludom północy charakter, zmuszający ich do nieustannej wojny, podejmowania wyzwań i stawiania okoniem.

– Tak, ojczu.

Nie patrząc w oczy przeciwnika, wyszeptał słowa przeprosin.

– A ty, Joris?

Dłuższą chwilę milczał, a potem przemówił wyraźnie, bez obawy.

– Tak, panie. To moja wina. Przepraszam.

Wyciągnął dłoń w kierunku Jacoba i uściśnął dłoń tamtego tak mocno, że spowodował skurcz bólu na jego twarzy.

Wiedział, że nie powinien tego tak zostawić. Od lat przyzwyczajony był do pracy w zespole. Kiedyś on pracował na cudzą chwałę, dziś inni spłacali ten dług wobec niego. Nie widział w tym niczego złego, raczej odwrotnie, prawidłowość ustanowionej wiekami relacji między mistrzem a uczniem. Pozostawienie niesnasek, spraw niez-

łatwionych musiało powodować zachwianie wspólnego rytmu. Podszedł do obrazu Waldou i natychmiast zorientował się w czym rzecz. Żadne słowa nie zmuszą tego chłopaka do odwrotu. Choćby wszyscy przekonywali go, że maluje nie tak, jak powinien, nie uwierzy. Pozornie pogodzi się, a kiedy tylko dostanie odrobinę wolności i tak machnie pędzlem zgodnie z własnym wyobrażeniem piękna. Miał wrażenie, że od kształtu i struktury ważniejsze są dla niego światło i ruch. Pewnie, wszyscy z tym eksperymentowali, ale zachwianie proporcji musiało prowadzić na manowce. Dobrze o tym wiedział.

Poczuł, że młody Jacob – malarsko bez wątplenia znacznie dojrzalszy od Szweda – stanął w jego obronie. W obronie malarstwa. Nie było w tym nic dziwnego. Cała Antwerpia stanęłaby po stronie wielkiego mistrza. Ale świadomość, że nikogo nie musiał tu do niczego namawiać, odwrotnie, czuł, że sama jego obecność jest dla tych młodych ludzi busolą, wyznacznikiem tego, co piękne – od lat dodawała mu siłę. I kiedy znalazł się ktoś, kto zakwestionował jego estetykę, uznał, że to wsparcie syna, przecież niewymuszone, jest dla niego czymś, czego przecenić nie sposób.

Doszedł do wniosku, że powinien ich zmusić do rywalizacji na polu innym niż siła pięści. Więc pozwolił przez kwadrans odpocząć, ochłonąć, a potem przywołał do siebie i kazał im iść do portu. Wziąć węgiel, kartony i przynieść mu szkice męskich twarzy. Zlanych potem, brudnych, spracowanych, okaleczonych, owrzodziałych, pokracznych. Chciał, żeby ćwiczyli ręce, a jeszcze bardziej oko, żeby dostrzegli to, czego ludzie zwykle nie pokazują. Rany, rozdarte obuwie, złość, skrywaną chciwość, przekleństwo, kradzież, bogactwo, butę. Jego miasto miało te-

go w nadmiarze, ale żeby zobaczyć, nie wystarczyło usiąść i czekać. Byłby zadowolony, gdyby wrócili z pustymi rękoma, ale z głową nabitą pomysłami. Nie mógł im tego powiedzieć, ale rozpierałaby go duma, gdyby znaleźli choć jedną twarz godną zapamiętania, jedną ozdobę, jakiś kwiat wpięty w czyjąś suknię. Albo odartego z piór gołębia szarpanego w rynsztoku przez zdziczałego psa.

Kiedy wyszli, wziął się do pracy. Malował scenę, w której Diana jest tak lubieżna, tak pełna pożądania, tak nieskrzywająca oczekiwań, że aż wydała mu się pewną przesadą. Ale malował z zapamiętaniem. Potężny osilek, Sylen, który z koszem owoców zbliżał się do niej, miał w twarzy cierpienie, ale i dumę wybrańca. Jego końskie uszy, kopyta, łysina, wypięty brzuch pełen sadła, powinny były odegnać od niego nie tylko boską, również i ludzką osobę. A jednak zarówno bogini, jak i nimfy, które umilały jej czas, spoglądały na niego tak, jakby gotowe były zaspokoić dręczące je żądze nawet z takim potworem. Chciał tu, na przekór tradycji, odwrócić role. To z kobiet pragnął uczynić istoty pełne rozpasania, zalotne, rozchwiane, wulgarne. I takie zobaczył, lecz zamiast radości poczuł rozczarowanie. W pierwszym odruchu najchętniej zniszczyłby całą pracę, zamazał i zapomniał, lecz od lat wiedział, że lepiej nie podejmować pochopnych decyzji, lepiej odstawić płótno i zajrzeć do niego za dzień, a czasami dopiero za miesiąc.

Bolał go kark. Jednostajność pracy powodowała unieruchomienie kręgosłupa, a w konsekwencji jakby wlanie ramion w żelazne pęta. Rozcierał je dłońmi, masował, ale ból zamiast maleć, potężniał. Przed wielu laty Rubens, uskarżający się na tę samą dolegliwość, zaprowadził go do swego przyjaciela, księdza tak starego, że z trudem

unosił się z legowiska, na którym dożywał swych dni. Tamten, położywszy go na brzuchu, wciskał mu palce między żebra. Wymacał jakieś zgrubienia i masował delikatnymi uderzeniami kostek w sam środek obręku. A kiedy wreszcie kazał mu usiąść, szarpnął nim z siłą, o którą trudno go było podejrzewać. Pomogło wówczas na miesiąc, może dwa, ale nauczony doświadczeniem nigdy potem nie czekał, aż ból powali go i nie da możliwości ruchu. Dokładnie stosował się do wskazówek. Nie dźwigał ciężarów i obciążał tylko te partie tułowia, które starszek uznał za sprawne.

Przed wieczorem poszedł jeszcze do katedry sprawdzić, czy Stealens wykorzystał jego uwagi. Oświetlony pochodniami sufit robił niesamowite wrażenie. Jakby ktoś dodał malowanym postaciom wigoru. Wydłużone cieniami, drgały, popychane przeciągiem i ruchem ognia.

Rozejrzał się w poszukiwaniu Schuta, ale nigdzie go nie dojrzał. Zapytał o niego młodego zakonnika, który nie bacząc na hałasy dobiegające z rusztowania, modlił się przy jednym z ołtarzy.

– Nie wiem – fuknął na niego. – Poszukajcie, panie, w zakrystii.

Zamiast szukać, wspiął się na górę. Porozbierani do pasa murarze zaczęli na jego widok posykiwać. Niechęć, której nie starali się nawet ukryć, stanowiła dowód na to, że warto było ich przypilnować. Miał pewność, że teraz Cornelis podgoni robotę.

– Mistrzu – w lisiej twarzy Stealensa dostrzegł tę chłopską unізoność, po której zawsze można się było spodziewać podstępów i szalbierstwa – przypatrzcie się. To wasz chłopak – wskazał na odległą płaszczyznę wymalowaną złocieniami.

Więc jednak to nie Waldou ich dopilnował. Aż się zagotował ze złości. I to nie tylko na Jorisa, ale i na Schuta. Podszedł jednak i popatrzył na to, czego dokonał młodzieniec. I jak przy pierwszym spotkaniu poczuł się nieswojo. Jakaś igielka zazdrości, jakieś zdumienie, odkrywanie, że w tym niesfornym Szwedzie jest coś, czego nie rozumie, z czym trudno mu się pogodzić, uznać za własne.

– Kto mu pomagał? – zapytał.

Murarze, wyczuwszy szansę na ucieczkę od niewygodnych pytań, natychmiast zaczęli wychwalać Waldou. Zanim im przerwał, usłyszał, że nigdy żaden z nich nie widział równie utalentowanego młokosa.

Wiedział, że Joris nie mógł wcześniej malować na mokro, że obcy był mu rodzaj farb, którymi został zmuszony tu pracować, że jedyną wskazówką mogła być tylko obserwacja. A jednak – mimo widocznych błędów – musiał przyznać, że ten fragment fresku robił wrażenie o wiele większe niż każdy z pozostałych.

Czemu nie powiedział, że Schut pozwolił mu sięgnąć po pędzle? Bał się? Odrzucił tę myśl jako niedorzeczną. Raczej budował niespodzianki. Chciał, aby ktoś, kogo Jordaens cenil, szepnął mu słówko pochwały.

– Talent, talent – wrzeszczał, jakby to Catharina była winna ich potyczkom. – Co on sobie myśli? – pytał między jednym a drugim kęsem kolacji, którą podała mu tuż po powrocie.

A ona przez cały dzień nie mogła odegnąć myśli o tym, co się zdarzyło ostatniej nocy. Jeśli naprawdę mu powiedziała, że ten chłopak spodobał się nie tylko Annie, ale i jej... Ale przecież widziała go pogrążona w chorobie, w śnie jakimś. Fale gwałtownych przypliwów gorąca,

a potem dreszcze odganiały ją od wszelkiej roboty, nie dawały chwili wytchnienia, oddechu. Czuła się, jakby wciągano ją do jakiegoś saka, w zamkniętą czarną dziurę i zatraskiwano jedyne wyjście.

– Pójdę jutro do gminy. Chciałabym przyjąć komunię, pomodlić się.

Nie patrząc na niego, wiedziała, że kiwnął głową z aprobatą. Zawsze pochwalał spotkania z Bogiem. De Brabantsche Olijfberg z każdym rokiem zyskiwała nowych wiernych. Catharina uparcie drażyła skałę, przekonywała delikatnie, tak aby go nie urazić, że jej Kościół wcale nie jest uboższy od papieskiego. Że wręcz odwrotnie, nie ułomny kapłan wystawiony na pokusy, ale mężczyzna z krwi i kości, taki, który jednoczy wokół siebie rodzinę, taki, który swą pracą, uczynkami, mądrością, bezgrzesznym życiem zyskuje akceptację otoczenia, winien być przewodnikiem w ich życiu. To, co początkowo gniewnie odrzucał, dziś pewnie bez trudu nie tylko akceptował, ale i darzył szacunkiem. Tym bardziej że nie stawiała okoniem, nie szukała zwady. Raczej odwrotnie, punktując głupotę, odstępstwa od Pisma Świętego, znajdowała to, co bliskie, co jednoczy, łączy i tworzy wspólnotę.

– A może i ty? – zapytała nieśmiało.

Z jego oczu odczytała, że wciąż nie jest gotowy. Albo że wciąż zajmuje go ten chłopak.

– Co z nim zrobić?

Więc jednak jej nie słuchał. Sprzeczał się sam z sobą. Leczył ją własnymi chorobami. Może zazdrość, która z niej wypłynęła, ułomność, która dotyka każdego człowieka, miała jakieś podstawy? To nie kobiety wprawdzie, co też jej wczoraj przyszło do głowy, ale praca, o nią powinna być zazdrosna. I o to, że te uczucia, których tak

była pewna przed laty, przelewa teraz na innych. Oddalali się od siebie, gubili we własnych światach, które niekoniecznie do siebie przylegały. A może chcieli na siebie oddziaływać zbyt mocno? Może powinna była, jak tyle innych kobiet, pogodzić się, usunąć grzeszne myśli, całą sobą budować, wspierać jego karierę? A te ograniczone przestrzenie wolności zachować tylko dla siebie? Przypomniała sobie, jak ojciec mówił, że nie będzie z nim miała łatwego życia. Wygodne tak, ale nie łatwe.

– To wielki artysta – van Noort nigdy nie mylił się w swoich ocenach. A tą szczególną wywyższył tylko Jacoba i Paula Petera. – Jeśli chcesz być szczęśliwa, musisz zapomnieć o własnych ambicjach. Odda ci wszystko, pod warunkiem że znajdzie w tobie oparcie. Że będziesz go utwierdzać w jego myślach, zgadywać pomysły, budować jego świat.

– Albo odeślij natychmiast, albo kształć tylko jego rękę. Nic więcej nie możesz.

Wypowiedziała to zdanie zupełnie bezwiednie, jakby samo wymknęło się jej z ust. Ale zaraz sobie uświadomiła, że gdyby zechciał zrealizować jego pierwszą część, dotknąłby ją bardziej niż każdym słowem.

Milczał dłuższą chwilę. Żuł mięso, popijał winem, zastanawiał się, co odpowiedzieć.

– Wiesz, co to oznacza? – zapytał wreszcie.

Dobrze wiedziała. Ktoś, kogo przysła królewski dwór, ktoś, kogo ten dwór poleca, to jak weksel na przyszłość. To pewność zamówień, prędzej czy później znaczących sum, które zasilą ich budżet.

– Jeśli zostanie, wszystko ulegnie zmianie.

– Nieprawda. – Przeczyła, choć to, że nie powinna się spierać, oczywiście było aż nadto.

– Przez lata będę mu oddawać swój czas.

– Jest najzdolniejszy, prawda?

Pokręcił gwałtownie głową. Nie był o tym przekonany, w każdym razie, czyż to nie teść uczył go, że talent wybują, zaprzeczający regułom, taki, który gna na oślepa, bez celu, bez chęci doskonalenia, jest nic niewart? Że jest jak chwast na polu, który mimo pięknego kwiecia więcej czyni szkody niż pożytku?

– Takich jak on – gestem dłoni wykonał ruch odrzucenia – takich jak on – powtórzył – jest aż nadto. Malarstwo to nie tylko sprawne ręce. To porządek świata, ład, kolejność. To odpowiedzialność. – Nagle zdał sobie sprawę, że w tym wszystkim może być coś więcej niż tylko chęć pozbycia się aroganta. – Ale jeśli chcesz...

Chciał ją obarczyć odpowiedzialnością, znaleźć usprawiedliwienie dla własnej niechęci.

Catharina poczuła, że to w jej rękach spoczywa los Waldou, że to ona zdecyduje, da mu szansę albo przeciwnie – pozbawi go jej. Więc kiwnęła głową. Nawet gdyby nie było żadnych innych argumentów, ten, który przyszedł jej wcześniej do głowy, równoważył wszystkie inne.

– Do diabła.

Jordaens rzadko przeklinał. Rzucił na stół serwetę, zerwał się i rozgniewany wyszedł z jadalni. Ale nie poszedł do sypialni. Zajrzał do syna. W słabym świetle dostrzegł, że rozcierając wskazującym palcem drobiny węglowego pyłu, koryguje jakiś szkic. Stał nad nim, ale nie odzywał się, czekał aż to Jacob opowie mu o wyprawie do portu.

– Pijani Hiszpanie zaczepiali kobiety. Po co nam tu oni?

Nie spodziewał się tego pytania. Zresztą nie najlepiej umiał tłumaczyć zawilosci historii.

– Pan Bóg... – zaczął, ale nie dane mu było skończyć.
– Żaden Pan Bóg, ojczu. A Zjednoczone Prowincje? Wyrzucili Hiszpanów...

– Do dziś się biją. Lepiej zachować spokój. Życia nie buduje się na przemocy.

– Ojczu...

– To Joris nakładł ci takich rzeczy do głowy? – gotów był obarczyć Szweda każdą winą.

– Joris? – młody Jacob wzruszył ramionami. – Te kobiety, gdybyś widział ich zawstydzone twarze... I nikt nie odważył się protestować. Nikt. A on... On potrafi tylko się z tego śmiać. Jest do nich podobny. Brutalny, dziki...

Popatrzył na rysunek. Jego syn najwyraźniej stał się już dojrzałym artystą. Trudno byłoby mu zarzucić cokolwiek. Tak naprawdę niewiele mógł się już od ojca nauczyć. Jak najszybciej powinien stanąć na własnych nogach.

Życzył mu dobrej nocy. Poszedł do córki. Rozczesywała przed lustrem długie włosy. Pomyślał, że powinien jej zrobić taki dwoisty portret. Ona i jej odbicie. Z tyłu okno, z którego pada wieczorne światło. Półmrok, ale odbicie wyraźne, oddające całe piękno jej rozkwitającej dziewczęcości. I jeszcze te kobiece przybory, jakieś fatalszki, chustka, grzebień, trochę kwiatów, a może misa z owocami?

– Miałeś, ojczu, ciężki dzień?

Kiwnął głową i przysiadł przy niej. Bał się starości, a w swoich dzieciach coraz wyraźniej dostrzegał, że szybko się do niej zbliża.

– Pamiętasz Ludwika?

Przez chwilę szukał w pamięci kogoś o tym imieniu. Wreszcie odnalazł, ale szybko okazało się, że miała na myśli inną osobę.

– Ludwik Swebers, ojczu.

Jak mógł zapomnieć? Młody Swebers był synem Jana, snycerza, z którym kilka lat temu pracowali przy wystrój jakiegoś kościoła. Jego imponujące prace zarówno w drewnie, jak i w kamieniu mogły być ozdobą każdego wnętrza, każdej budowli.

– Spotkałyśmy go dziś w mieście. Jest taki elegancki i... – chwilę się zawahała, czy mówić o tym ojcu – przystojny. Odwiózł nas do domu swoim powozem. Magdalena mówi, że pewnie niedługo kupi sobie kamienicę.

Obiła mu się o uszy jakaś plotka o niesnaskach między Janem a jego synem. Ponoć Ludwik, zamiast iść w ślady ojca, zaczął zarabiać pieniądze w jakimś kantorze. A skoro miał powóz, musiał na tym nieźle wychodzić.

Opowiedział jej o freskach w katedrze. O rozmachu tego malowidła, o problemach Schuta, a na koniec, jakby od niechcienia, zapytał o Waldou.

– Co wy w nim widzicie?

Nieświadomie użył liczby mnogiej, ale córka chyba tego nawet nie dostrzegła. Bąknęła coś, co równie dobrze mogło oznaczać, że w ogóle nie zwraca na niego uwagi, jak i że oczarował ją od pierwszego wejrzenia.

– Poproszę go, żeby cię namalował.

Wydało mu się, że oblała się rumieńcem, a potem za-protestowała gwałtownie.

– Nie, nie. Ojczu, tylko nie on – poprosiła aż nazbyt poważnie.

Roześmiał się i pogładził ją po ręce. Znów uświadomił sobie, że ma cudowne dzieci. Kruche, delikatne, wrażliwe, ale odpowiedzialne i współczujące, takie, z jakich każdy rodzic mógłby być dumny.

Kiedy przyszedł do sypialni, Catharina już spała. Jej twarz oświetlała świeca, którą zostawiła najwyraźniej dla niego. Kiedyś przed snem długo rozmawiali, cieszyli się sobą po całym dniu niewidzenia. Teraz, czy to z racji wieku, czy nadmiaru pracy, zasypiali osobno. Wsunął się pod jej przykrycie i sięgnął ręką do piersi. Zamruczała, ale nie otworzyła oczu. Śniła, że znów jest młoda, że zanurzają się z Jacobem w rzece, że matka obejmuje ją ramieniem, że będąc małą dziewczynką, uczy się rozróżniać gatunki drzew, a potem, że ojciec, trzymając ją na kolanach, maluje jakąś figurę. Nie mogła dociec, kogo ze świętych przenosi na płótno. A chwilę potem zrozumiała, że coraz ciśnie jej się pajączyna, że czarne robaki zbliżają się do niej, rozwierają maleńkie pyszczki, kłują. Próbowała gwałtownie odegnać je od siebie. Kiedy była tuż-tuż od przebiccia pajęczyny, poczuła na sobie ciężar, a zaraz potem ból, jakby ktoś rozdzierał ją na kawałki, i usłyszała sapanie, które czasami irytowało, a innym razem dawało azyl, możliwość ucieczki od koszmarów, tak często zlatujących się do niej. Więc sięgnęła do jego pośladków, przycisnęła do siebie, tak że przez chwilę leżał na niej unieruchomiony, a potem – jak miłosierna siostra – sama nadała mu ruch. Odchyliła głowę do tyłu i pozwoliła się oprzeć o własne biodra. Jęczała jak on, dostosowała się, ale ulegając męskiej pokusie, coraz jaśniej widziała swój grzech, odstępstwo od nauk Kościoła, od ewangelii. Więc kiedy wreszcie poczuła, że robi się cała mokra, że zaczyna odczuwać przyjemność, zaczęła się modlić. Wyłączona, nie słyszała, co do niej mówi, nie odpowiadała, nie zauważyła nawet, cała zeszywniała, kiedy zleżł na niej wyczerpany kolką w boku, która się nagle odezwała, choć wciąż daleki od ukojenia.

– Boże – szepnęła, a on opacznie widocznie zrozumiał jej słowo, znów podjął mało udaną próbę.

Wpiła się paznokciami w przeguby jego dłoni, zepchnęła z siebie i bokiem, ze ściśniętymi nogami, przylgnęła do owłosionej piersi, ale tak, żeby nie mógł już grzeszyć.

A on znów poczuł się odrzucony. Sterczący, uniesiony do góry członek zawstydział i upokarzał. Chciał wypluć z siebie złość, wykrzyzczyć, ale poczuł, że każde jego słowo niepotrzebnie zaogni ich spór, zbuduje mur, który trudno będzie rozkruszyć.

Jakże mu jej brakowało. Wibrowały mu w uszach westchnienia, które tylko on słyszał, ciche jęki, czuł drżenie ciała i lęki, zaraźliwe jak czarna ospa.

– Jacob – szepnęła wreszcie, jakby rozgrzeszona jego długim milczeniem – śmierć zagląda do mojej duszy.

Poczuła, że znów, jak poprzedniej nocy, oblewa ją pot, rośnie gorączka, a serce zaczyna walić jak opętane.

– Diabły i piekło.

Zasłonił jej usta dłonią. Bał się przywoływanego nieszczęścia.

– To tylko choroba, Catharino. I sen. Ale sen jest najlepszym lekarstwem. Spróbuj zasnąć.

Przypomniawszy sobie, że kiedyś, raz jeden zapytał van Noorta o szaleństwa jego matki, o których usłyszał, jeszcze zanim wstąpił do pracowni. Teść starał się bagatelizować wybryki, zrzucić je na karb anomalii pogodowych, ale na koniec przyznał niechętnie, że i on odczuwa czasami dziwne wibracje. Wierzył w ścisłe posty i uznawał je za najlepsze lekarstwo na szatana, który próbuje dobrać się w ten sposób do ludzkiej duszy.

A jeśli to szaleństwo przechodzi z pokolenia na pokolenie? Ta myśl zawładnęła nim na chwilę tak potężnie, że aż zeszytniał. Był zły na siebie, że przerwał sen Cathariny. I nie miał sił, aby drugą noc nie spać. Do czego to doprowadzi? Czuł, jak ból przenika całe jego ciało, że ugniata go jej głowa, że przysunięta noga ciąży mu i powoduje skurcz.

– Nie, Jacob. To nie choroba. To strach.

– Strach?

– Wszystko trzeba budować od nowa.

O czym ona mówi? Był najpotężniejszym, najlepszym malarzem nie tylko w mieście, ale może i w całych Niderlandach. Na co miał się uskarżać? Zamówienia płynęły ze wszystkich stron, byli zamożni, ale nie skąpili ofiary. Pan Bóg nie miał nawet pretekstu, aby się na nich gniewać.

– Śpij, porozmawiamy rano – poprosił łagodnie, ale to nie była najlepsza metoda.

Ni z tego, ni z owego poderwała się i zaczęła krzyczeć tak głośno, że zląkł się, iż za chwilę w ich sypialni zgromadzą się wszyscy domownicy. Więc złapał ją, przycisnął do posłania i próbował uciszyć. A kiedy się nie dało, ścisnął jej twarz tak mocno, że usłyszał już tylko charkot, słabszy i słabszy. Rozluźnił uchwyt, pozwolił jej zaczerpnąć tchu, ale nie odsunął ręki od twarzy, wciąż gotów do reakcji. Poczował, jak wszystko w niej słabnie, a chwilę później miarowy oddech dał mu gwarancję, że nie jest jej już potrzebny. Poczekał jeszcze jakiś czas, a potem podniósł się i ze świecznikiem w dłoni wyszedł z sypialni.

Ułożył się na szezlongu w pracowni. Ostry zapach farb i oleju spowodował, że zaczął gwałtownie kaszleć. Wstał,

pootwierał okna i dłuższą chwilę napawał się zapachami nocy. Ogród, który otaczał Halę Bluszczową, będący obiektem czułych zabiegów Cathariny, wzbudzał powszechną zazdrość. Starannie pielęgnowane rośliny odwdzięczały się nie tylko odpowiednim wzrostem, ale i kolorami, których nikt inny nie umiał z nich wydobyć.

Zasnął nie wiedząc kiedy, a otworzywszy oczy, przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego śpi właśnie tu na niewygodnym łóżu w pracowni. Musiało być bardzo wcześnie. Leżał dłuższą chwilę bez ruchu, bo z doświadczenia wiedział, że gwałtowne poderwanie powoduje u niego zawroty głowy. Przyglądał się obrazom pozawieszanym na wszystkich ścianach, umocowanym w sztalugach, wielkim płótnom opartym na drewnianych rusztowaniach. Większość z nich wymagała, aby poświęcić im wiele godzin, dni, a nawet tygodni. Niektóre były tylko szkicem, podmalówką, inne oczekiwały lase-runku, jeszcze inne drobnego dopełnienia.

Skierował się ku łaźni. Zanim wszedł przez uchylone drzwi, dostrzegł Lysbeth. Była całkiem naga. Zamiast odejść, patrzył bezwstydnie, jak namydlone ciało spłukuje wodą, którą co i rusz zaczerpuje z niewielkiej beczułki przystawionej do metalowej wanny. A potem znów je mydliła, przesuwając ręką od leciutko owłosionego krocza do piersi. Na koniec wyszła z wanny, pochyliła się nad nią i zajęła twarzą. Przez moment miał wrażenie, że mogła go dostrzec odbitego w wodzie, bo wyprostowała się, odwróciła w jego stronę i stała przez chwilę nieruchomo. Ale zaraz potem sięgnęła po ręcznik. Wycofał się jak najciszej, a i tak dobiegł go śmiech.

Wrócił do sypialni. Catharina leżała z otwartymi oczyma. Była w pełni przytomna.

– To się znów stało, prawda? – w jej głosie łatwo dało się wyczuć niepokój.

Usiadł na brzegu łoża i wziął ją za rękę. Nie musiał odpowiadać.

– Sąd Boży, Jacob. Przed końcem świata zstąpi na ziemię miasto Nowe Jeruzalem. Nowe, tysiącletnie królestwo sprawiedliwych. Pan prowadzi nas...

– Catharino... – przerwał jej bezradnie.

– Grzech, Jacob, grzech.

Zmusił ją, by wstała, ogarnęła się i poszła z nim do pracowni, pełnej już o tej porze uczniów. Jeszcze ziewających, rozespanych, niewątpliwie jednak gotowych już do pracy. Chciał, aby pobyła wśród młodych, ale najwyraźniej wzburzona bezczelnym spojrzeniem Waldou umknęła do kuchni. Powinien był pobiec za nią, porozmawiać, ale nie zwykł marnować najlepszego światła, tym bardziej że otoczyli go już podopieczni. Przeszedł od obrazu do obrazu, u niektórych tylko kiwnął głową z aprobatą, u innych tłumaczył, pokazywał dłużej, a u najmłodszych, tych, którzy niewiele jeszcze umieli, zakreślał pola do podmalówek. Na koniec stanął obok Szweda. Ten bez słowa rozłożył przed nim kartony. Trzy pierwsze nie były nic warte. Gruba kreska, bez cieniowania, jakby dla podkreślenia lekceważenia i obiektu, i tego, który kazał mu tracić czas tak bezsensownie. Ale czwarty, na którym hiszpański żołnierz z okrutną, wykrzywioną przez złość twarzą chwyta wymykającą mu się antwerpską mieszczkę, miał w sobie coś z geniuszu. Sam byłby dumny, gdyby uchwycił ten rys, grymas, lęk w oczach kobiety, powiew wiatru na kołnierzu i koronki na sukni.

– Dobrze – pochwalił.

– Tylko tyle? – Waldou uznał najwyraźniej, że tupetem i bezczelnością zmusi świat do uznania swojej wielkości.

Nie chciał odpowiadać na zaczepki.

– Potrafisz to namalować?

– Pewnie, to nic trudnego.

– Wiesz, że nikt tego nie kupi?

– Naprawdę? A to? – młodziak wskazał palcem na odwrócony obraz stojący pod ścianą.

W pracowni panował zwyczaj, że takich obrazów nie ogląda żaden obcy. Ale Joris nie był przecież kimś obcym, kimś przed kim ukrywa się to, co może nie jest zbyt piękne, ale przynosi pieniądze.

– Ten dom sporo kosztuje. – Dlaczego zaczął mu się tłumaczyć? – Zresztą... – machnął ręką.

– Mistrzu – w gruncie rzeczy powinien się zastanowić, czy w jego słowach nie słyszy pogardy – chcecie uszlachetnić, wpleść w historię tych kilku bogaczy, dać im nadludzkie przymioty, wyposażyć – zrobił gest obsceniczny – w to, czego Bóg im poskąpił. Po co?

Miał dosyć. Nikt mu nie będzie dyktował, co może, a czego nie może malować. Jeszcze przed chwilą gotów do fanaberii, teraz rozeźlony, postanowił pokazać Waldou, gdzie jego miejsce. Kiwnął na niego palcem, odwrócił się i odszedł do najmłodszych.

– Tu i tu – zakreślił pole na płótnie. – Do południa macie to zrobić. I – zobaczywszy, że tamten chce protestować, chwycił go dłonią za kaftan – i ani słowa więcej. Nigdy więcej. A nie, to szukajcie innej pracowni. Zrozumieliście?

Po trzech latach Joris Waldou nie tylko zmienił się w dojrzałego mężczyznę, ale wydorósł też jako malarz.

Ta przemiana zachodziła powoli. Bardzo powoli. Długo jeszcze zdarzało mu się zadać niestosowne pytanie, bąknąć coś na temat kolorów albo głębszych planów. Ale w kwietniu roku tysiąc sześćset czterdziestego ósmego Jacob Jordaens bez wahania mógł mu powierzyć malowanie całych obrazów, którym kilkoma pociągnięciami pędzla nadawał swój własny, osobisty rys. I to, że nie wyrzucił go z pracowni, cierpliwość, z jaką znosił impertynencje, w końcu zostało wynagrodzone.

Johan Philips Silvercron był osobistym wysłannikiem królewskiego rodu Wazów, a zamówienie, które przyjechał złożyć w imieniu królowej Kristiny, bez wątpienia było wynikiem wieści, płynących na jej dwór za pośrednictwem Waldou.

Tak jak parę lat wcześniej di Verrua, tak teraz Silvercron długo przyglądał się obrazom porozwieszonym w pracowni. Był potężnym mężczyzną, prawie o głowę wyższym od gospodarza. Chwilę rozmawiał po szwedzku ze swoim rodakiem, ale widząc niestosowność takiego zachowania, szybko przeszedł na niemiecki.

– Trzydzieści pięć?

– Trzydzieści pięć – potwierdził. – Zapłata poprzez kantor Medicich w Brugii. Na was, mistrzu, cięży obowiązek dostarczenia płócien do Hagi.

Musiał odmówić. Termin, którym chciano go obarczyć, przyprawiał o zawrót głowy.

– Panie, żaden malarz nie podejmie się takiego wyzwania. – Czuł rozczarowanie, jak nigdy dotąd. Takie pieniądze przejdą mu koło nosa. – Rok to stanowczo zbyt mało.

Szwed kiwnął głową, jakby to, co powiedział Jordaens, było dla niego zupełnie oczywiste.

– Przeczytajcie, panie, umowę.

Przejrzał ją raz, drugi i jeszcze raz wrócił do początku.

– Z pomocą innych osób?

– Takich, które uznacie za najbardziej odpowiednie. Ale każdy obraz podpiszecie własnym nazwiskiem i nadacie mu własny charakter. Niech malują – wskazał na uczniów – ale to wy, mistrzu, będziecie je retusować. I dopełnicie staranności.

Poprosił, aby mu opisać plafon Sali Stanów zamku w Uppsali.

– Po co, mistrzu? Macie tu Waldou. Jest całkiem dobrze obznajomiony z tą salą. Jest duża. Aha – twarz Silvercrona wykrzywił uśmiech. Kolejnym zdaniem chciał chyba zaskoczyć malarza. – Przywiozłem wam szkice architekta. To, jak sądzę, wasz rodak.

Skinął na stojącego tuż za nim rudowłosego sługę i posłał go do pojazdu. Chwilę potem porozkładane na stole papiery zgarnięto na ziemię, a ich miejsce zajęły duże kartony odwzorowujące plafon, który miały ozdobić jego obrazy. Ważne były opisy, kąt padania światła w dzień i oświetlenia w nocy. Wysoka, wydłużona sala niezbyt dobrze nadawała się do ekspozycji. Zwłaszcza jej środek musiał być doświetlony kolorem. Od ciemnych, bliskich okien po jasne w centrum.

Tak naprawdę trudno byłoby w niej wymyślić coś nad wyraz oryginalnego. Najprostsze chwyt formalne, harmonia, koncentryczność ruchu. Więc punkt po punkcie omówił treść płócien, ich kolejność, a na końcu liczbę szczegółów malowanych jego ręką.

– W każdej chwili, panie, możecie przyjechać do Uppsali. Królowa chętnie by was u siebie gościła.

Podziękował za zaproszenie. Być może, gdyby nie zdrowie Cathariny, wyrwałby się, otrząsnął z tych Niderlandów. Jak van Dyck, Teniers, a nawet Brouver. Każdy z nich, wyjeżdżając, dodawał do swego malarstwa kolejne atuty. Z drugiej strony, czyż byłoby mu gdziekolwiek lepiej? Tu znał go każdy, a i on szybko potrafił odszukać innych w swojej pamięci. Tu, zmieniając wyznanie, nie musiał się niczego obawiać, w każdym razie – poza drobnymi gestami niechęci – nikt do tej pory nie nastawał ani na jego dom, ani jego rodzinę. Co więcej, Kościół w dalszym ciągu wyciągał do niego rękę, zachęcał do współpracy i hojnie finansował swoje projekty.

Kazał przynieść kieliszki i butelkę, ale Silvercron wymówił się kłopotami z żołądkiem i za nic nie dał się przekonać, że hiszpańskie wino z tutejszej piwnicy to najlepsze lekarstwo na jego dolegliwości. Prosił, aby szybko podpisać dokumenty i przeliczyć ogromną zaliczkę.

Jordaensowi przyszło do głowy, że pośpiech, z jakim wysłannik szwedzkich Wazów chce z nim zawrzeć umowę, musi mieć drugie dno. Prawdziwsze. Ale nie chciał go szukać. Pomny nauki z di Verrua, nigdy już nie zawierał umowy z pośrednikami. Dokument opatrzone pieczęcią i podpisem królowej dawał spokój, ale i czynił zadość przesadnej ostrożności podsycanej w nim nieustannie nie tylko przez żonę, ale i obie córki, które z każdym rokiem stawały się podobne do niej, jak kwiaty tego samego drzewa.

Złożył podpis i oddał go wysłannikowi. Rok intensywnej pracy... Musiał poszukać fachowców od zwierząt, kogoś takiego, jak młodzieńki Philip Wouermann, kogoś od nieba, kto potrafi odróżnić chmurę przyjazną

od zwiastującej nieszczęście, kogoś od kwiatów, kogoś takiego, jak stary Ruisdael, stryj sławnego Jacoba, kto delikatnym pociągnięciem odda całe bogactwo krajobrazu. Ale ile się da, zrobi sam, przynajmniej jedną trzecią. Zresztą, czyż jego syn, Waldou, Ruffi albo van Velde nie byli w stanie odciążyć go w pracy? Każdy z nich pracował już na własny rachunek, ale też każdy – co jakiś czas – wracał pod jego skrzydła. Chcieli jeszcze coś podpatrzeć, podeprzeć się jego nazwiskiem, pograć w sławie jego i pracowni.

Odprowadził Silvercrona do drzwi. Wielka karoca, którą przyjechał, zaprzężona w cztery potężne konie sama w sobie była dziełem sztuki. Jej miedziane okucia w oślepiającym słońcu klęły w oczy, a intarsjowane trzema gatunkami drewna drzwi układały się w herb, najpewniej rodowy, posłańca.

– Wspaniały powóz, panie.

– Człowiek na starość – dopiero w tym momencie Jacob zorientował się, że Szwed jest dużo starszy od niego – zмага się z materią. I lubi wygody. Zwłaszcza z daleka od domu.

Przyznał mu w duchu rację. To prawda, po sobie samym czuł, że coraz gorzej znosi nawet najkrótszy wyjazd.

Poszedł do Cathariny. Polegiwała w zaciemnionej sypialni przyduszona zapachem świec i potu. Od jakiegoś czasu potrafiła godzinami, bez słowa, leżeć z otwartymi oczami. Próbował do niej przemawiać, ale rzadko dawało to efekt. Żaden medyk nie potrafił jej pomóc. Tak naprawdę jedynym miejscem, w którym ożywała, był zbór. Czasami zastanawiał się, czy jej choroba to nie kara Boża za odejście od Kościoła, za brak uległości, za podważanie kanonów.

Opowiedział jej o wizycie Silvercrona. Ze zdziwieniem uniosła głowę na wieść o sumie zaferowanej przez wysłannika.

– To dobrze, dobrze, Jacob.

Jej lęki, strach przed nędzą były zdumiewające. Ciągłe znajdował gdzieś pochowane drobne sumy. Przestał nawet o nie pytać. Cóż by to dało?

– Może pojedziemy do miasta, Catharino?

Miała wystraszone oczy. Czego on od niej chce? Dlaczego chce ją wyciągnąć z bezpiecznego domu? Dlaczego próbuje zakłócić jej spokój? Czuła, że jest mu coś winna, że zapomina o swoich obowiązkach, że przeciężenie niemocy, która dopadła ją... No, właśnie. Nie mogła sobie uświadomić, kiedy to się stało. Za szybko gnały myśli, jakieś obrazy, migotanie kolorów. Musiała się czegoś chwycić, znaleźć oparcie. Więc skoncentrowała wzrok na jego twarzy. Widziała każdą zmarszczkę, jakby ktoś powiększył je, wyeksponował, każdy por skóry, każdy włos, krople śliny w kącikach ust. Ostrość widzenia była tak wielka, jak nigdy wcześniej.

– Będziesz malował? – zapytała tylko po to, aby coś powiedzieć, przerwać ciszę.

– Chyba nie. Zrobię dziś przerwę. Może pojedziemy do Frasha?

Frash miał sympatyczną karczmę po drugiej stronie rynku, a jego pierwsza żona, Binett, rówieśnica Cathariny, przez całe lata obdarzała ją bezinteresowną przyjaźnią.

– No, chodź, chodź – prosił bez wielkiej nadziei na wyrwanie żony z otępienia.

I stał się cud. Entuzjazm, z którym nagle podchwyciła jego pomysł, był tak wielki, że na chwilę uległ złudze-

niu, że choroba jest zwykłym zwidem, snem koszmarnym. Zaczęła wołać Lysbeth, przymierzać suknie, wplatać jakieś kwiaty w warkocz, szukać biżuterii.

Wygnały go z sypialni. Kazał Jonasowi wyczyścić buty i zaprzęgać powóz. Poszedł jeszcze na chwilę do pracowni, zajrzał uczniom w malowane obrazy, spojrzął na leżące na stole kartony i nagle zrozumiał, że czegoś nie dopatrywał, zapomniał. Kolumny wspierające sufit burzyły harmonię plafonu. Czemu wcześniej tego nie widział? Jak mogło umknąć to jego uwadze? Znów szukał pomysłu na światło. Zapytał o to Waldou. W jego uśmiechu znów zobaczył tę szczyptę buntu, dziwnej przekory, która doprowadzała go kiedyś do pasji.

– To nic trudnego. – Palcem wskazał kąty padania światła. – Alabaster i mozaiki...

Nie musiał kończyć. W jednej chwili podjął jego myśl. Zwłaszcza w nocy salę doświetlano najpewniej właśnie tam, gdzie czernie, brunaty i brązy potrzebowały tego najbardziej, a wszystko to, co ciepłe, nasyczone, ugrzy, ultramaryny, jasne zielenie, nie więcej niż osiem, dziesięć obrazów, za to w centrum, same dodadzą tym zewnętrznym blasku. To właśnie kolumny w odbiciach, w refleksach spowodują pogłębienie wrażenia. Zrozumiał, że z pozornej przeszkody jest w stanie uczynić atut.

Kiwnął Jorisowi głową. Te trzy lata, podczas których dzień po dniu łamał jego opór, przymuszał do pracy, nagiął do swoich pomysłów, dużo dały i jemu. Nauczył się szanować odrębność, inne spojrzenie nie tyle na malarstwo, co raczej na życie, na korzystanie z niego, na funkcje przydawane najprostszym gestom, takim jak dotknięcie albo chwila rozmowy, ot tak, oddana pozornie

bez sensu, a w gruncie rzeczy istotna, ważna, budująca zaufanie.

– Tylko tyle? – Waldou zażartował we własnym stylu.

– No, no – pogroził mu palcem. – Nigdy nie oczekuj więcej.

To, co kwadrans temu wydawało się cudem, teraz, gdy wrócił, było już tylko chłodem. Entuzjazm Cathariny wyparował bez śladu. Nie dobrowszy biżuterii, chciała zrezygnować z wyjazdu do miasta. Góra, dół, góra, dół. Jej stany emocjonalne falowały, jak morze przy silnym wietrze. Był w takich momentach zupełnie bezradny. Więc zaczął wspierać Lysbeth, która upierała się, że pani tak ubrana, z tą, a nie inną biżuterią nie tylko nie odstaje wyglądem i urodą od innych dam, ale co więcej – to za nią będą się oglądać nawet dużo młodszy mężczyźni.

– Młodzi? – popatrzyła na nich nieufnie i zaczęła pocierać twarz kciukiem, jakby w tej chwili dotarło do niej, że młodość jest kategorią nietrwałą. – A niech tam – machnęła wreszcie ręką. – Wszystko jedno, Pan Bóg każdego sprawiedliwie obdarzy łaskami.

Osloniła twarz kapeluszem z szerokim rondem. Miała wrażenie, że spod tego okrycia nikt nie dostrzeże jej bladych policzków ani wystających siwych kosmyków. Najlepiej zresztą, gdyby nikt jej nie poznał, nie zauważył, nie rzucił na nią okiem.

Słońce w ciągu kilkunastu minut czekania na nich do tego stopnia rozgrzało odkryty powóz, że z trudnością dawało się czegokolwiek dotknąć. Jonas gwizdnał niezbyt głośno. Bata używał tylko jako straszaka. Nawet ogiera, którego kupił przed trzema laty, poskromił bez bicia. Tyle tylko – że ten słuchał wyłącznie jego. Trzeba

go było sprzedać i na to miejsce kupić Muchę, jabłkowi-tą, delikatną, przyjazną ludziom klacz, do której każdy mógł się zbliżyć bez obaw.

Wbrew chęciom Cathariny, już pierwszy przechodzień uchylił przed nimi kapelusza. Opasły Bert Dekert, rzeźnik, który zaopatrywał ich w mięso, śpieszył się jednak tak bardzo, że inaczej niż zwykle, nie zatrzymał się, nie zagadał, nie zapytał o zdrowie. Śmiesznie zawiął lewą nogą, jakby podstawiał jedną stopę pod drugą. Ta kontuzja to efekt wypadku z dzieciństwa, kiedy olbrzymi buhaj szlachtowany przez jego ojca, przygniół Berta, a zanim go odciągnięto, zmiażdżona stopa uległa trwałej deformacji.

W rynku zahaczyli o mieszczący się w niewielkim pałacyku zdobionym korynckimi kolumnami faktor Imhofów, obficie zaopatrzony w szkła, które tak pociągały Catharinę, i księgi, sprowadzane z całego niemal kontynentu, po które tak chętnie z kolei sięgał Jacob. Spojrzał na *Modus confitendi*, pięknie oprawiony tom biskupa de Escobara, tłumaczącego osiem wskazówek dla spowiednika wyłożonych przez świętego Tomasza: *dulcis, affabilis, atque suavis, prudens, discretus, mittis, pius atque benignes*. Gdybyż każdy z księży był taki, jak *doctor angelicus*, gdyby grzech był grzechem, a dobry uczynek wynikał z potrzeby, Kościół wciąż byłby jednością. Przychylny, gdy pyta... Iluż księży obciążyło, pomyślał, swoje sumienie grzechem śmiertelnym, iluż oglądało się za zapłatą, a nie zbawieniem.

Sprzedawca uśmiechał się do niego, jakby chciał powiedzieć: trafiłeś, panie, pod właściwy adres. Zapytał o cenę i kazał zapakować ikunabuł. Rzucił jeszcze okiem na dzieło Arnaulda La *Théologie morale des*

jésuites, ale dyspozycje otrzymania sakramentów prawa łaski nie zainteresowały go na tyle, żeby nabyć i tę księgę.

Podszedł do Cathariny, która oglądała pod światło piękne kielichy. Pomyślał, że będą dobrze służyć nie tylko przy posiłkach, ale staną się też cudownym eksponatem w pracowni.

– Podobają ci się? – zapytał, bo kupiłby jej wszystko, byleby uśmiech na dłużej zagościł na jej twarzy.

Odstawiła kielich na pulpit i wzięła do ręki inny, równie piękny.

– Może ten? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Kiwnął głową i kazał dać komplet.

– Mistrzu, może jeszcze spojrzycie... – kupiec, który ich obsługiwał, uważał widocznie, że swoimi zachętami jest w stanie skłonić ich do zostawienia w faktorze jeszcze większych pieniędzy.

Ale ta natarczywość obudziła w Catharinie naturalną u niej ostrożność. Przewyciężyła strach, który ją ogarniał.

– Niczego więcej – powiedziała kategorycznie, a sprzedawca, spojrzawszy niepewnie na Jordaensa, uznał, że jakakolwiek dyskusja może doprowadzić do tego, że nie sprzeda nawet tego, co już uznał za sprzedane.

Uklonił się i wyszedł na zaplecze. Chwilę później młodzieniec, właściwie chłopiec jeszcze, wyniósł im ich sprawunki do powozu.

Jakieś umorusane dziecko trzymane przez Jonasa siedziało na grzbiecie Muchy, która żartobliwie oganiała się od niego pyskiem.

– Koniec zabawy – oznajmił woźnica na ich widok i postawił roześmianego szkraba na ziemi.

Zanim weszli do Frasha, spotkali jeszcze chyba pół miasta. Co i rusz ktoś ich zaczepiał, pozdrawiał, o coś pytał. Catharina odpowiadała cierpliwie, kłaniała się, ale kiedy dotarli do karczmy, widział, że jest już zmęczona i ledwie żywa. Tygodnie pozostawania w domu zrobiły swoje.

– Jacob – pokazała mu na żołądek. – Ja chyba...

Zamiast wejść do sali, wyszli od razu na zaniebane podwórze. Catharina oparta o mur odpluwała, a drgawki co chwila wstrząsały jej brzuchem. Gdyby ktoś ich teraz zobaczył... Ale na szczęście, prócz syna Frasha z pierwszego związku, strugającego jakiś kolek, nikt tam nie zajrzał.

Karczmarz podał jej napełniony w trzech czwartych kieliszek.

– Wypij, Catharino. To najlepsze lekarstwo.

Okowita wstrząsnęła nią. Z trudem złapała oddech, ale faktycznie zaraz poczuła się lepiej. Uleciał gdzieś wszechobecny strach. Przytomnie rozejrzała się po okopconych ścianach i ludziach siedzących przy stołach. Karczma Frasha służyła za miejsce spotkań zamożnych mieszczan, ale i gości z innych miast, a nawet z Italii lub Niemiec. To dlatego właśnie z trudem wylawiała niektóre słowa. Przed laty lubiła odwiedzać to miejsce, bo mogła się napatrzeć na cudzoziemskie stroje, czasem tak inne od tych noszonych w Antwerpii.

– Opowiedz o nim – poprosiła, ale zanim zdążył zapytać, kogo miała na myśli, przysiadł się do nich Lukas Brent, malarz z Bredy, którego Jordaens nie widział od lat.

– Co cię do nas sprowadza? – zapytał.

Lukas skrzywił się, jakby ktoś zmuszał go do wypicia kielicha octu, i wzruszył ramionami.

– Życie, Jacob, życie. – Dłuższą chwilę narzekał na jakiegoś kupca, który nie wypłacił mu obiecanych pieniędzy za portret swojej małżonki. – Wszystko to zło-dzieje.

Okazało się, że zaliczka, dawno przejezdona, była wszystkim, czego mógł się spodziewać za swoją pracę. Należał do tej licznej grupy, która podejmowała się ma-lowania bez podpisania stosownej umowy.

Brent, starszy od Jordaensa o pięć, sześć lat, był nie-złym malarzem, z dużą kulturą i pewną ręką. Malarzem, który dobrze operował skrótem, połyskliwym światłem i cieniem. Jego charakterystyczne portrety zdobiły ściany wielu domów w całych Niderlandach.

Przyszło mu do głowy, że mógłby go zatrudnić do malowania świątyn. Samych sylwetek.

– Ile? – Lukas, jak każdy na jego miejscu, zdumie-niem zareagował na informację o tak wielkim zamówie-niu. Ale zaraz pokrył to zdumienie zafrasowaniem, jakby chciał powiedzieć, że nie do końca jest panem swego lo-su. – Kto oprócz nas?

Frash zastawił stół jadłem. Było go tak dużo, że naj-a-dłoby się znacznie więcej osób niż ich troje. Chwilę po-rozmawiał z Cathariną, a później znikł i tylko jego mło-da żona, którą widzieli pierwszy raz, z długą szyją jak Madonna Parmigianino, doglądała, aby im czegoś nie zabrakło.

Brent wyraźnie ucieszył się, że nie jest ostatnim, które-mu Jordaens zaproponował współpracę przy zamówieniu. W jego oczach natychmiast zabłysły iskierki. Wsłuchiwał się w pomysły Jacoba, a kiedy mu przerywał pytaniem, każdym słowem starał się udowodnić, że jest właśnie tą jedną, jedyną osobą, na którą warto postawić, że legenda,

z jaką mają się zmierzyć, interesuje go w stopniu co naj-mniej równym, jeśli nie większym niż pomysłodawcę. Nie był pyszałkiem. Posiadał dużą wiedzę i umiał ją sprzedać. Święta Urszula, tajemnicza dziewczynka, nie kryła dla niego tajemnic, traktował ją nawet jak bliską znajomą, prawie rodzinę. Jedyne, co mogło niepokoić, to ilość oko-wity, którą bredeńczyk wlewał w siebie podczas rozmowy. Musiał mieć głowę mocną jak rzadko kto, bo wódka, wy-dawało się, nie zostawia w nim śladu.

– Mam ze sobą chłopaka – oznajmił na koniec. – Co by z nim zrobić?

Patrzył na nich, jakby oczekiwał, że i dla syna znaj-dzie się jakaś robota. Ale Catharina, która na chwilę wtrąciła się do rozmowy, nie dała mu złudzeń.

– To Jacob skompletuje malarzy – oznajmiła autory-tatywnie. – Dobrych malarzy. I podpisze obrazy swoim nazwiskiem. Wiecie, co to oznacza? Przez wieki ludzie będą je podziwiać. Jego będą podziwiać.

Jordaens pomyślał, że to właśnie ta Catharina, którą pokochał. Mądra, chroniąca go, trzymająca dystans, trochę dla innych niedostępna, ale tak naprawdę czuła i opiekuńcza.

Lukas kiwnął głową.

– Będę go musiał odesłać.

Nie wracali już do tego. Jacob dograł szczegóły za-płaty, nawet od razu dał Brentowi jakieś pieniądze, by ten mógł uregulować swoje zobowiązania wobec Frasha.

– Dobrze, że cię spotkałem – oznajmił na koniec bre-deńczyk i wyciągnął w jego stronę żyłastą rękę pozna-czoną, pewnie od jakiejś tajemniczej choroby, czarnymi kropkami.

– Boże ścieżki – Jordaens uściśnął mu dłoń.

Kiedy Brent odszedł, wzięli się z Cathariną do jedzenia. W przeciwieństwie do żony Jacob, im więcej zjadł, tym bardziej pragnął jedzenia. Czasami zdarzały mu się te napady głodu, przeraźliwego łaknienia i obżarstwa. Oczyma zjadłby wszystko, co było na stole. Może to stąd te bachanalia na jego płótnach? Kiedy wreszcie poczuł, że więcej już w siebie nie wmusi, przywołał Frasha.

– Gdzieś ty ją znalazł? – oczyma wskazał na jego żonę.

– To moja daleka kuzynka. – Oberżysta oblizał się, jakby sama myśl o młodziutkiej kobiecie wprawiała go w lubieżny nastrój.

– Kuzynka? – Catharina popatrzyła na niego ze zgrozą.

– Daleka, bardzo daleka. W gruncie rzeczy żadna rodzina.

Coś chciał im wyjaśnić, ale plątał się i niczego nie zrozumieli. Za to kobieta, widocznie domyśliwszy się, że rozmowa zesła na jej temat, przysiadła się do nich.

– Jak masz na imię?

Tym obcesowym pytaniem Catharina wcale nie chciała urazić Frashowej. Taki miała obyczaj, że do młodszych i stojących niżej w społecznej hierarchii zwracała się właśnie w ten sposób.

– Commerina, pani.

Piękna twarz, na której nie było żadnej zmarszczki. Długie, ciemne włosy zwinnie skręcone i spięte dużą broszą podkreślały biel policzków, kształtnego nosa i wysokiego czoła. Maleńki pieprzyk tuż pod lewym okiem dodawał karczmarce tylko wdzięku, którego i tak miała w nadmiarze.

– Pożyczysz mi ją Franz? – Jacob roześmiał się, kiedy zobaczył minę Frasha. – No, no – szturchnął go

w bok. – Wezmę ją sobie od ciebie tylko na parę dni. Co ty na to?

Szynkarz, zrozumiawszy wreszcie, o co chodzi, stuknął się w czoło zwinioną w kulek dłonią.

– Jeśli dobrze zapłacisz...

Zaczęli się licytować i w tej zabawie byli jak dwaj młodzi chłopcy rozbawieni własną pomysłowością.

– Czy ja nie mam tu nic do powiedzenia? – Commerina najwyraźniej też lubiła dobrą zabawę.

Stuknęli się kieliszkami. Ciężkie wino, którym popijali posiłek, zrobiło swoje. Wszyscy czuli się po nim rozweseleni, ale i trochę ociężali. Czas było się zbierać do domu.

Ustalił z Frashem, że Commerina będzie mu pozować. Dziewczyna, początkowo rozbawiona propozycją, teraz wydawała się nieco stropiona. Nerwowo poprawiała spadające na oczy włosy.

– Będę musiała stać godzinami?

– Raczej leżeć – uspokoił ją. – Będą cię, pani, oglądać koronowane głowy... – powiedział dla zachęty i czuł, że królewscy goście nie pominą tej twarzy.

Machnęła ręką, jakby koronowane głowy były dla niej codziennością. Przytuliła się do swego Franza, pełna oddania, małżeńskiej wierności i szacunku.

Ciekawe, pomyślał, ile lat przetrwa w tym zauroczeniu, ilu mężczyzn omota, a wreszcie, owdowiawszy, Frash był od niej prawie dwa razy starszy, odziedziczywszy majątek i pozycję, jak długo będzie szukać innego kandydata do wspólnego łóża?

Pojechali jeszcze do kościoła Świętej Walpurgii. Chciał choć na chwilę rzucić okiem na *Pokłon trzech króli*. Kiedy patrzył na ten wielki obraz ołtarzowy, czuł, że wzbiera w nim zazdrość. Nigdzie nie widział dzieła

równego mu klasą. Godzinami mógłby wpatrywać się w to płótno. Prawie fizycznie czuł każde pociągnięcie pędzla, każda smuga, promień światła, odbicie były jego pomysłem, jego wartością. Cóż z tego, skoro to młody Rubens, a nie on nakreślił sylwetki, odnalazł figury, kolejność, znalazł i wyeksponował to, co najważniejsze, najtrwalsze.

– Ciągłe się z nim porównujesz, prawda? – tylko Catharina domyślała się jego kompleksów.

– Miał trzydzieści jeden lat, kiedy dostał to zamówienie.

– Umarł. Nic już nie namaluje. A ty, Jacob, jesteś największy. Nawet van Dyck mówił o tym przed śmiercią.

Dochodziły do niego takie pogłoski. Nawet jeśli Anton, stary zazdrośnik, nie mówił tego szczerze, nawet jeśli chodziło tylko o osłabienie pozycji Petera Paula, i tak było to mile. Komplement z ust takiego majstra musiał cieszyć. Ale i on umarł i nikomu już tego nie powtórzy.

Któryś z modlących się, widocznie nie dojrzawszy twarzy, fuknął na nich. W panującej dookoła ciszy ich rozmowa była czymś niestosownym. Więc jeszcze chwilę wpatrywali się w cudowny obraz, a potem, uklękawszy, modlili się przez chwilę. To, że od kilku lat Jordaens nie był już katolikiem, nie przeszkadzało mu szukać Boga w każdym miejscu, w każdej świątyni.

To był miły dzień, pomyślał, kiedy znaleźli się już w domu. Dzień lenistwa i odpuszczenia cierpień. Catharina wyraźnie odżyła wśród ludzi, nawet rumieniec na twarzy czynił ją teraz bardziej powabną. Bał się o nią każdego dnia, starannie wypełniał zobowiązania, których się podejmował, aby przebłagać Boga za grze-

chy, uparcie sprowadzał coraz to nowych medyków, aby odkryli przyczynę jej niepokoju, migotania serca, napadów duszności, lęków. Któryś powiedział, że to całkiem normalne, że kobiety w jej wieku, coś szepnął mu na ucho o miesięcznych krwawieniach, muszą to przejść, że organizm jakby na nowo się budzi, przygotowuje do życia. Ale czyż to możliwe, aby trzeba było płacić taką cenę?

– Ten Brent...

– Tak?

– Za dużo pije.

– Jakie to ma znaczenie?

– Nie zauważyłeś jego dłoni?

To pewnie ojciec nauczył ją patrzeć ludziom na ręce, po nich oceniać ich talent. Głowa i ręce.

– Nie patrzyłem.

– Drżą mu.

– U mnie nie będzie pił. A jeśli spróbuje...

– Jeśli spróbuje, nie odzyskasz pieniędzy.

– To dobry malarz. Nie oceniaj, zanim nie zobaczysz go przy pracy – poprosił.

Podziwiała w nim tę nieustającą wiarę w ludzi, w ich wewnętrzną siłę. Była prawie pewna, że będzie miał z tym Lukaszem kłopoty. Żaden malarz oddający się nałogom nie mógł być dla niego partnerem. Niezależnie od tego, jak pewną ma rękę. Co więcej, przy nagłych terminach jeden dzień straty odpowiadał miesiącowi w innym przypadku. Dawno nauczyła się, że tylko Pan Bóg i ona dopatrują talentu Jacoba.

– Jeszcze jest czas, możesz coś wymyślić, aby go odesłać. Powiedz mu, że... – co właściwie mógł mu powiedzieć? – Skłam...

Nie odpowiedział od razu, gryzł to w sobie. Kiedy wreszcie się odezwał, decyzja była dokładnie taka, jakiej mogła się spodziewać.

– Nie, Catharino, nie godzi się.

Zawsze to samo. Nikt inny nie był tak uczciwy jak on.

Poszła z Magdaleną do łaźni. Weszła do zimnej wody i kazała Hiszpance szorować sobie plecy. Wciąż czuła pokłady brudu, który ją oblepiał, czynił gorszą, mniej wartościową od innych kobiet.

Kazała służącej zaśpiewać kołysankę, jaką nuciła ich dzieciom. Nie rozumiała słów, ale liczyła się melodia, rytm, tak inny od słyszanych we Flandrii. Magdalena, młodsza od niej o kilka lat, miała wspaniały, czysty głos, który wydobywała z siebie jakby bez wysiłku. Na jednym oddechu potrafiła zaśpiewać całą zwrotkę, a nawet jeszcze fragment refrenu. Uderzała przy tym rytmicznie raz w jedno, raz w drugie biodro. Była wesołą kobietą, dawno oswojoną z myślą, że przeżyje życie w tym domu, gdzie czuła się doceniona i kochana.

Catharina często zwierzała się Hiszpance ze swoich kłopotów. Czuła w niej bratnią duszę i, gdyby przyszło im się dziś rozstać, przeżyłaby to znacznie mocniej niż utratę jakiegokolwiek dobra.

Opowiedziała jej o Brencie. Kazała przyglądać się, patrzeć, czy nie wymyka się do miasta albo nie przesiaduje zbyt długo w kuchni. I zabroniła podawać mu wino.

– Gdyby pytał, powiesz, że tylko ja je podaję.

– A pan?

– Jego już przekonałam – oznajmiła, choć wcale nie była tego pewna.

Kiedy wróciła do sypialni, Jacob już spał. Pomodliła się i położyła obok niego. Wsluchiwała się w jego równy oddech i zasnęła nie wiedzieć kiedy.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy przespała tę noc bez żadnych koszmarów, bez budzenia się, bez odgania złych myśli i bez snów, które potrafią bardziej umęczyć niż najcięższa praca. Często myślała o tym, że to diabeł nocą wodzi człowiecze myśli, próbuje przekabacić duszę, ukazując grzeszne miraż.

Kiedy otworzyła oczy, natychmiast zorientowała się, że przespała poranek. Cały dom był już na nogach. Uczęsała się, odświeżyła, wypila w kuchni kubek mleka i poszła do pracowni. Jacob, ujrawszy ją w drzwiach, przywołał gestem ręki. Stolarz, z którym rozmawiał, uklonił się szarmancko.

– Spałaś, Catharino?

– Snem uczciwego. – Lubila Ljubersa. Czasami poza wiedzą męża prosiła go o wykonanie czegoś do kuchni i nigdy jej nie odmówił. Podejrzewała nawet, że nie wynika to tylko ze zwykłej uprzejmości. – Jak twoja Margerita?

Żona Ljubersa chorowała na płuca i coraz rzadziej pokazywała się w mieście. Stolarz bezradnie rozłożył ręce, jakby chciał dowieść, że nic tu nie zależy od niego.

– Zjecie coś? – zapytała, bo miała ochotę na dłuższą pogawędkę.

Jordaens podrapał się w głowę. Nie w smak mu było odrywać się od swoich zajęć. Chciał jak najszybciej zabrać się do szkiców. Nawet rozmowa w sprawie ogromnych blejtramów z trzema poprzecznymi wspornikami wydawała mu się stratą czasu. Z drugiej strony czuł, że nie powinien odmawiać. Więc ustalił z Ljuberssem wszystkie szczegóły, porozmawiał chwilę z Waldou i młodym Jaco-

bem, powiedział im, gdzie mają się znaleźć sylwetki dziewic, gdzie król Pogonii Zamorskiej. Rysunek samej Urszuli, węgierskiej świętej, wychodzącej samotnie do wysłanników obcej potęgi, chciał zrobić własnoręcznie. Ten cykl ciążył mu od lat. Ścierające się legendy wzmagały w nim tylko chęć zmierzenia się z tematem. Przybycie do Sławonii tysięcy młodych kobiet, dziewczynek jeszcze, ledwie ochrzczonych, wzdragających się przed odrzuceniem wiary, okrutny sułtan, rzeź wiernych cór Kościoła, papież, który zrzeka się swego namiestnictwa... Szybkim ruchem zakreślił pola, w których zdawał się na młodych. Szepnął coś jeszcze Wimowi i Theo, którzy mieli na ukończeniu niewielkie płótna, zamówione przez ratusz, i wolny wreszcie, zdecydował, że mogą się przenieść do kuchni.

Magdalena ponalewała im mleka do wielkich, glinianych misek, postawiła na stole wyrośnięte pieczywo i miód, który tak lubił. Nabierał go drewnianą łyżką i trzymał w buzi dłużej niż powinien.

Z najwyższym trudem mógł się skoncentrować na rozmowie. Wciąż myślał o pracy. Catharina dowcipkowała z Ljuberssem, a on widział twarz Commeriny, zamienionej w świętą. Czuł, że nie ma w tym przypadku, że to zrządzenie boskie, że właśnie wczoraj odnalazł tę kobietę. Będzie ją musiał troszkę odmłodzić, ale to nie stanowiło wielkiego problemu. Ten chochlik w oczach, taki dziewczęcy, jeśli go wyeksponować...

– ...ani w Kościele, ani w zborze. Nikt nie będzie nam dyktował, jak mamy żyć. A jeśli będzie trzeba, przejedzie się te kilkadziesiąt kilometrów...

Ljubers był ważną postacią w de Brabantsche Olijfberg. To on zakładał gminę, dawał przykład pobożnością i su-

mienną pracą. I to długie rozmowy z nim właśnie, i podsunęta przez niego lektura *Institutio Christianae religionis* utwierdziły Jordaensa w słuszności wyboru. Stolarz głośno chwalił Boga, ale ludzi sądził inną miarą. Był zwoleńnikiem surowej represji i poglądu, że tylko wybrani zostaną zbawieni. Ale nawet ci, którzy mieli być potępieni, winni byli przestrzegać postów, czytać *Pismo Święte* i prowadzić tryb życia nieuchybiający dobrym obyczajom. I na szczęście, podobnie jak Jacob, nie uważał sztuki religijnej za idolatrię.

Chwilę słuchał ich rozmowy, skarg na Hiszpanów i ich księży, którzy najchętniej znów rozpaliliby stopy. Dobrze, że wśród miejscowych niewielu znalazłoby się takich, którzy byliby skłonni słuchać tych podszeptów.

Catharina co chwila rzucała jakąś uwagę, ale przede wszystkim zachęcała do jedzenia. A gdy już się nasycili, pokazała im, czekając na pochwały, koronkowe serwety. Miały iść – obok koszul, czepków, kaftanów i delikatnych sukien – na wyprawę dla młodszej córki.

Więc jednak miała dość siły, żeby zadbać, pamiętać... Dla Jordaensa te serwety były jak piękny obraz. Potrafił w nich dostrzec rozmach kompozycji, precyzję, harmonijny splot. Zawsze lubił patrzeć na piękne rzeczy. Pobudzały go do jeszcze większego wysiłku.

Do kuchni zajrzał Wim, chłopak z dobrego, zamożnego domu, oddany pod jego opiekę przez ojca, kupca kolonialnego, który nie widział innych malarzy poza Jacobem i wymarzył sobie, że syn, dostawszy się pod jego skrzydła, złapie, jeśli nie metodę, to przynajmniej jego technikę.

– Co tam, Wim? – zapytał.

– Przyszedł mistrz Brent.

– Mistrz? – Catharina roześmiała się. – Tak kazał do siebie mówić? Naprawdę?

Chłopak nie bardzo orientował się, jak ma zareagować, a kiedy wyszedł, Catharina wyciągnęła w kierunku Jacoba swój długi palec.

– A nie mówiłam? Mistrz... – prychnęła ze złością. – Jeszcze się okaże, że robi ci łaskę. I że to jego zamówienie, a ty jesteś tylko na przystawkę.

Podszedł do niej i nie krępując się obecnością Ljubersa, pocałował ją prosto w usta.

– No, no, przestań – poprosił. I zanim wyszedł, przypomniał stolarzowi ich ustalenia. – Dębina pięcioletnia. I żebyś mi się nie spóźnił.

Tej uwagi nie musiał czynić, bo Ljubers należał do nielicznej grupy rzemieślników, którym jedynie śmierć mogła przeszkodzić w wypełnieniu zobowiązań.

Lukas siedział wygodnie rozparty w fotelu, na którym czasami umieszczano modela. Obok niego leżała sakwa tak wypełniona, że gruby rzemień ledwie ją spinał od góry.

– To cały twój majątek, Brent? – zapytał.

– Farby i pędzle dostanę od ciebie. Niczego mi więcej nie trzeba. Patrzyłem na te dzieciaki – wskazał na uczniów i kiwnął z uznaniem głową. – Przypomniałem sobie swój termin...

Wypita dzień wcześniej okowita musiała całkiem z niego wyparować, bo nawet ręce, na które, pomny uwag Cathariny, zwrócił teraz uwagę, nie potrzebowały wsparcia.

– Gdzie mam zacząć?

Jordaens pokazał mu drewnianą ścianę, do której małeńkimi gwoździkami przypinano ogromne kartony. Obok

siebie mogło tam pracować co najmniej trzech rysowników. Prawie godzinę zajęło im ustalanie szczegółów. Jacob chciał, żeby bredeńczyk nie skupiał się wyłącznie na twarzach. Miał pewność, że Lukas rozrysuje je dokładnie według jego wskazówek, ale sprawą może ważniejszą było na przykład zaznaczenie przyodziewku, fałdu sukni, klamry w buciku, kokardy wpiętej we włosy, a więc elementów pozornie drugorzędnych. Drugorzędnych dla laików, ale właśnie w tym, jak są malowane, dobry malarz może wykazać swą wyższość nad partaczem.

Brent kiwał głową. Zdawało się, że doskonale potrafi wczuć się w jego intencje. Czasami o coś zapytał i były to pytania logiczne, rozszerzające, dające wyobrażenie nie o poszczególnych scenach, ale o całej kompozycji.

Zostawił go, a Lukas powoli zaczął rozpinać odzienie. Wszyscy patrzyli na niego zdumieni. Kiedy stał całkiem nagi, bezwstydnie podrapał się w swoje ogromne, owłosione przyrodzenie, jakby chciał pokazać, że ciało traktuje bez zbytej powagi. Rozsupłał rzemień i wyjął z sakwy zwinięty kawał płótna z wyciętym otworem na głowę. Rozwinął go, założył i przepasał się tym samym rzemieniem, który spinał torbę. Odrzucił swoje rzeczy na bok, pod ścianę, wybrał ołówek, piórko, małe pędzelki i farby. Pracował z szybkością, o którą nikt by go nie podejrzewał. Co jakiś czas zrywał karton i w jego miejsce wieszal nowy. Każdy, kto choć trochę obznajomiony był z rysunkiem, widział, że musiał wykonać takich szkiców setki, a może tysiące. Szukał, wybierał, dopasowywał je do pewnego wzorca, który ułożył sobie w głowie. Czasami przywoływał któregoś z chłopców, aby z boku ocenił światło i perspektywę. Pracował bez wytchnienia, bez odrywania się przez wiele godzin.

Wieczorem poprosił Jacoba i pokazał mu jeden, jedy-ny rysunek. Wszystkie inne odrzucił albo uznał za niedopracowane. Jordaens stał przed nim dłuższą chwilę, a potem, nie mówiąc słowa, poszedł po Catharinę.

– Chodź ze mną. – Wziął ją za rękę i bez wyjaśnień pociągnął za sobą.

Catharina, która przecież od dziecka widywała najwspanialszych malarzy, była urzeczona tak jak Jacob. Każde z nich zwracało co prawda uwagę na inny szczegół, ale rysunek był zachwycająco precyzyjny. Kształt małżowiny usznej młodej dziewczyny oddawał krzywiznę niemal tak dokładnie, że chciało się jej dotknąć. Lekkie pociągnięcie kreski ust, zarysu nosa, zgniecionego mankietu, jakiegoś pyłu na butach, każda kropka, każde dotknięcie piórkiem miało sens.

– Teraz bym zjadł. – Brent przerwał im oglądanie, a oni jeszcze przez dłuższą chwilę nie mogli oderwać wzroku od jego dzieła.

Tak rysować potrafili tylko najwięksi, Grünewald albo młodszy Cranach. Lukas nie zwracał już na nich uwagi. Stał nad cebrzykiem, umył ręce i twarz, a potem, jak przed południem, zrzucił z siebie okrycie i przez chwilę, zanim się ubrał, stał całkiem nagi. Catharinie wyrwał się jakiś okrzyk, ale zaraz zdusiła go w sobie.

Poszli do jadalni na kolację i Brent znów nie tylko jadł, ale i pił ponad miarę, może nawet więcej niż poprzedniego dnia. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmieniał się przy stole w innego człowieka. Stawał się zgorzkniały i agresywny. To stąd pewnie ciągnęła się za nim niedobra sława pijaka i aroganta. Gdyby nie to, pewnie nigdy nie musiałby pracować dla innych. Ale on widocznie bardziej

sobie cenił własną wolność niż uleganie innym za cenę mało dla niego strawną.

Dosiedli się do nich jeszcze Waldou i młody Jacob. Wszyscy byli dziś podrażnieni. Jorisowi wyrwało się nawet przekleństwo, a chwilę potem zaczęli z Lukaszem, nie wiedząc czemu, prawić sobie złośliwości. Wreszcie Brent, nie wytrzymawszy, złapał w rękę olbrzymi gąsior pełen wina i wyszedł, nie zamykając drzwi.

– Niech idzie w diabły. – Młody Jacob, od dawna za-przyjaźniony ze Szwedem, jak zwykle stanął po jego stronie. – Gbur.

– Widzieliście jego rysunek? – Jordaens nie zamie-rzał mieszać się do konfliktu. I nagle zdał sobie sprawę, że coś go w tym rysunku niepokoi. Odtwarzał go sobie w głowie centymetr po centymetrze.

– Pewnie. Nic szczególnego. – Waldou z trudem akceptował to, że Jacob jest lepszym malarzem od niego, ale nie dopuszczał myśli, że w pracowni może się poja-wić jeszcze jeden konkurent.

– Nie, nie. Jest fantastyczny. – Catharina, mając opar-cie w mężu, nie zamierzała kryć swego podziwu.

– Mamo? – tym pytaniem syn chciał jej dać do zro-zumienia, że inni mają prawo do własnych ocen.

– Jeśli równie dobrze położę olej... – Jordaens czuł, że Brent wyzwoli go z otchłani braku czasu. – Trzeba jeszcze wziąć kogoś do zwierząt. Macie pomysł?

Młodzi kogoś tam wymienili, ale pokręcił głową. Zbyt dużo ryzykował.

– Jutro staniecie obok siebie – zdecydował. – I nie chcę słyszeć sporów.

Podziękował za kolację i znów poszedł do pracowni, bo tam spodziewał się znaleźć Lukasa. Nie pomylił się.

Bredeńczyk zestawiał świecznik na podłogę. Leżał na niej na wpół oparty o ścianę. Gąsior został już w dużej części opróżniony. To dlatego pewnie oczy Brenta tak lśniły w półmroku. Dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu.

– Czego ty się tak boisz? – zapytał wreszcie Jordaens, bo wydało mu się, że to pijaństwo musi wynikać z lęków.

– Sam się zatracasz.

– Boję? – Brent nie zrozumiał albo udał, że nie rozumie.

– Ta twarz. Nikt tego nie zauważył. Ale ja widzę.

Lukas ziewnął, jakby chciał mu pokazać lekceważenie.

– Co widzisz, Jacob?

– Ona jest już dorosła, prawda?

– Tak sądzisz? – Wstał z ziemi, podniósł świecznik i przystawił go do rysunku.

– To oczywiście. Wszystko naturalnie zależy od realizacji, ale dobrze wiesz, co trzeba zmienić.

Plamy na rękach dziewczyny, wyolbrzymione żyły – nikt tak nie mógł pokazać niewinnej ofiary. Wystarczyło co prawda ukryć dłoń za cienką szatą, oprzeć ją o biodro, tak żeby odwrócić w drugą stronę i nikt nie zobaczyłby fałszu. W jednej chwili zniknęłoby źródło konfliktu.

– Ciągłe ją widzę, mam przed oczyma. Pojawia się, choćbym nie chciał. Bronię się, uciekam, a ona jak zmorena wciąż jest obecna. To dlatego ten obraz... Dlatego go nie przyjął ten... Jak mu tam, van der Klujt? Tam też była. Wszędzie mi wyrasta, jak oset.

Van der Klujt był członkiem rady miasta. Miał duży majątek i kochał dobrych malarzy. Ufundował miastu dwa ołtarze i świąteczne dekoracje.

Brent osunął się na podłogę. Zaczął opowiadać o strasznej śmierci swej żony. Chorowała kilka miesięcy, cierpiała, zmieniała się. Nikt nie wiedział, co jej dolega ani jak jej pomóc. Zżerało ją coś od środka.

– Jakby diabeł dobrał się jej do kiszek. Płakała i modliła się o śmierć. Możesz to sobie wyobrazić? Chciała śmierci. Ból ją przerósł. I ciągle się z niej łało. Służąca nie nadażala wycierać. – Przez chwilę zobaczył w jego oczach łzy. – Wreszcie, kiedy postawiono właściwą diagnozę, na wszystko było już za późno. Pałaca boleść... Gdyby wcześniej... Gdzie ja nie byłem, Jacob? I na koniec okazało się, już po jej śmierci, że mogłem ją uratować. Antonici znaleźli lekarstwo. Gdybyś ją widział kilka lat temu. Była – przez moment szukał właściwego słowa – była taka delikatna, dziewczęca. Ale wciąż pamiętam ją młodą. Nie mogę uciec... Ci księża... Namalowałem im Pietę z jej twarzą. Zabrali ją do swego klasztoru w Isenheim. Ręce miała spróchniałe, postarzała się... – Język mu się trochę plątał, pewne rzeczy powtarzał dwukrotnie. – Młoda była. – Podał mu gąsior. – Napij się ze mną, Jacob.

Z grzeczności pociągnął łyk wina.

– Trunek cię nie uleczy, Lukas. Bóg zabrał, nie człowiek.

Popatrzył na niego nieprzytomnie, z jakąś złością.

– Z Bogiem też sobie dam radę.

Jordaens nie chciał słuchać bluźnierstw, tym bardziej że wciąż wierzył, że spotkanie z Bogiem, czas przez niego wyznaczony, ma swój sens głębszy, tajemniczy i niedostępny ludziom.

– Nie byłem dla niej dobry. Siedzi we mnie jakiś czort. Nieraz się odwinąłem, a teraz nie mogę zapomnieć.

– Wypowiadaj się, ukorz.

– Jutro to zmienię. Wymażę – Lukas zamiast o pokucie wolał rozmawiać o poprawkach.

Ale Jordaens nagle zdał sobie sprawę, że Brent niczego nie poprawi. Całe szczęście, że jego tajemnica ograniczała się do szczegółu. Mógł i chciał go naprawić.

Pomógł mu wstać i zaprowadził do gościnnego. Wielkiego pokoju, w którym umarł van Noort, przerebionego teraz, odświeżonego, z pięknym malowidłem na ścianie, którym młody Jacob upamiętnił dziadka. Lukas, wypuszczony z jego rąk, przewrócił się wprost na szerokie łożo. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale oczy same mu się zamknęły. W tej samej sekundzie zachrapał. Przyniósł mu jeszcze wody i postawił obok posłania. Tak na wszelki wypadek.

Wrócił do pracowni, zapalił więcej świec i chwilę korygował rysunek. Coś tam wytarł i zaokrąglił. Oczy, które na niego spoglądały... Nie mógł się od nich oderwać. Tak, ten potwór musiał ją kochać.

Przejrzał inne rysunki z taką niechęcią odrzucone przez bredeńczyka. Inni pewnie by je pokazywali jako dowód kunsztu, ale Jacob dostrzegł w nich to, co i Brent widział. Zatrzymanie ruchu, martwość, niedostatek przeżycia. Z każdego z nich można było coś wybrać, ustawić jako wzorzec, ale w całości dawały tylko marne odbicie cierpienia.

Na korytarzu natknął się na Jonasa, który dźwigając jakąś skrzynię, starał się go wyminąć.

– Hola, hola. A co tam jest? – zapytał, łapiąc go za mankiet.

Stajenny wzruszył ramionami, jakby to nie był jego problem.

– Pani nie kazała mówić.

– Tak? – zdziwił się, bo sądził, że Catharina nie ma przed nim tajemnic. – No, dobrze, dobrze.

Ciekawość go zżerała, ale kiedy wszedł do kuchni, przez chwilę udawał, że niczego nie zauważył. Miał nadzieję, że żona sama się zdradzi. A ona, widząc jego minę, w mig zrozumiała, że niespodziankę szlag trafił. Więc roześmiała się i przysiadła mu na kolanach.

– Jutro zobaczysz – droczyła się z nim, ale czuła, że nie da rady, że musi mu pokazać już teraz.

Wybiegła z kuchni i zaraz potem wróciła z Jonasem i skrzynią. Delikatnie wyciągali z niej przepiękną ramę z odcisniętymi ornamentami. Czasami, niezbyt często, robiła mu takie niespodzianki. Chciała, aby ich obrazy, te, którymi upiększał ich dom, nie były gorsze od tych wędrujących w obce ręce.

– Jest jakaś okazja? – zapytał zdumiony.

– Zbliża się, Jacob. Trzy tygodnie.

To nie będzie okrągła rocznica. Spędzili ze sobą trzydzieści dwa lata. Szmata czasu. Był do niej przywiązany, może nawet dalej zakochany i choć, jak każdemu mężczyźnie, zdarzało mu się od czasu do czasu zerknąć na inną kobietę, wciąż budziła w nim żądze. Rzadko kiedy radował się teraz jej ciałem, częściej niż kiedyś budził się w innym łożu, ale niekiedy, w zapomnieniu, zachowywali się jak tuż po zaślubinach.

Namalował ją jakiś czas temu, nie tak dawno, jako Pomonę. Lubił ten obraz. Potężni Sylen i Priap w opozycji do Wertumnusa. Kwiaty, drzewa owocowe, wszystko w ciepłych kolorach i tylko niebo granatowe rozjaśnione bielą chmury. Odmłodził ją na nim znacznie. Nagość zawsze była jej atutem, miała piękne piersi, akuratny tyłek, choć wówczas przykrył go jakąś szatą, a kształtną ljdką

nawet dziś mogła imponować. Podkreślił tę urodę, wskazując zainteresowanie innych postaci. Cała dziewczątka spogląda na nią i widać w ich oczach podziw, może nawet coś więcej? Ten hołd dla Pomony był jego hołdem dla Cathariny.

– No, no, nie myśl już – klepnęła go otwartą dłonią w udo. – Kazałam oprawić w tę ramę twój autoportret.

– Ciągle zapominam...

Faktycznie, zawsze musiała mu przypominać o wszelkich uroczystościach. To było jak utrapienie. Wziął ją za rękę i wyprowadził na dziedziniec. Zrobiło się bardzo ciepło, wiosna w pełnym rozkwicie. Usiedli na ogromnym pniu ściętego ledwie kilka tygodni temu kasztana. Musieli zrębać usychające drzewo rozłupane piorunem ubiegłorocznej burzy. Gdyby nie ono, prawdopodobnie, dom by nie ocalał.

– Przyjęło na siebie uderzenie – powiedział, ale Catharina, widocznie zaprzątnięta innymi myślami, ni z tego, ni z owego zadała mu pytanie nijak nieprzystające do tego stwierdzenia.

– Widziałeś tę bliznę na jego skórze?

Tym razem Jordaens dłuższą chwilę musiał w myślach szukać osoby.

– Brent? – zapytał wreszcie.

– Od obojczyka aż do brzucha.

Niczego nie zauważył. Niby kiedy miał to spostrzec?

– Wiele kobiet uciekłyby od niego, zobaczywszy tę szramę. I wcale się z nią nie kryje.

– Naprawdę? – zdziwił się, bo wydawało mu się, że ślady ran raczej przyciągają kobiety, niż odrzucają.

– Ciekawe, prawda?

– Pewnie nadział się na kiel erymantejskiego dzika – zaśmiał się i pomysł ten tak go rozbawił, że dłuższą chwilę nie mógł powstrzymać chichotu.

Posiedzieli jeszcze kwadrans na powietrzu i poszli do domu, wyciszonego już, spokojnego, pogrążonego we śnie. Pocałowała go na dobranoc, ale w przeciwieństwie do niej nie zmrużył oka przez dobrą godzinę. Wciąż i wciąż układał postaci. Dobrze, że Commerina jest taka młoda. Miała się zjawić z samego rana. Ktoś zobaczy ją nagą, zapamięta. Nie, nie, zasłoni ją, ustawi... Musi mieć dobre światło, a jeśli niebo się zachmurzy? Zrugął w myślach samego siebie. Jeszcze przed chwilą widział pogodne, rozgwieżdżone niebo. Na pewno będzie pięknie. Te Węgierki... Muszą się jakoś odróżniać od reszty świty. Będą jaśniejsze od tamtych, mniej ogorzałe, jeszcze młodsze. Tak, dzieci, dziewczynki, które nie są jeszcze kobietami. Każdy, kto spojrzy na cykl, musi natychmiast to wychwycić... Niewinność... Dziewictwo...

Zasnął, ale ten sen splótl mu się z jawą. Zabijane kobiety, pokora, z jaką przyjmowały okrutny los, tysiące oczu spoglądających na tyrana. Jak pierwsi chrześcijanie, pomyślał. Nikt w tym świecie nie ma dla innych litości. Który to papież zrzekł się godności i udał się z nimi do Grobu Pańskiego? Syrycjusz, Damazy, Celestyn? A może antypapież? Może Ursyn albo Eulaliusz? Licho wie. Ogarnął go strach. Nagle poczuł, że jest tam razem z nimi. Kim więc był? Próbował odnaleźć swoją twarz, ale wciąż mu gdzieś ulatywała, nikła, gubiła się.

Musiał krzyknąć, bo usłyszał swój głos i w jednej chwili oprzytomniał spocony, udręczony, z jakimś kolcem uciśkającym szyję. Napił się wody z dzbanka, który zawsze

stał przy łóżku, ale ból nie ustąpił, raczej odwrotnie, jakby się jeszcze spotęgował. Jezu, tylko nie to, pomyślał. Bez trudu rozpoznał przyczynę cierpienia. Ból promieniował z prawej strony, od szczęki. Co jakiś czas usuwał któryś z zębów. Palcem policzył te, które zostały. Dwadzieścia cztery, więcej u dołu niż u góry. Ale te, które się jeszcze trzymały, obnażone, wylazące z dziąseł, chwiały się przy każdym dotknięciu. Na samą myśl o szczypcach, którymi chwytało ząb, głębokości rany i długim gojeniu zrobiło mu się niedobrze. Po takim zabiegu dochodził do siebie przez kilka dni.

– Czemu mi to robisz, Panie Boże? – zapytał na głos.

Nie spodziewał się odpowiedzi, więc ponownie ułożył się na poduszkach i próbował zasnąć. Ale ból, zamiast niknąć, potęgował się i czuł, że twarz ma już spuchniętą, powiększoną, nie swoją. Tak czy inaczej musiał doczekać ranka.

Klasycystyczny Huis Ten Bosch z daleka robił ogromne wrażenie. Pieter Post, projektując pałac, oczyma wyobraźni, budował potęgę dworu orańskiego. Ukończony ledwie kilka lat temu miał zaświadczać, że jego gospodarze opływają w dostatek. Ale był to dostatek pozorny, przesadzony, na pokaz. Tu, w Zjednoczonych Prowincjach, bogactwo faktycznie przelewało się przez ręce, ale rodzina panująca została uzależniona od kaprysów rady miejskiej. Nie ulegało wątpliwości, że w kraju rządzą nie potomkowie Wilhelma Orańskiego, ale Stany Generalne. Za to mieszczanie byli bez porównania bardziej zamożni od tych z Antwerpii. Stawszy się największą morską potęgą świata, opanowawszy handel zbożem, solą, budulcem, rybami, sukniem i czym

tam jeszcze, Niderlandy spoglądały na innych z poczuciem wyższości. Haga też, nawet przy podłej pogodzie, była jakby weselsza, rozbuchana, wylegająca z majątkiem na ulice i na dziedzińce świeżo budowanych kamienic. Mimo formalnie wciąż trwającej wojny piękniała z każdym rokiem. Ale nikt się tu wojną już nie przejmował. Kwestią nie lat, ale miesięcy było, kiedy pokonani Hiszpanie znów podpiszą pokój. Z trudem rozpoznawał miasto, jego kręte ulice pełne straganów, tajemnicze zaułki, wąskie przejścia i szerokie, w jego odczuciu zbyt szerokie, aleje.

Pięć lat, które minęły od śmierci Frederika Hendrika, pozwalało zebrać materiał taki, jakiego potrzebował do pracy. Tym bardziej że wielu malarzy z całych Niderlandów za punkt honoru wzięło sobie przedstawienie księcia albo osobno, albo z rodziną – w otoczeniu dworu. Sala, której ściany miał wypełnić alegoria, też nie była zupełnie pusta. Po bokach wisiały cztery wydłużone portrety rycerzy opancerzonych łuskami. Ten strój jakoś się nazywał, miał to na końcu języka. Chwilę trwało, zanim ją odnalazł. Karacena? Tak, chyba tak.

Nie zastanawiał się ani dnia. Ta podróż była dla niego jak ożywienie, nagła pobudka, ucieczka od rutyny, w którą popadał. Wszystko, co się zdarzyło od czasu, kiedy w maju czterdziestego dziewiątego tu właśnie, w Hadze, oddał Szwedom ostatni z trzydziestu pięciu obrazów, kiedy z drzeniem serca, gorączką, w ostatniej chwili zdołał dotrzymać terminów, przypominało przeciągającą się noc. Niby malował, sprzedawał, dostawał jakieś zamówienia, ale nic z tego go nie cieszyło. Czuł się wypalony, zmęczony, poniewierany wątpliwościami. Trzy lata... Długi odpoczynek. Może zbyt długi?

Oddano im z młodym Jacobem w używanie piękny gabinet w którymś z bocznych korytarzy, pełen kunsztownych mebli, lusterek, naczyń i dwie sypialnie połączone ze sobą dyskretnym prześwitem. Służący doglądali, aby temperatura w tych pomieszczeniach nie spadła poniżej ich pragnień, więc piece były rozgrzane, ale w stopniu umiarkowanym. Zdun, który zestawiał kafle, musiał być mistrzem w swoim fachu. Pięknie barwione, układały się w romby przeplecione winoroślą, u góry zwieńczone błękitem najpewniej sygnalizującym pogodne niebo.

Wielometrowe malowidło, które powinno być najważniejszą dekoracją sali, miało ukazać przystrojonego wieńcem zwycięskiego Frederika Hendrika jako rycerza pełnego odwagi, obrońcę wiary, męża godnego zajęcia miejsca wśród największych swego czasu. A wokół niego zwierzęta z lwem na pierwszym planie i koniem spiętym ostrogą.

Nie ze swojej winy spóźnili się dwa dni. Roztopy w tym roku były tak wielkie, że zanim minęli Roosendaal, Dordecht, Rotterdam i Delft, upłynął tydzień. Trzykrotnie musieli zmieniać umęczone konie, a przewoźnik na którymś z kanałów mało ich nie utopił. Po tej przygodzie przemoczeni, kichający zatrzymali się w podłej gospodzie, której właściciel, zagorzały papista, podtruł ich mięsem lub kwaśnym winem do tego stopnia, że nie byli w stanie nie tylko jechać, ale nawet unieść się ze swoich posłań. Wszyscy, nawet woźnica, pluli żółcią, a kiedy nie mieli już nic w żołądkach, leczeni przez sprowadzonego medyka jakąś aromatyczną miksturą, dopiero mało nie wyzionęli ducha.

– *Artemisia absinthium* – lekarz, dawkując specyfik, unosił rękę z nabożną czcią, jakby podawał im hostię.

Na szczęście poratował ich opasły niemiecki wielmoża wracający z Francji do Akwizgranu. To jego medyk przegnał zachora, odstawił truciznę i postawił ich na nogi tego samego dnia. Ale i teraz byli jeszcze słabi.

Wyszli nad wodę. Była tak zielonkawa i tak czysta, że odbijały się w niej ożaglowania małych stateczków zacumowanych przy brzegu.

– Kolory jak u Piombo, prawda?

Długo szukał w głowie obrazu, który syn mógłby przyporządkować temu widokowi. Genialny Włoch, jego portrety wisiały w kilku znanych mu miejscach, nijak nie pasował do tego, co teraz widział. Ale może czegoś nie pamiętał? Umiał ocenić mistrzostwo innych, dostrzec ich zalety i braki. Jednak coraz rzadziej cokolwiek wzbudzało w nim zachwyty. Może, gdyby Bóg nie poskąpił talentu, człowiek potrafiłby odbić to, co zatrzymuje się w oku. Gdyby wymyślić taką maszynę. Opuszczasz dźwignię i to, co widzisz, zatrzymujesz na zawsze. Barwę, ruch powietrza albo jeszcze lepiej – gdyby można było do tego dodać głos, całe zdania.

Pierwsza noc w nowym miejscu nigdy nie była dla niego zbyt dobra. Zawsze miał problemy z zaśnięciem, a jeśli już to mu się udało, sny, które go nawiedzały, bardziej męczyły, niż dawały odetchnąć. Więc chodził długo po sypialni, zaglądał w notatki, szukał nowych pomysłów. Był podniecony, pełen zapału i chęci do pracy. Od rana staną na podeście, wymierzą środek, punkt, od którego zaczną, od niego poprowadzą linię, ustawią postaci ludzi i zwierząt, mitologicznych bóstw i znaków wiary.

Przez chwilę zastanawiał się, czy to zlecenie wiązało się dla niego z odejściem od rzymskiego Kościoła. Chciał

wierzyć, że zaproszono go do Huis Ten Bosch ze względu na talent i dokonania. A z drugiej strony... Czy był przez to odejście gorszym chrześcijaninem? Mniej ważnym we wspólnocie? Przecież modlił się każdego dnia, wypełniał nie tylko dekalog, ale i wszystkie inne powinności. Pewnie, tu, wśród takich jak on, mógł się czuć pewnie. Tylko cóż znaczyły te uwagi sąsiadów w Antwerpii. Kościół się go nie wyrzekł, raczej przeciwnie – wciąż chciał go do siebie przyciągnąć. Ale może rację miał Kalwin? Może malowanie Boga i świętych było skazą? Idolatrią? Może powinien uciec od tego, malować wieśniaków, czyjeś portrety, ciepłe krajobrazy?

Położył się na łóżku w ubraniu, nawet w butach. Chwilę przeglądał sławną księgę Karela van Mandera z interpretacjami *Metamorfóz* Owidiusza, ale nie miał siły mierzyć się dziś ze słowem. Odłożył ją na maleńką toaletę, która bardziej pasowałaby do komnaty powabnej damy niż do sypialni mężczyzny. Nie zdmuchnął świec, patrzył, jak się dopalają. Zamknął oczy i słuchał ich syku.

Czuł, że w ciągu ostatnich dwu, trzech lat rzadko kiedy oddaje swój talent, że coraz częściej przymusza się do pracy dla życia w luksusie, a to, co inni uznają za godne mistrza, w jego oczach trąciło paskudztwem. Nie ganił się za *Jezusa wypędzającego przekupniów ze świątyni*, ale co jeszcze godne było uwagi, czego nie musiał się wstydzić? Zarobił tyle pieniędzy, a wciąż patrzył, wyglądał kolejnych. Grzeszył. Często dawał jałmużnę, pomagał biednym, przyjmował ubogich przy własnym stole, ale tyle było wokół nędzy... I ta pycha, która go rozpierała...

Obudził się zmęczony. Kazał służącym grzać wodę. Musiał z siebie zmyć sen i trudy podróży. Łazienka, do której go poprowadzono, była ogromna. Mogło w niej

równocześnie siedzieć z dziesięciu mężczyzn. Więc przy pomocy syna doprowadził się do jako takiego wyglądu i odświeżony, bez jedzenia poszedł do sali. Młody Jacob, ciągle o nim tak myślał, choć miał już dwadzieścia siedem lat, sprytnie wspiął się na podest i podał mu rękę. Dla zabawy wskazał i zaznaczył środek. Gotów był się założyć, że to właśnie w tym miejscu, że od niego należy wszystko rozplanować.

Nie mógł uwierzyć, że się pomylił. Zarządził jeszcze raz pomiar, ale środek wciąż wypadł gdzie indziej. Jak to się mogło stać? Oczy? Przecież nie miał nawet sześćdziesiątki. Niby wiek poważny, ale przecież nie aż taki, żeby się mylić prawie o metr. Młody Jacob kpił sobie z niego na całego.

– Nie wyspałem się – westchnął wreszcie, szukając usprawiedliwienia.

– Bylebyś nie pomylił, ojczu, Frederika z Mauritsem. Tego by ci nie wybaczyli. Ani śmierci z kołyską.

Pozwalał mu na takie żarty od wielu lat. Choć syn wśród wielu malarzy uchodził za artystę pierwszej, najdalej drugiej kategorii, dobrze wiedział, że nie miał jego talentu. Młody potrafił zadbać o siebie, ale nie przywiązywał szczególnej wagi do miejsca, które wyznaczali mu inni. W jego pracowni zjawiali się klienci może nie tak bogaci, jak ci, którzy pukali do Hali Bluszczowej, ale na tyle zamożni, aby Jacob nie musiał się martwić o syna. Analityczne spojrzenie, dbałość o szczegół, precyzja sprawiały, że mimo niedostatków uchodził za naturalnego następcę ojca.

Zszedł z pomostu i udał się, by sprawdzić, jak przygotowano płótno. Zawsze się bał, że grudki słabo rozpuszczonego kleju zniweczą jego wysiłek. Ale tym razem

nie miał prawa narzekać. Dobrze naciągnięte, usztywnione płótno było zupełnie gładkie. Rozum podpowiadał, że powinien też sprawdzić zaprawę i farby, ale czy to z lenistwa, czy z wiary w fachowość księżących malarzy odpuścił. Wziął jeden ze szkiców i próbował umiejscowić na płótnie. Nie odczuwał lęku, w końcu tyle już za nim, ale stając przed czystym płótnem, jak zawsze poczuł mrowienie. Przed laty, naśladowując Caravaggia, malował z natury, ale dawno od tego odwykł. Teraz nie wyobrażał sobie, że mógłby zacząć bez prób. Ważne dla niego było pierwsze pociągnięcie. Czuł się wtedy jak odkrywca. Więc wziął pędzelek i czarną farbą pociągnął zarys twarzy. Starannie i delikatnie, jak muśnięcie dłoni dziecka. Rozjaśni go później, a na razie tylko zaznaczy.

Młody Jacob też już pracował. W przeciwieństwie do ojca – może przyzwyczajony, że w jego towarzystwie musi zejść na drugi plan – brał się do roboty bez żadnych zahamowań. Jak Wildens czy Wouters wyspecjalizował się w tłach do pejzaży, w dalszych planach i mógł być pomocny dla każdego z wielkich. Nie musiał liczyć na protekcję, zresztą spod ręki ojca nie wychodzili paracie. Ale on nauczył się malować inaczej, po nowatorsku, redukując paletę barw, biorąc trochę z Esaiasa van der Velde i Pietera Molijna. Nauczył się nakładać na siebie szarości, przeplatać je, wydobywając to, co ważne, jednym mocniejszym pociągnięciem pędzla.

Kiedy skończyli, zrobiło się wczesne popołudnie. Jeszcze nie zmrok, ale już światło nie to. Stół, przy którym podano im jadło, mógłby pomieścić co najmniej dwanaście osób. Jedzenie może nie było wykwintne, ale na tyle dobre, że nikt nie miałby prawa narzekać. Ilość mięsa, zarówno białego, jak i ciemnego, pasztetów, se-

rów, chleba, wina, ogórków była tak wielka, że po skończonym posiłku stół dalej wyglądał, jakby czekał na gości.

Służący zaproponował mocniejsze trunki, ale obaj odmówili. Okowita, paląca w gardle, szumiąca w głowie, odbierała nie tylko kolejny dzień, ale i zabierała pomysły.

Oderwany od pracy posmutniał. Ledwie kilka dni i już tęsknił. Za domem, poczuciem bezpieczeństwa, za swoim łóżem, Cathariną i najmłodszą Anną. To ona, czuł to, opiekuje się nimi na starość. Często tak bywa, że to ostatnie z rodzeństwa starzeje się z rodzicami. Chyba że odchodzą wcześniej, jak jego ojciec. Nagle to sobie uświadomił. Był młodszy od swego syna, kiedy Pan Bóg zabrał starego Jacoba. Trzy pokolenia Jacobów. Roześmiał się.

– Co cię tak bawi? – syn poczuł, że zmęczenie gdzieś ulatuje z ojca.

– Pomyślałem o dziadku. Miał spokojne życie.

Ojciec nawet śmierć sześciorga dzieci przyjmował jako rzecz naturalną. Oplakiwał je, ale umiał zachować dystans. Wierzył, że śmierć dla każdego jest wybawieniem. Piekło i niebo stanowiły dla niego bieguny. Dobro i zło, nie rozróżniał, nie dostrzegał szarości, odcieni. Świat traktował jak przestrzeń krótkotrwałego zmagania, po którym nastąpi wyważenie zasług i przewin. Śmierć była więc raczej oczekiwaniem, krótkotrwałym rozstaniem. Spowiadał się, co kilka dni przyjmował komunię, hojnie dzielił się swym majątkiem z proboszczem z Onze Lieve Vrouwekerk i dlatego nie odczuwał lęku.

– Triumf... Każdy z nas odchodzi z poczuciem klęski.

– O czym ty mówisz? – Młody popatrzył na niego z lękiem. Ojciec rzadko kiedy popadał we frustrację. – Jakiej klęski? Ty?

– Powinienem być być jego wrogiem. Zazdrościć...

– Kogo?

Z coraz większym niepokojem przyglądał się nagle postarzalej twarzy. Nawet nie przyszło mu do głowy, że ojciec może być zazdrosny o sławę Paula Petera.

– Ale nic takiego się nie zdarzyło. – Nie odpowiedział na pytanie, bo wciąż pozostawał wśród swoich myśli. – Nigdy nie wierz, że jesteś doskonały. – Tym razem wyraźnie kierował tę uwagę do syna. – Tyle razy powtarzali, że nie ma między nami różnicy, iż prawie uwierzyłem. O tyle – wskazał na końcówkę palca – tyle właśnie odgradza mistrzostwo od poprawności. Myślisz, że tego nie wiem?

Nigdy w ten sposób nie rozmawiali. Ojciec nie dzielił się swoimi myślami, w każdym razie nie z dziećmi. Mogli rozmawiać o perspektywie, świetle, półcieniach, kontrach, laserunkach, o przygotowaniu deski czy płótna, ale nigdy o tym, co w nim tkwi, męczy, wbija się w serce jak zadra.

– Możesz jeszcze wszystko.

Chciał go pocieszyć, ale wyszło jakoś tak niezręcznie, jakby sam nie wierzył w te słowa. Całe szczęście, że nie powiedział nic więcej, bo ojciec popatrzył na niego tak, jakby chciał rzec: dlaczego mi to robisz? Czy sobie zasłużyłem?

Przed wieczorem księżna zaprosiła ich do bawialni na koncert. Orkiestra, którą kierował siwowłoso, wyprostowany jak tyczka monachijski Niemiec Fitsche, miała zagrać utwory miejscowych: Schuyta, Sweelincka, Brüggena i Gomberta. Niezbyt wielką salę wypełniał dwór i nieliczni goście sprowadzeni na uroczystość. Muzycy dłuższą chwilę stroili instrumenty. Zgrywali je, dopasowywali do

siebie, układali. Skrzypce, viola da gamba, harfa, pomort, fidel, pozytyw, klawikord i bęben. Inne instrumenty, choć było ich jeszcze kilka, stanowiły dla Jacoba zagadkę. Po kilku minutach Fitsche wyciągniętym palcem dał wreszcie znać, że jest gotów. Lekko zaczęły skrzypce, a potem co chwila dyrygent pobudzał do życia kolejny instrument. Grano motety do holenderskiego przekładu psalterza. Dziwnym było usłyszeć je nie w łacinie. Ale całym sercem radował się tym odkryciem. Chłopięce i męskie głosy zharmonizowane z muzyką, zjednoczone z nią, w wysokim pomieszczeniu brzmiały donośnie, a dzięki podwyższeniu dla chóru, dochodząc z góry, rozlewały się po sali pełniej, we wszystkie strony, tworzyły odczucie, jakby odbijania się od tylnej ściany i powrotu echem. W ten sposób nakładały się na siebie, zwielokrotniając wrażenie.

W przerwie księżna, dama już leciwa, przystrojona licznymi ozdobami, rzuciła na nich okiem, uśmiechem odpowiedziała na ich ukłon i starannie wyuczonym gestem dłoni przywołała do siebie.

– Jak wam się, mistrzu, podoba? – spytała, ale w jej pytaniu zabrakło miejsca na jakąkolwiek krytykę. Prawdopodobnie była przekonana, że jak nikt inny w tej sali, może z wyjątkiem Fitschego, rozumie i czuje muzykę.

Więc wystękał, że piękne, choć nie bardzo zna się na muzyce, zwłaszcza tej nowatorskiej, współczesnej, że instrumenty wspaniale zharmonizowane, a harfa precudna.

Księżna z pobłażaniem wysłuchała nic nieznaczących pochwał, zapytała, czy mają wszystko, czego im trzeba do pracy, i zaczęła rozmowę z kim innym.

Tym razem spał znacznie lepiej niż poprzedniej nocy. Śniło mu się, że odkrył piątą Ewangelię. Co najdziwniej-

sze, jej twórcą był ten, który wydał Jezusa. Tekst Judasza został napisany w języku, którego nie znał, najpewniej, choć nie był tego pewny, w języku koptyjskim. Próbował odcyfrować treść Ewangelii, ale niczego nie rozumiał.

Obudził się, kiedy ledwie zaczynało szarzeć. Przez chwilę próbował zrozumieć sen, ale potem machnął ręką. Doszedł tylko do wniosku, że powinien pójść do zboru i się pomodlić.

Był głodny, więc ruszył do kuchni, w której kręcili się już kucharze. Dali mu coś do zjedzenia, a najstarszy z nich, Philips, nawet się do niego przysiadł na chwilę. Opowiadał coś o bratanku z Dordrechtu, który też jest malarzem, ale Jacobowi nazwisko Cuyp niewiele mówiło. Potem rozgadał się na temat tego, o którym w całych Niderlandach było od jakiegoś czasu głośno. Rembrandt. Utracjusz, jakich mało. Talent zabity żądzą.

– Słyszeliście, ppanie – śmiesznie się jąkał – że mmmusi utrzymywać Geertje Dirckx? – Kiwnął głową, coś mu się obilo o uszy o romansie malarza z niańką syna. – I wziął sssobie mmlodsza. Pokojówkę.

Co to miało wspólnego z malowaniem? A jednak miało. Tę sprawę powszechnie komentowano. Dopóki był z Saskią, z jej majątkiem, swobodnie rozporządzał danym od Boga mistrzostwem. Tyle znaczy kobieta. Jak Izabela dla Rubensa, pomyślał. Albo Catharina dla niego.

– I... i... i jeszcze to samochwalstwo. Wiidzieliście, panie, te jjego portrety?

Faktycznie, niektórzy śmiali się, że jedyny model, jaki pasuje Rembrandtowi i który maluje bez żadnej skazy, to on sam.

– Maluje pięknie – przerwał tę, mimo pozorów zawiści, pełną jednak szacunku przemowę.

Jakie to szczęście, pomyślał, że taki talent nie urodził się w jego mieście. Antwerpia nie wytrzymałaby trzech gigantów. Śmieszne, ale tak właśnie o sobie pomyślał. Gigant. Odstawił dzbanek i talerz, na którym jadł, podziękował i poszedł do sali, gdzie wczoraj zaczęli malować. Zdziwił się, widząc, że syn, odwrócony do niego plecami, zatopiony jest już w pracy. Podszedł i patrzył na to, co robi. Ale widocznie Jacob usłyszał, że ktoś stoi tuż obok, i domalował jakiś fragment, odwrócił się do niego.

– Wyszedłeś na spacer? – zapytał na powitanie.

Pokręcił głową, wziął od niego paletę, nabrał na pędzelek cynkowej bieli i, jakby od niechcienia, pociągnął w miejscu, w którym, wydawało się, niczego nie brakuje.

– Tak będzie lepiej, prawda? – zapytał, ale oczywiście nie musiał, wiedział, że to prawda.

Młody popatrzył na niego zdumiony.

– Jak ty to robisz? Skąd to wiesz?

– Za parę lat sam się zorientujesz – próbował zbyć syna niedorzeczną opinią. Obaj wiedzieli, że to nieprawda, że to coś, mają tylko nieliczni.

Ale jego dziecko lubiło dociekać prawdy. Było zbyt inteligentne, żeby dać się oszukać.

– Widziałem to, a jednak nie wiedziałem. Może też bym to zrobił, ale nie w tym miejscu. Zresztą to wbrew zasadom. Nic tu się nie krzyżuje, nie spiera z sobą. Zresztą, dlaczego biel?

Może poświęcił mu zbyt mało uwagi? Może mógł z niego wydobyć więcej? Wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem. Pójdiesz ze mną wieczorem do zboru? Trzeba się pomodlić.

– Oczywiście, ojczu.

Młody Jacob rzadko kiedy odmawiał, w szczególności, modlitwie. Jak ojciec, kilka lat temu, znalazł nowe oblicze Boga i nowy Kościół. Ale w przeciwieństwie do niego był bardziej krytyczny, może bardziej przywiązany do tradycji? Do ułożonego porządku świata? Do hierarchii?

Chciał być taki jak ojciec. Dystyngowany, pełen szacunku dla innych, ale i pełen wiary w to, co robi. Dostyc często łapał się na tym, że nosząc wielkie nazwisko, zawdzięcza mu zbyt wiele. A z drugiej strony czuł, że nigdy się nie wyzwoli z tego obciążenia.

Pracowali każdy na innym poziomie i każdy w swoim odrębnym świecie. Jordaens zajął się postacią księcia. Frederik Hendrik miał być w założeniu młodzieńcem pełnym energii, uwznioślonym własnym posłannictwem, na białym koniu lekko szarpniętym do góry, z siodłem misternie wyszywanym złotą nitką. Z wyjątkiem twarzy cały powinien być zakuty w stalową zbroję przepasaną pomarańczową chustą. Nogi odziane w długie skórzane buty. U boku rapier z ażurowym koszem, w olstrach pistolety. Prawa ręka ściągająca wodze, lewa klasycznie oparta na biodrze. W samej twarzy nos trochę zaczerwieniony i w kontraście – jakby oświetlone słońcem – jasne, z odcieniem żółci, włosy. Towarzyszący mu, znacznie starszy Maurits, na ciemnogniadym rumaku, jak księżę cały w zbroi, ale z białą, na hiszpański wzór, krezą opinającą szyję i takąż hiszpańską bródką. Nad nimi kobiecy anioł przystrojony w czerwienie, z odsłoniętymi zarówno piersiami, jak i prawie do kolan nogami, trzymający nad dwoma bohaterami wieńce laurowe. Od tych czerwieni miały się odbijać szare skrzydła, lekko jedynie rozjaśnione bielami.

Wypełniał zarysowaną postać. Nie spieszył się. Był dzisiaj odprężony, pewien każdego ruchu, więc i praca posuwała się do przodu tak, jak tego oczekiwał. Czasami schodził z pomostu, patrzył na swoje dokonania pod światło, wracał, stawiał gdzieś delikatny akcent, mający zaznaczyć wypukłość twarzy, i brał się za inny szczegół.

Skończyli, kiedy mieli jeszcze całkiem dobre światło. Szybko coś zjedli i pognali do zboru. Jakież było ich zdziwienie, gdy we wnętrzu całkiem gołej, pozbawionej jakichkolwiek ozdób świątyni zobaczyli nie tylko rozbawionych, przekrzykujących się ludzi, ale i psy. Nikt ich nie odganiał, raczej odwrotnie, traktowano je tu jak naturalnych sąsiadów. Przemawiający pastor, widocznie przyzwyczajony do zgiełku, zwracał się wyłącznie do tych, którzy chcieli go słuchać. W przeciwieństwie do pustawego antwerpskiego kościoła de Brabantsche Olijfberg, tu z pewnym trudem znaleźli miejsce do modlitwy. Jakaś kobieta pomyliła ich ze swym znajomym i zagadała dziwnym dialektem tak szybko, że niewiele zrozumieli. Młody Jacob odważył się zażartować, ale ojciec natychmiast przywołał go do porządku. Podeszli do pastora. Siwy mężczyzna, o długich kościstych dłoniach czytał fragment Starego Testamentu. Uważnie wsłuchali się w jego słowa: *Abyś nam nic złego nie czynił, jakośmy się też ciebie nie tykali i jakośmy tylko dobrze czynili, a puściliśmy cię w pokój, a tyś teraz błogosławiony od Pana.*

Kiedy skończył czytać, przez jakiś czas namawiał zebranych do skromności i życia bez grzechu. Stojąca za nim dama w bufiastej sukni, pewnie jego żona, kiwnięciem głowy co jakiś czas potwierdzała słowa męża. A potem wraz z nim zaintonowała pieśń, którą pod-

chwycili inni. Jordaensowie nie znali jej, więc w milczeniu przysłuchiwali się głosom chwalącym Pana.

Jacob, zanim wyszli, poczuł się pokrzepiony. Od dawna zresztą miał poczucie, że zbliżająca się starość nie jest żadnym odpływem. Chciał ją tylko oswoić, a wiara dodawała mu ducha, wzmacniała, uczyła odegnać lęki.

Wracali samotnie, bo pałac znajdował się jednak kawalek od miasta. Wieczór był ciepły, tak ciepły, że porzypinali kaftany. Ni z tego, ni z owego poczuli uderzenie wiatru, a zaraz potem gdzieś w dali usłyszeli grzmot. Burza? O tej porze roku? To niezbyt częste zjawisko, ale kilka minut później stało się faktem. Błyskawice rozświetliły cały horyzont, a ogromne krople deszczu atakowały twarze z jakąś morderczą furią.

Dotarli do pałacu całkiem przemoczeni. Zanim zdążyli krzyknąć, starszy z przydzielonych im sług stał już z dużym kawałkiem materii, którą mogli powycierać twarze.

– Jakby Pan Bóg przypominał o kruchości... – sługa musiał źle wspominać burzę.

Dla rozgrzewki łyknęli okowity. Miała cierpki smak, inny niż ta, której od czasu do czasu próbowali u siebie. Ale gdzieś w tle wyczuli zapach suszonych śliwek. Ten, kto ją robił, musiał być nie lada fachowcem. Zresztą, czego innego mogli się spodziewać na książęcym dworze?

– Twój Frederik jest taki młody. – Zdziwił się, że syn, pozornie niezwracający uwagi na jego pracę, dostrzegł jednak, że w oleju jest jakaś poprawka w stosunku do tego, co było na kartonach.

– Młodość? To raczej triumf. Wiesz, jak dobrze działa na ludzi sukces.

Młody Jacob popatrzył na niego jakoś tak dziwnie, niezwykajnie.

– To będzie twoje największe dzieło, ojcze. Przekonasz się.

Zamiast się ucieszyć z tej opinii, pomyślał, że jeśli ktoś ma już za sobą największe dzieło... Z drugiej strony, tyle razy wydawało się, że to właśnie ten obraz, który skończył, zaświadczy o jego mistrzostwie.

– Da Bóg – odpowiedział tak cicho, że syn najpewniej tego nie usłyszał.

Służący przyniósł im flakony z gorącą wodą, aby mogli ogrzać zziębnięte stopy. Pochował je w pościeli i życzył dobrej nocy. Chwilę jeszcze wymieniali uwagi na temat zboru, ale obaj byli zbyt zmęczeni, by na rozmowę poświęcić więcej niż kwadrans.

Po trzech tygodniach pierwszy obraz został prawie ukończony. Zanim nałożyli ostatnie warstwy laserunków, z samego rana odwiedziła ich księżna w towarzystwie grona miejscowych malarzy, nieznanymi dam i tych, którzy decydowali o książęcych wydatkach, przedstawiciele Stanów Generalnych. Wszyscy wydawali się podnieceni, oczekując dzieła, które przyćmi inne, jakimi dekorowano pałac.

Służba na polecenie księżnej sprawnie odsunęła na bok podesty. To, co ujrzeli zgromadzeni, przerosło najwyraźniej ich oczekiwania.

– Rubens – rzucił ktoś z boku.

Ktoś inny zaczął dociekać mistrzowskiego podobieństwa między postacią na obrazie a pamiętanym przecież jeszcze, Frederikiem Hendrikiem.

Jedynie Beck, haski bogacz, pozwolił sobie na zgryźliwą uwagę:

– Jeśli to Rubens, to jakżeśmy szczęśliwi, że mamy naszego Rembrandta.

Jordaens słuchał tych głosów początkowo onieśmieszony, potem – wraz z liczbą pochwał – coraz bardziej rozjaśniony, promienny, pewien siebie. Jemu samemu zdawało się, że w obrazie jest za mało pulsującego rytmu, rozbuchania, które zdarzało mu się uchwycić w innych scenach, na innych obrazach. No, ale skoro żaden ze zgromadzonych tego nie zauważył...

– Mistrzu – księżna wzięła go pod ramię i przeszła z nim od jednego do drugiego końca ogromnego dzieła – jeśli dwa pozostałe będą równie piękne... Będę dumna, posiadając takie prace.

Kazała przynieść wina. Chwilę później wzniosła toast, ale nie za niego, tylko za to, co nadejdzie.

– Oby ten dom w przyszłości jak najczęściej mógł gościć równych wam artystów.

Dźwięk tłuczonego szkła, spowodowany nieostrożnością którejś z dam, wywołał radosne komentarze.

– Dobry znak – krzyknął jeden z malarzy i zaraz podszedł do Jordaensa, aby złożyć mu należny szacunek.

Księżna oddała go w jego ręce, a sama przez chwilę rozmawiała z młodym Jacobem. Chciała, żeby jej pokazał to, co jest jego dokonaniem. Potem wsłuchała się w żywą rozmowę dwu innych malarzy, którzy ze znanstwem, podkreślając oryginalność kolorystyki, wskazując na gęstość farby w partiach jasnych i inną, bardziej przejrzystą w ciemnych, zgromadzili wokół siebie przy słuchający się tłumek.

Malarz, który stał z twórcą tego zamieszania, Egbertus Kuint, chciał koniecznie zaprosić Jacoba do swojej pra-

cowni. Nie malował wielkich scen, jak Jordaens, raczej jak jego własny, daleki kuzyn, Gerard ter Borch, na małych płótnach starał się ukazać zamożnych mieszczan w otoczeniu służby. Precyzyjnie szlifował każde piórko, kotarę, koronkę u mankietów, stąd też jego podziw dla Jacoba, który w tak wielkim dziele, jak oglądane, nie tylko uchwycił szczegół, ale wtopił swe postaci w dalsze plany, pozornie bez trudu, oddał przestrzeń, zmanifestował przywiązanie do tradycji malarskiej, wplótł w nią odrobinę tego, co nazywano gładkim malowaniem, i jeszcze, umiejętnie operując światłem, pokazał, która z postaci jest tą bezsprzecznie ważniejszą.

Jacob, który nieoczekiwanie poczuł, że swędzi go całe ciało, przyjął zaproszenie i uścisnął dłoń Kuinta. Nagle zrozumiał, że spływa zeń podenerwowanie, niepokój, jakiś rodzaj strachu. Wiedział, że przyjdzie ten moment, że to inni zdecydują o jego mistrzostwie, ale nie sądził, że wciąż jeszcze może być aż tak uzależniony od tych uwag. Dobrze przynajmniej, że księżna na ten niezapowiedziany pokaz wzięła z sobą takich jak on, ludzi pędzla, ludzi mozolnej pracy, talentu, swoistego widzenia świata. I, jak dziecko, cieszył się z ich uznania.

Wiele osób podeszło do niego tego dnia z gratulacjami. Wierzył w ich szczerość, przez chwilę nawet poczuł, że nikt inny tylko on właśnie... Pycha, zrozumiał jednak prawie w tym samym momencie, pycha u diabła w zaprzęgu... Więc szybko otrzeźwiał i po ich wyjściu, siadłszy na podeście, długo wpatrywał się w swoje dokonania. A kiedy już odsiedział swoje, złapał pędzel i cisnął nim o podłogę.

Młody Jacob prawie się popłakał, kiedy zobaczył, że ojciec niszczy to, co inni uznali za mistrzowskie.

– Dlaczego? – wydukał.

– Dlaczego? – powtórzył jego pytanie. – Powiedziałeś, że to będzie moje największe dzieło, pamiętasz? – przypomniał mu wcześniejszą rozmowę. – Nie chciałbym, aby ktokolwiek uznał, że tylko tyle potrafię. Ale – chciał chyba syna pocieszyć – nie martw się. Możesz stawać do drugiego płótna. Z tym dam sobie radę sam.

I już się tego dnia nie odezwał aż do wieczora. Malował tak, jak dyktowało mu serce, a nie jak zaplanował. Mógł kartony odłożyć na bok, mógł je podrzeć i kazać spalić, na nic nie były mu już potrzebne. Co prawda obraz, jego ogólny wyraz pozostał ten sam, ale w sylwetkach uchwycił to, czego wcześniej nikt nie mógłby tam dojrzeć. To teraz dopiero Frederik i Maurits byli uosobieniem stalowej woli, potęgi, męskiego honoru, a kobieta – ten zawieszony nad nimi anioł – przestała być dekoracją, zwieńczeniem, nagle stała się apetycznym obiektem westchnień, lubieżnego oblizywania warg. Była i kochanką, i matką, świętą i ladacznicą. Zglądała im w twarze, marsowe oblicza, przeznaczone przecież nie dla niej, ale dla wrogów. Wiedział, że zbliżył się, jeszcze nie dotknął, jednak zbliżył się do tego rejonu, miejsca, w którym jego wyobraźnia zlewała się z tym, co dłoń pozostawiła na płótnie.

Podszedł do syna, wziął go za rękę i podprowadził do miejsca, gdzie malował. Stanął za nim i czekał na reakcję. Młody Jacob długo przypatrywał się zmianom, a kiedy wreszcie przerwał milczenie, to, co mówił, było jak westchnienie ulgi.

– Nie chciałem o tym wcześniej wspominać – powiedział mu to, nie odwracając się, nie patrząc w oczy – ale widziałem, jak się męczysz. Miałem nadzieję, wierzyłem,

że znajdziesz metodę... Może ja jeden ze zgromadzonych tu dzisiaj wiedziałem, że żadne pochwały cię nie uwiodą. Mam wrażenie, że teraz dwa następne nie sprawią ci kłopotu. Ciekawe tylko, jak zareagują na te zmiany inni?

Tego się nie obawiał. Każdy fachowiec musiał zauważyć, że odmieniony obraz jest lepszy niż uprzednio, że gra nie tylko kolorem, światłem, ustawieniem postaci, ale przede wszystkim, że jego autor znalazł klucz do sytuacji. Ten, kto na niego spojrzy, musi poczuć, że dekoracja jest przeniesieniem wizji państwa, że oddaje społeczny klimat, buduje dumę z osiągnięć ostatnich lat. O ileż łatwiej byłoby namalować portret. Miał wrażenie, że samo malowanie twarzy niczego jednak nie daje, że to tylko namiastka malarstwa, wzornictwo mało ważne, ozdóbka wzmacniająca dobre samopoczucie zleceniodawcy. Choć i jemu zdarzało się namalować taki obraz, robił to wyłącznie dla zarobku. To tu, w tym wielkim, przestrzennym malowaniu czuł się spełniony.

Zgodnie z umową wyjechali na dwa tygodnie do domu. Tym razem podróż przebiegła bez żadnych problemów. Catharina, która wyszła ich witać, mrużyła oczy. Od dawna miała problem ze wzrokiem. Mówiła nawet, że ślepnie, ale nie chciał w to uwierzyć. Wziął ją pod ramię i jak wtedy, gdy była całkiem młoda, okręcił dookoła siebie.

– Puść, puść – krzyczała, ale w gruncie rzeczy wiedział, że to są krótkie chwile jej szczęścia, że znajduje w nich odbicie jego uczuć, przywiązania i miłości.

Dobiegała sześćdziesięciu trzech lat. Robiła się coraz tętsza, ale dzięki Bogu, zdrowie jej wróciło, a i humoru

nie brakowało. Odnalazła pogodę ducha i imponującą siłę do podrywania zarówno siebie, jak i innych nie tylko do pracy, ale i modlitwy. Ludzie, którzy jakiś czas temu odsunęli się od niej, czy to ze względu na głośno okazywaną różnicę wyznania, czy też chorobę, patrzyli na nią teraz z niekłamanym szacunkiem.

Długo musieli opowiadać z młodym Jacobem o zwyczajach panujących w haskim pałacu. Mówili o szklach, które widzieli w Huis Ten Bosch, o strojach tamtejszych kobiet, znacznie bardziej powściągliwych niż te tutaj, o wielkiej sławie i skandalach wokół Rembrandta, które w Antwerpii były ledwie echem, i o pięknym słowie *vani-tas*, w sztywnych ramach Niderlandów znaczącym więcej niż tu. To ciągle napominanie, przypominanie, pocuzanie raziło ich zresztą. Bo, czuli to od dawien dawna, to w sobie człowiek buduje cnotliwe działanie.

A na koniec wyjęli prezenty z dwu kufrów, których mosiężne okucia były tak misterne, że każdy musiał zwrócić na nie uwagę. Matka z córką, z jakimś mało zrozumiałym dla mężczyzn błyskiem w oku, przykładały do piersi przywiezione muślinowe i atlasowe suknie, wybiegały, aby założyć pończochy, odsłaniając przy tym więcej niż powinny, owijały się szalami i przytupywały w nowych bucikach.

Anna Catharina obcałowała ojca i brata i wybiegła, aby pochwalić się podarkami niedomagającej od trzech dni Magdalenie. Jacob pomyślał, że czas już najwyższy, aby ta młoda panna znalazła swój dom, własne szczęście, ale kawaler, z którym się zaręczyła, Frans Mortensen, wciąż był w rozjazdach. Jordaens miał nawet czasami wrażenie, że pieniądze znaczą dla niego więcej niż szczęście jego najmłodszej córki. Jadąc do domu, podjął

nawet postanowienie udania się na rozmowę do rodziców przyszłego zięcia. Tym bardziej że z wielu ust docierały do niego pogłoski o niezbyt obyczajnym prowadzeniu się Fransa.

Lysbeth przygotowała na ich powrót specjalny posiłek, faszerowany mostek cielęcy i baraninę w brunatnym bulionie. Wszystko okazało się tak dobre, że zjedli więcej, niż wydawało się, iż mogą pomieścić ich żołądki. I rozleniwieni tym jedzeniem, a może wymęczeni podróżą obaj zlegli: jeden w sypialni, drugi w gościnnym. Młody Jacob co prawda miał jeszcze dziś jechać do siebie, ale przecież nie wypadało zrezygnować z widzenia z matką.

Catharina pookrywała ich, aby nie zmarzli, i wróciła z Lysbeth do pracy, której nie mogły od tygodnia ukończyć. W miedzianych saganach smażyły marmoladę z ogromnych, granatowych śliw, które Jonas przywiózł gdzieś ze wsi. Po prawdzie obie były już tym zmęczone, ale jak zawsze uznała, że jedzenie jest darem Boga i nic, co od niego, nie ma się prawa zmarnować.

Cieszyła się z ich powrotu, cieszyła z pieniędzy, które zasiła domowy budżet, i ze sławy, jaka otaczała ojca i syna. Była z nich dumna. Gdzieś, co prawda, na dnie duszy kłuła ją jakaś drzazga, docierało do niej, że Jacob nie stanie w jednym szeregu z Peterem Paulem, ale żyjąc zgodnie z boskimi przykazaniami, tłumila w sobie te złe myśli.

Wieczorem młody Jacob pożegnał matkę, a za męża Catharina wzięła się sama w domowej łaźni. Żartobliwie potarosiła mu fałdę tłuszczu na brzuchu i trąciła, niby niechcący, obwisły członek. Lubiła sobie czasem dworować w ten sposób, a on przyjmował to z rozbawieniem, jakby miał do czynienia z dziewczynką jeszcze, a nie kobietą, z którą przeżył tyle lat.

– Powinnam była jechać tam z tobą, nikt o was nie dbał.

Zaprzeczył. Opowiedział jej, jak nagle zobaczył w swoim obrazie nutę fałszu, jak go zamalował, uciekł. Nigdy wcześniej nie miał takich doświadczeń. Stary van Noort przekonywał przecież, że malarstwo jest wyuczonym rzemiosłem, niczym więcej. Przypomniwał sobie, że jeszcze kilkadziesiąt lat temu nikt nie podpisywał swoich obrazów. Bo i po co? Wszystkie kategorie piękna są przecież tak niespójne i względne.

I jeszcze opowiedział o wizycie w pracowni u Egbertusa Kuipta.

– Całkiem naga? – Catharina z niechęcią myślała o kobietach, które bez wstydu pokazują swe ciało. Nawet jeśli tylko pozują artystom.

Bryznął na nią wodą, tak że musiała wytrzeć nie tylko ramiona, ale i twarz.

– Była ruda nawet tam – wybuchnął śmiechem. – To dobry malarz. Chętnie wziąłbym go do pracowni. – Opowiedział też o innych artystach. – Nie malują po kościołach, za to mają dużo zleceń na malutkie formaty. Nawet niezbyt zamożni chcą widocznie, aby pamięć o nich przetrwała.

– Na rano zapowiedział się Fryne. – Przerwała mu dosyć brutalnie, bo w jej wierze nie było miejsca na aż taką frywolność, o jakiej opowiadał.

– Fryne? – zdziwił się, choć może nie powinien, bo prałat, jakby nie chcąc zauważyć, że Jacob nie jest już papistą, wciąż przyciągał go do Kościoła. – Czego on chce?

Catharina wzruszyła ramionami. Mężczyźni mają przecież swoje tematy.

Kiedy już spał, przykryła go i objęła ramieniem. Czuła, że gdziekolwiek by był, dla kogokolwiek by pracował, z kimkolwiek by się umawiał, wciąż jest to ten sam chłopiec, którego ujrzała w domu swego ojca.

Nie mógł się obejść bez pracy, ciężącej mu jak choroba, więc z samego rana wymknął się z sypialni, poszedł do pracowni, wziął do ręki paletę, roztarł farby i zaczął podmalówki do kolejnej wersji *Pijącego króla*. Ten motyw prześladował go od wielu lat. Który to już raz? Wciąż odtwarzał ten obraz na nowo. Jedyny, którego nie malował na zamówienie, ale dla własnej satysfakcji. Co prawda wszystkie poprzednie sprzedał, nawet się zbytnio nie targując, za dobre pieniądze, ale wciąż miał nadzieję, że kolejny będzie lepszy od poprzedniego i zawiśnie albo w pracowni, albo w którymś z domowych pokoi.

Koło południa jeden z uczniów oznajmił, że Catharina prosi go do kuchni. Przy wielkim stole, na którym zwykle pracowały służące, tym razem siedział Fryne. Miał wrażenie, że prałat bardzo się postarzał. I nie dlatego, że osiwił, ale było coś w jego oczach, co czyniło z niego niemal starca. Wyściskali się serdecznie, bo akurat tego rubasznego księdza nie sposób było nie lubić.

– Co cię sprowadza, Fryne, do naszego domu?

– Grzech obżarstwa – prałat roześmiał się tak perliście, tak zaraźliwie, że wszyscy inni też musieli się uśmiechnąć.

Faktycznie Fryne lubił pojeść jak mało kto. Więc jadł i jadł, słuchał opowieści z Niderlandów, od czasu do czasu zapytał o jakiś szczegół albo prosił, żeby powtórzyć, bo nie zrozumiał, ale tak naprawdę długo, bardzo długo koncentrował się przede wszystkim na tym, co mu pozostało na stole.

A kiedy wreszcie przestał, zaczął opowiadać o starym, schorowanym papieżu, którego poznał w Rzymie. Jacob nawet nie wiedział, że prałat pielgrzymował do grobu świętego Piotra. Innocenty był papieżem ledwie od ośmiu lat, ale wszyscy mówili, że jego panowanie szybko zbliża się ku końcowi. Fryne opowiadał plotki. Snuł przypuszczenia, kto zastąpi Giambattistę Pamfiliego. Najbardziej oczywistym, według niego, kandydatem do zajęcia wielkiego tronu stał się ponoć Fabio Chigi, były inkwizytor maltański i negocjator pokoju westfalskiego, a od niedawna kardynał i biskup Imoli.

– Wszystko w rękach Boga i Mazzariniego – oświadczył na koniec, choć nazwisko francuskiego ministra niewiele mówiło jego rozmówcom.

Odczekał dłuższą chwilę, a po niej, jak to miał we zwyczaju, zapytał Jacoba, kiedy przyjdzie do niego się wypowiedzieć.

– A dajże ty mi spokój, Fryne – Jordaens nie zamierzał nawet ukrywać, że wolność, którą znalazł w nowym wyznaniu, jest mu stokroć bliższa od obrzędu.

Ale prałat był tak lubiany między innymi dlatego, że w przeciwieństwie do wielu kapłanów widział Boga we wszystkich ludziach. Nie narzucał go tym, którzy zbłądzili, nie przekonywał, chciał, aby każdy mógł go odnaleźć dzięki swej pracy, modlitwie i codziennemu trudowi.

Zapytał go, ile mu zejdzie na książęcym dworze.

– Mam tu dla ciebie robótkę – oznajmił, a usłyszawszy odpowiedź, skrzywił się, jakby dotknęła go osobliwość. – Tego akurat ci Pan Bóg nie wybaczy.

Ale to też był żart, choć ktoś, kto by go nie znał, pomyślałby, że mówi całkiem serio. Fryne chciał, żeby na-

malował jakiś niewielki obraz ze Świętą Rodziną do bocznej nawy jego kościoła.

– Gonisz za pieniądzem – grzmiał jeszcze z udanym gniewem. – Maria Panna nie będzie na ciebie czekać.

Ale w rezultacie zgodził się odłożyć zamówienie na jeszcze dwa miesiące. Wiedział, że w Antwerpii nie znajdzie nikogo, kogo kunszt można by równać z mistrzostwem Jordaensa.

Po pożegnaniu gościa Catharina dłuższą chwilę wpatrywała się w męża, jakby chciała wyczytać z jego twarzy coś więcej niż tylko zadowolenie z powrotu do domu.

– No? – zapytał wreszcie, bo przeciągające się milczenie trochę go krępowało.

– Nie sądzisz, że to dziwne, że nas odwiedza?

– Dziwne? – nie rozumiał.

– Cała twoja rodzina była tak blisko Kościoła.

– Wciąż jest.

– A my?

– Bóg jest jeden – starał się zbyć ją, choć i sam często miewał takie dylematy. – Chodźmy do miasta – zaproponował.

Spodobał się jej ten pomysł. Dobrze, pomyślała, że ludzie zobaczą ją u boku męża. Każda kobieta lubi, gdy inni wiedzą, że jest silna również pozycją swojego mężyczyny. Musiała się przebrać, bo w stroju domowym za nic w świecie nie wyszłaby na ulicę.

Wzięła go pod ramię. Gdyby ktoś zobaczył wówczas ich uśmiechnięte twarze, pomyślałby, że to para zakochanych. Wiekowych już, ale wpatrzonych w siebie bez pamięci.

– W niedzielę w porcie znaleziono wisielca – oznajmiła ni z tego, ni z owego. – Wisiał przewieszony przez

burtę angielskiego żaglowca wypełnionego sukniem. Mówią, że tak giną ci, którzy zapredali diabłu duszę.

Zdenerwował się nie na żarty.

– Ach, co ty, kobieto... – nie skończył, bo uklonił im się ktoś, kto musiał ich znać, ale on nie potrafił tej twarzy przyporządkować do nikogo.

Jakiś czas szli w milczeniu. Ona myślała o wisielcu, który stał się jednodniową sensacją Antwerpii, on zaś wypatrzywszy młodą kobietę z przepiękną szarfą na sukni, w myślach znajdował dla niej miejsce na malowanym obrazie. Nie, nie, nie przyszło mu nic zdrożnego do głowy, ale jak zwykle zainteresował go szczegół. To w ten sposób powstawały przecież nie tylko jego dzieła, ale wszystkich wielkich, z którymi stykał się tu od tylu lat.

– Widziałaś tę kobietę? – zapytał wreszcie.

Choć to niegrzeczne, odwróciła się, aby spojrzeć, o kim mówi. I, jak zwykle, poczuła jak kolec zazdrości kłuje ją gdzieś poniżej piersi. W jednej chwili cała radość ze spaceru uleciała.

– To przecież córka Plumwertów, Izabela.

– Nie może być – zdziwił się, że znana mu od urodzenia dziewczyczka jest już damą, którą zaraz stateczny ojciec odda jakiemuś zamożnemu sąsiadowi.

Plumwertowie należeli do wąskiej elity najbogatszych mieszkańców Antwerpii. To w ich domu wisiało nie mniej niż osiem obrazów Jordaensa. Frans, ojciec młodziutkiej Izabeli, dawno temu uznał, że warto kupować obrazy. Znał się na nich jak mało kto. Żaden partacz, jakich przecież były w mieście i okolicach setki, nie mógł nawet marzyć o zbliżeniu się do jego domu. Zresztą, kiedy potrzebował, zasięgał języka najpierw u Rubensa,

a potem u van Dycka i u niego. Pomyślał, że w dobrze pojętym własnym interesie powinien złożyć mu wizytę.

Catharina wyciągnęła rękę do góry. Słońce schodzące do dołu podświetliło wieżę katedry tak dziwnie, że cała w pomarańczowych odcieniach skrzyła się i biła zadziwiającym blaskiem. Przystanęli, aby popatrzeć na to niezwykle zjawisko, i nagle jakiś zataczający się obwieś wpadł na nich tak gwałtownie, że mało nie przewrócił. Uderzona w pierś Catharina dłuższą chwilę z trudem łapała oddech. W gruncie rzeczy powinien go złapać za frak i obić mu głowę, ale kiedy spojrział w przekrwione oczy, uznał, że jakkolwiek kontakt z osobą, która z dużą dozą prawdopodobieństwa nie bardzo wiedziała, gdzie jest i co robi, mijałby się z celem. Z jakimś mężczyzną posadzili pijaka pod ścianą i jeszcze zanim odeszli, zobaczyli, jak się przewraca i uderza głową o ziemię.

– W Niderlandach nigdzie takich nie zauważysz – powiedział posępnie, bo wydało mu się, że wrócił ze świata może prostszego, ale też z całą pewnością uczciwszego.

Każdy taki widok utwierdzał go w przekonaniu, że wybór, którego dokonał, był ze wszech miar słuszny, a Kościół, który uparł się, żeby trwać w swym grzesznym bezruchu, nie oferuje takim jak on zbyt wiele.

Weszli jeszcze na chwilę do Courbeta, który robił najlepsze placki w mieście. Dał im kawałek na spróbowanie, a cztery, owinąwszy cienką serwetą, włożył do kosza. Zdziwił się, usłyszawszy, że Jacob spędził tyle czasu poza domem i że jeszcze wyjeżdża.

– Mało ci pracy tutaj? – zapytał, bo sam nigdy nie wyściubił nosa poza granice miasta.

– Warto patrzeć na innych – odrzekł i poczuł, że jest w tym jakaś głębsza myśl.

Courbet był tęgim mężczyzną, któremu każdy krok sprawiał znaczący kłopot. Nie rozumiał więc, co mogłoby go pociągać w podróżach. Był przekonany, że ludzie, nie zaliczał do nich tych kilku czarnych, których widział w porcie, wszędzie są tacy sami, że nawet ich potrzeby nie odbiegają od siebie. Robił dobre placki i sądził, że to wystarczy. Nie zabiegał o pochwały, wiedział, że każdy, kto poczuje w ustach jego wyrób lekko ubarwiony konfiturą, złączy się z nim dobrą myślą.

– Co ci z patrzenia, Jacob?

Catharina otarła usta chusteczką. Chwilę później wytarła też brodę męża.

Nie chciało mu się tłumaczyć grubasowi, że zobaczyć, to znaczy przeżyć, nauczyć się, napełnić głowę pomysłami. Więc zbył go jakimś ogólnikiem, który Courbet musiał uznać za przyznanie mu racji, wziął swą kobietę za ramię i znów wyszli na rozslonecznione ulice.

– Tęsknię za tobą – oświadczył, kiedy odeszli kilkadziesiąt kroków od domu Courbeta.

Nie była pewna, co chce jej przez to powiedzieć. Wiedziała, że Jacob z trudem znosi samotność, że wszystkie jej wyjazdy powodowały, że po powrocie musiała go leczyć, ale przecież tym razem sam zdecydował. Nawet go nie namawiała. I wziął ze sobą młodego wcale nie po to, była o tym przekonana, żeby go czegokolwiek uczyć, ale by osłodzić sobie rozstanie.

Ścisnęła go za rękę z siłą, o którą sama siebie nie podejrzewała. Była pewna, że to wystarczy. W młodości porozumiewała się w ten sposób z ojcem, a z czasem przełożyła to na męża. Pomyślała, że dobry Bóg da im

spokojną starość, szczęśliwą i pozbawioną zmartwień. Bo czegoż im mogło zabraknąć. Mieli wspaniałe dzieci, ogromny dom, wierną służbę, pieniądze i, co więcej, cieszyli się dobrym zdrowiem.

Weszli w jakąś wąską uliczkę i prawie w tym samym momencie zmuszeni byli zatkać nosy. Gówna pomieszane z moczem, wylwane wprost pod nogi przechodniów, powodowały, że wszyscy uciekali z tego miejsca, jak mogli najszybciej. Dobrze, że władze miasta zarządziły jakiś czas temu, iż każdy chłop przyjeżdżający na targ musi wywieźć wóz nieczystości, inaczej zalałyby Antwerpię jak błoto po ulewie. Śmieszne zresztą, że przyszło mu do głowy takie skojarzenie, bo przecież po każdym deszczu ulice zamieniały się tu w bagna i najlepiej było wówczas dzień lub dwa odczekać, aż osuszy je słońce.

Kiedy doszli do domu, okazało się, że od godziny Jonas odbiera w stajni źrebaka. Poród zaczął się wcześniej, niż ktokolwiek przewidział. Pobiegli do stajni z kubłami wody i szmatami. Klacz co chwila otwierała paszczę, jakby to tamtędy miała wydać na świat potomstwo. Mężczyła się okrutnie. Stajenny w towarzystwie chłopaka od najbliższych sąsiadów z Hoogstraat pomagał jej, jak umiał. Wreszcie z jakimś jęknięciem, bardziej ludzkim niż zwierzęcym, zaczął się ukazywać maleńki konik. Pomagali go wyciągać, Jonas szybkim ruchem odciął łączącą go z matką pępowinę i postawił na cienkich jak zapalki nóżkach. Źrebaczek, cały we krwi, chwiał się i opadał na ziemię, ale podnoszony w którymś momencie stanął wreszcie całkiem dobrze. Kobiety zaczęły go wycierać, a Jordaens, który do tej pory stał w bezruchu, podszedł do klaczki, przysiadł koło niej i pogłaskał po mokrych chrapach. Był wielokrotnie świadkiem naro-

dzin, ale za każdym razem stanowiło to dla niego nie lada przeżycie.

– Chodźmy do domu – Catharina podała mu rękę i pomogła wstać z ziemi.

Poczuł się zmęczony. Nie lubił być zaskakiwany, nawet tak radośnie. Za każdym razem takie przeżycie powodowało w nim chęć ucieczki do tego, co umiał i robił najlepiej. Ale tym razem Catharina nie zgodziła się, aby wymknął się do pracowni. Niemal siłą zaciągnęła go do sypialni. Kiedy byli już w łóżku, poczuł, jak krąży dłonią wokół jego przyrodzenia. Dawno tego nie robili, zbyt długo, aby mogło wzbudzić w nim szczególne emocje. A jednak po chwili poczuł, że w dalszym ciągu może być młody. Pocałował żonę i sięgnął do jej dużych piersi. Pewnie, że nie były takie jak kiedyś, ale w dalszym ciągu gładząc je i delikatnie ściskając, znajdował w tym przyjemność.

Przyciągnęła go do siebie, gwałtownie, namiętnie i wpuściła między szeroko rozchylone uda. Przygryzła dolną wargę i jęczała tak głośno, że zdawało się, iż cały dom tego słucha. Rytmicznie unosił się i opadał, a ona prosiła, żeby nie przestawał, żeby wciąż tak trwał, żeby to, co u młodych trwa zwykle chwilę, u nich zamieniło się w wieczność. Więc nie chcąc jej sprawić zawodu, zszedł z niej w którymś momencie, aby odpocząć, ale sięgnął ręką pod całkiem mokrą koszulę, a ona, nie wiedział, udając czy zapadając się w swoim kobiecym świecie, dalej krzyczała i wreszcie, kiedy zrozumiał, że jest już na szczycie, znów wszedł w nią i naparł mocno. Raz za razem, aż do końca, do kresu. Dyszał z jakimś poświęceniem, jakby dostało się coś do jego tchawicy. Ale to tylko zmęczenie, wysiłek, od którego był odwykł i na

nowo, pomyślał i uśmiechnął się, znów powinien się uczyć. Później położył się obok niej, objął delikatnie i przyszło mu do głowy, że zawsze będzie pamiętał tę chwilę, zapach jej potu, nabrzmiałe sutki, krzyk, opinające go nogi. Jak w malarstwie szczegół, tak w miłości zapamiętuje się jakiś moment i przenosi na resztę życia.

– I skazuje Jacoba Jordaensa, syna Jacoba, mieszkańca naszego miasta pod adresem Hoogstraat, w domu zwanym Halą Bluszczową, malarza, starszego cechu świętego Łukasza, urodzonego w mieście Antwerpii w roku Pańskim tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym trzecim, za napisanie rzeczonożego tekstu godzącego w naszą świętą wiarę katolicką na grzywnę w wysokości ośmiu tysięcy florenów, a gdyby wpłaty tej nie dokonał, na zajęcie jego posiadłości aż do czasu jej uiszczenia. Nakazuje się ponadto wszystkim instytucjom miejskim, aby na przeciąg roku ich stosunki ze skazanym zostały ograniczone wyłącznie do wykończenia prac już rozpoczętych i niezamawiania nowych...

Patrzył na miejskich rajców ze zdumieniem. Mógł się, co prawda, spodziewać z ich strony gniewu, nawet niechęci, ale zasądzenie tak ogromnej grzywny było czymś nadzwyczajnym. Iluż przed nim ogłosiło w swoich pismach stosunek nie zawsze przyjazny do papistów, ale nikogo nie ukarano aż tak dotkliwie. Pomyślał, że oto postanowiono dać przykład, skończyć z rozmową, siłą narzucić to, od czego uciekał.

Heretyk. A cóż to, do diabła, znaczy? I któż ma prawo decydować? Jaką miarą mierzyć oddanie Bogu? Przez chwilę poczuł się jak Hermes, przewodnik zmarłych. Bo oto, chciał tego czy nie, wyrzucony został poza

nawias społeczny. Jakby zapadał się w podziemne królestwo.

Podczas całego procesu przekonywał, może zbyt wyniośle, tak, to było możliwe, przemawiał do nich, jakby wiedział więcej, jakby mądrość, którą posiadał, była jego przewagą, że bez oczyszczenia, bez znalezienia sposobu odrodzenia wiary, bez odrzucenia szczęścia widzianego, rozumianego wyłącznie jako posiadanie nie tylko ich miasto, ale świat cały zginie w chaosie, pogrąży się w zgniliznie, a na koniec szczeźnie palony ogniem piekielnym.

Jedyne szczęście, że zanim upublicznił swój list, dał go do przeczytania Catharinie i znalazł w niej, jak zawsze zresztą, oparcie. Wiedział, że to, co napisał, jest prawdą. Że przekupni księża, codzienna obraza obyczajności, pijaństwo, bogacenie się lichwą to zło, z którym chrześcijanin nie powinien się godzić. Że odrzucenie papieżstwa i jego hierarchii, uznanie jedynie dwu sakramentów, chrztu i eucharystii, że to wszystko zamiast oddzielać od Boga, jak chcieli rajcy, łączy raczej tych, którzy zrozumieli. Jak więc nakłanianie do życia zgodnie z Pismem uznać można za przewinę? Za obrazę?

Nie miał, będąc człowiekiem bogatym, może nawet bardzo bogatym, takich pieniędzy. A w każdym razie zapłacenie tej grzywny natychmiast równałoby się przyznaniu. Z drugiej strony tylu ludzi winnych mu było pieniądze. A i prace już rozpoczęte, jeśli je pokonczy, dadzą mu jakiś oddech. Nie zamierzał się skarżyć, czuł, że postąpił tak, jak musiał, że dostał wskazówkę od Boga, a ludzkie, ziemskie wyroki niewiele znaczą. Ci, którzy

chcą się z nim mierzyć, mierzą go własną miarą. Cóż ona znaczy?

Rufin, główny oskarżyciel, spojrział na niego z mściwą satysfakcją. Nigdy się nie lubili i wreszcie znalazł sposób, aby go pogrążyć. Nie chciał mu dać satysfakcji, więc podniósł dłoń i tym gestem wymógł na zgromadzonych ciszę.

– Chrystus powiada, nadstaw drugi policzek. Więc i ja go nadstawiam. Nie w waszej mocy, panowie, są Boże sądy. I nie wam mnie osądzać. Chcecie mnie zniszczyć? A te wszystkie obrazy, które wyszły spod mojej ręki, do których się modlicie, a których pełno w naszym mieście, je też zniszczycie? A może one lepsze od autora?

Czuł, że celnie trafił, że jego słowa, wypowiedane mocnym głosem, poruszają ich serca, choć nikt tego głośno nie wypowie. Ale nie było mu dane długo przemawiać. Rufin, milcząco wspomagany przez biskupa, zaczął tupać.

– Milcz, Jordaens, milcz, bo nie minie cię stryczek. Antwerpia to nie miejsce dla kacerzy. A i twoja sztuka jest obrazą Boga. Nikt tu więcej już cię nie czeka...

Reszta rady, wcześniej wprowadzona w osłupienie jego odważną mową, nagle odzyskała wigor. Jeden przez drugiego, jakby chcieli się utwierdzić w słuszności podjętej decyzji, zaczęli go lżyć i wyśmiewać.

Poczuł, że stacza się z wierzchołka, na który wyniosła go dawno temu sztuka, na samo dno. Nikt mu już nie pomoże. Lada chwila gotowi rzucić mu się do gardła, przebić je, rozgryźć... Cóż miał jeszcze powiedzieć? Ci, którzy go dotąd wspierali, w obawie o własne zdrowie poznikali gdzieś i nijak nie mógł ich wypatrzyć. Nie wyrzekł się go tylko stary Jan Swebers, snycerz, z którym

wykonali niejedną robotę. Chociaż, jak inni, katolik, miał przede wszystkim szacunek dla pracy. Nikt w jego odczuciu, kto miał talent, a ten uważał za dar Boży, nie mógł się z Bogiem wadzić. Więc ostentacyjnie wziął go pod ramię i razem z nim ruszył do wyjścia.

– Nie boisz się? – Jacob, będąc mu wdzięczny, czuł, że nie może od innych wymagać zbyt wiele.

– Strach? Tylko głupcy się nie boją...

– Więc po co to?

– Znam cię Jordaens. Znam cię lepiej niż ci, którzy cię osądzili. Za sto lat nikt o nich nie wspomni. A ciebie będą pamiętać i za sto, i za dwieście, a może i za pięćset.

Dłuższą chwilę szli w milczeniu.

– Kto wie, co będzie za sto lat – nauczył się nie wybiegać zbyt daleko w przyszłość. – Człowiek wątpi, człowiek, który wierzy, wątpi. A oni odebrali mi to prawo – gorczyć dało się słyszeć w każdym wypowiedzianym słowie. – Może mają rację?

– Może mają. Ale jakie to ma znaczenie? Dobrześ im odpowiedział, nie w ich mocy są sądy Boże. Zresztą, jak tacy, jak Rufin, mogą oceniać takich, jak ty?

To prawda, Rufin odziedziczył cały majątek po ojcu, niczego nie dokonał własnym rozumem, a to, co mu dzisiaj zostało, zawdzięczał jedynie wielkiemu posagowi, który wniosła mu druga żona. Nigdy nie zhańbił się pracą, a i pobożność była u niego wyłącznie na pokaz. Często przyjmował za własne cudze poglądy, a potem, przekonany, że dokonał jakiegoś odkrycia, porywczo stawał w ich obronie. Oskarżenia rzucał na lewo i prawo, każdego, kto miał odrębne zdanie, starał się zranić ciężkim słowem, obrazić i zabrać mu dobre imię.

Swebers zaprosił go do siebie. Mieszkał tylko ze swoją gospodynią imieniem Amelia. Żona, z którą był tak związany, zmarła przed dwoma laty, a Ludwik, syn, w którym widział swoją nadzieję, kiedy tylko zaczął zarabiacz pieniądze, wyprowadził się od ojca. Jacobowi wstyd było o to pytać, ale ponoć dziś powodziło mu się lepiej niż rodzicowi.

Jadalnia, do której się przechodziło przez ogromną loggię, dzięki talentowi Jana sama w sobie była dziełem sztuki. Rzeźby, misterne zwieńczenia kolumn, supraporta nad ogromnymi drzwiami – to wszystko to efekt jego pracy. Jacob czasami zazdrościł snycerzom ich sprawnych rąk.

– Każdy ma talent, na jaki zasłużył – oznajmił, ale nie zamierzał tego tłumaczyć gospodarzowi.

Ze zdumieniem ujrzał też na ścianie jakiś swój obraz malowany na desce. Nawet nie pamiętał, że dwadzieścia lat temu podarował go Swebersowi w podziękę za wspólną pracę. Stał przed nim i długo mu się przyglądał. Dawno tak nie malował.

– Dasz mi go do poprawek?

Swebers roześmiał się i było w tym śmiechu coś młodzieńczego, zupełnie niepasującego do jego sześćdziesięciu lat.

– Zachowujesz się jak niesforny uczeń. Tylko zły malarz poprawia swoje dzieła – oznajmił.

– Może źle malowałem? Popatrz – wskazał ręką rozbawione postaci – gdyby odwrócić światło.

– Jesteś niezdolny. Miał Rufin rację. Trzeba ci gardło uciąć i raz na zawsze rozwiązać problem. To bardzo dobry obraz.

Nalał wina do błyszczących kielichów. Gdyby je ustawić pod światło, można by w nich dostrzec słońce z Côtés du

Rhône. Wino może nie tak dobre, jak jego wina hiszpańskie, ale całkiem smaczne.

– Powiedz mi, Jacob, dlaczego?

Początkowo chciał udać, że nie rozumie tego pytania. Ale doszedł do wniosku, że to na nic. Tym bardziej że Swebers był przyjacielem, który chciał zrozumieć, a nie oskarżać. Tylko co mu miał powiedzieć? Że to, co zobaczył w Niderlandach, że ludzie żyją tam bliżej Boga, w zgodzie z nauką Chrystusa, że przestrzegają ustalonego przezeń porządku, że nie bogactwo, w każdym razie nie tylko i nie przede wszystkim bogactwo, decyduje o tym, kto będzie zbawiony... Miał mu powiedzieć, jak latami odkrywał w papieskim Kościele jakiś nieznośny fałsz, jakąś butę, która nie przystoi sługom Bożym? Jakieś odrętwienie, zatrzymanie w pół drogi...

– Człowiek – cedził słowa bardziej, niż chciał – musi dawać świadectwo. Bez tego obumiera. Całe życie karleje, topi się. Te wszystkie grzechy, człowiek... – zawahał się – człowiek ma szansę, ale Kościół mu ją zabiera...

– Zabiera? – Swebers był znacznie gorzej wykształcony niż Jordaens. – Nie Kościół, ale ludzie. Kościół daje nadzieję...

– Raczej złudzenia. Widzisz naszych księży? Gdzie w ich głowach Bóg? Czekają na pieniądze... I ta rozpusta... Sodoma i Gomora. Przyjdzie i na nich kara.

– Człowiek nie jest Bogiem. Grzeszy, bo taka jego natura. Ale jest pokuta i rozgrzeszenie.

Jacob nie miał ani siły, ani chęci przekonywać do swoich poglądów. Czuł, że każdy z nich, żyjąc uczciwie, spełnia swą ziemską misję.

– Powinienem ci, Janie, podziękować. Idą ciężkie czasy dla takich jak ja.

Snycerz popatrzył na niego uważnie. Cóż ten bogacz mógł mu powiedzieć o ciężkich czasach? W przeciwieństwie do niego nigdy nie zaznał biedy ani chłodu. Zawsze otaczali go ludzie pełni szacunku dla jego pracy i były wokół niego pieniądze, o jakich on sam nigdy nie mógł nawet pomarzyć. To przecież do Jacoba uśmiechali się przez lata hierarchowie i pierwsi obywatele, to on nigdy nie musiał prosić, zabiegać, zginać karku.

– Czasy zawsze są ciężkie. Nie martw się, sami przyjdą do ciebie. To nie potrwa zbyt długo. Są na to zbyt próżni.

Tak, tego Jordaens mógł być pewien. Wciąż uchodził za najlepszego. Co więcej, nie widać było innego, który zagroziłby jego pozycji. Ba, gdyby żył Paul Peter... Pewnie nikt by się z nim wówczas nie patyczkował. Męki piekielne, którymi grozono mu po śmierci, miałby już teraz, na ziemi.

Amelia wniosła jakieś jadło, ale odsunął je od siebie. Nie mógł przelknąć nawet kęsa. Wbrew temu, co mówił podczas rozprawy, nie czuł się dobrze. Aż do wyroku był przekonany, że nikt nie odważy się zagrozić jego pozycji, a jednak mimo to czuł, że dolegliwość, która go dopadła, to nie przypadek. Odruchowo łapał się za serce i głęboko oddychał. Ale ból, który mijał na chwilę, kilka minut później wracał ze zdwojoną siłą.

– Pójdę już, Janie. – Podziękował snycerzowi i serdecznie wyściskał.

Tak niewiele, pomyślał, trzeba, aby człowieka zranić. Jeszcze mniej, aby poczuł czyjeś wsparcie. Najgorzej ze zrozumieniem, na to nie ma recepty.

Pierwszy raz w życiu szedł ulicami Antwerpii i nie czuł, że to jego miasto. To, co się stało, uzmysłowiło mu nagle,

że można być wrogiem wbrew swojej woli, że chęć czynienia dobra, naprawy, moralnej odnowy może być odczytana jako bluźnierstwo, zdrada i zaprzaństwo. A przecież nigdy nie ukrywał swoich poglądów, żył w zgodzie ze Starym Testamentem, czcił dni święte, wychował dzieci na dobrych obywateli, nie uchylał się od żadnego obowiązku i, co znamienne, wielokrotnie czynił więcej, niż musiał.

Catharina siedziała w salonie. Nie poruszyła się, kiedy do niej podszedł i ucałował. Miał wrażenie, że cała zdrętwiała, zeszywniała, skryła się za jakąś maską, ale we wnętrzu kipi jak wulkan. Usiadł naprzeciwko. Widać było, że już wie. Takie wieści rozchodziły się po mieście lotem błyskawicy. Zrobiło się już całkiem ciemno, a oni wpatrywali się w siebie i jak jakieś nocne zwierzęta widzieli siebie dokładnie, czuli swoje oddechy, a nawet, zdawało się, potrafią odczytać myśli drugiego.

– Przez cały czas od twojego wyjścia modliłam się – odezwała się wreszcie. – Modliłam się nie o sprawiedliwy sąd, ludzkie wyroki nigdy nie są sprawiedliwe, ale o pozbycie się uczucia strachu. Powinniśmy wyjechać, Jacob.

– Wyjechać? Dokąd? Zostawić Halę Bluszczową, dzieci, przyjaciół?

– Nie mamy przyjaciół, wszyscy nas opuszczają. Przekonasz się. Dom sprzedamy, dzieci pojedą z nami, wszędzie znajdziesz pracę i wszędzie będzie nam lepiej niż tu.

Co do tego nie miał pewności, raczej odwrotnie, był przekonany, że u siebie zapracował na opinię, zdobył szacunek i uznanie. Gdzie indziej do wszystkiego znów będzie dochodził, konkurował, nachodził i prosił. Nie umiał tego robić, nie był nauczony. Czuł też, że wyjazd

oznaczałby przyznanie racji prześladowcom, a on wciąż upierał się, że publikacja jego przemyśleń była nie tylko słuszna, ale i dla wielu mogła stanowić pretekst do zastanowienia się nad własnym życiem.

– Nie – powiedział twardo i to słowo wystarczyło, aby Catharina zrozumiała, że to jedna z niewielu w życiu jej męża decyzji, z którą nie może dyskutować.

Kiwnęła głową. W gruncie rzeczy czuła dokładnie to samo, ale tak strasznie się bała. Mogła cierpieć razem z nim, znosić niezastuzone razy, ale dobro rodziny wynosiła ponad wszystko. Na każdy cios, na każdy zamach na tę świętość była gotowa odpowiedzieć po dwa kroć.

– Jak będziemy żyli? – zapytała.

– Tak jak dotychczas – odpowiedział natychmiast. – Pieniądze się znajdują, nie martw się.

Miał pewien dług do odzyskania. Jutro pójdzie do Gerarda. Nie może dłużej czekać. W najgorszym wypadku zwróci się do Kuinta. Zawsze może tam pojechać. Po tym, co zrobił w Huis Ten Bosch, wszystkie drzwi w Niderlandach stały przed nim otworem. Młody Jacob miał rację. To te obrazy, które tam zostawił, zaświadczyają o jego talencie. I niech go nikt nie porównuje z Rembrandtem. Czuł, że jest lepszym, po wielekroć lepszym malarzem. Tfu, ta ohydna pycha... Znów diabeł szeptem do ucha...

Gerard Witsge był wielkim kupcem rybnym. Ozdobił jego salon sześcioma obrazami i od trzech lat nie odzyskał nic ponad to, co dostał jako zaliczkę. Dłużnik zawsze miał argumenty, zawsze ważniejsze wydatki i konieczność spłaty bieżących zobowiązań. Ale nie da się dłużej wodzić za nos. Witsge nie był zresztą wyjątkiem. Wielu innych postępowało podobnie.

Mógłby sprzedać też obrazy, które wisiały w domu. Czemu nie? Malarz nie maluje dla siebie, cieszy oczy innych. Trzeba będzie tak zrobić.

– Ta grzywna – Catharina przez chwilę szukała słowa, które jej uciekło – to wściekłość. Poczuli się obrażeni. Gdyby nie Hiszpanie...

– Nie, nie, to nie o nich chodzi. – Nie chciał znajdować łatwych wymówek. – Bez nich byłoby to samo. To siedzi w ich głowach, w postrzeganiu świata, w ciasnocie.

Wstał i zaczął się przechadzać po salonie.

– A nasza gmina? – Tak, do nich też miał pretensję o tchórzostwo. Mogli stanąć w jego obronie.

– Ludzie są tylko ludźmi, nie wymagaj od nich zbyt wiele.

Pewnie, każdy miał za dużo do stracenia, a nic do zyskania. Stanął za nią i położył ręce na jej ramionach.

– Wszystko się jakoś ułoży – te słowa miały ukoić, zduścić niepokój i taki właśnie odniosły też skutek.

Pomógł jej wstać i poszli do kuchni, aby coś przegryźć. Lysbeth odsunęła jakieś garnki i na ich miejsce wstawiła to, co zostało z obiadu. Sprawnie rozbuchala ogień i za moment postawiła na stole parujące danie. Oblała je tłuszczem, w którym pełno było przyrumienionych skwarek. Jordaens pomyślał, że za nic w świecie nie zamieniłby domowej kuchni na żadną inną. I nawet nie chodziło o jakość potraw, pewnie w wielu miejscach byli lepsi kucharze, ale o atmosferę, poczucie bezpieczeństwa, o to, że nikt mu nie patrzył na ręce, nie zdumiewał apetytem albo jego brakiem. Swobodnie mógł sięgać ręką po kawał mięsa, rozłupywać go, wysysać, żuć. Nawet to, że popłami serwetę albo

ubranie stanowiło raczej normę niż coś nadzwyczajnego.

Nie myślał, nie zastanawiał się nad tym, co je. W gruncie rzeczy było mu wszystko jedno. Chciał, aby wreszcie skończyło się to ciśnienie w żołądku, które czuł od wyjścia z sali w ratuszu.

Lysbeth o coś zapytała, a on bezwiednie rzucił odpowiedź i dopiero z jej miny zrozumiał, że odpowiedział kompletnie bez sensu.

– Powinieneś iść się położyć – zdecydowała Catharina. – Zaraz do ciebie przyjdę.

Dopiero teraz dotarło do niej, że w tej sytuacji to na nią spadnie odpowiedzialność za utrzymanie tego domu. Że przez ten rok musi odnaleźć w sobie siłę, która pozwoli utrzymać i scalić rodzinę. Że nie może mieć chwili wahania ani zwątpienia.

Myślała, że kiedy przyjdzie do sypialni, będzie już spał. Ale Jacob kłęczał na ziemi, lekko odchyłony do tyłu i w świetle świec na głos czytał wersety Pisma. Ukłękła obok niego i powtarzała za nim: *I rzekł Pan do Samuela: Ustuchaj głosu ich, a postanów nad nimi króla. Przetoż rzekł Samuel do mężów Izraelskich: Idźcie każdy do miasta swego.*

W nocy kilkakrotnie budziła się, przekonana, że Jacob gdzieś znika, ale to tylko wyobraźnia pobudzona tym, co się stało, słała do głowy złe myśli. Wciąż leżał przy niej. Kiedy rozbudziła się na dobre, potarła leciutko dłonią o jego policzek. Miał ostry, drapiący zarost. Czasami, kiedy przytulił się do niej zbyt mocno, jej delikatna skóra robiła się od tego czerwona, jakby ktoś ponakłował ją czubkiem noża albo szpilką i zanim ślady zniknęły, musiał minąć dzień albo i dwa.

Jacob, tak jak postanowił, uznał kolejny dzień za stracony dla malowania. Kazał Jonasowi zaprzęgać do bryczki i wieźć się do Witsgego. Jego wielki dom przy nabrzeżu zdobiły cztery dosyć proste, monolityczne kolumny wzorowane na tokańskim stylu. Zanim zastukał do drzwi, chwilę patrzył na setki statków zacumowanych jeden obok drugiego. Nie były to już, co prawda, czasy, gdy do portu każdego dnia wpływało po dwa tysiące statków, ale wciąż znajdowało się ich dużo. Gdyby nie żołdacy Alby, gdyby nie spustoszenia, których dokonali, zdobywając miasto...

Kupiec przyjął go w jadalni i choć sam jadł, jego do jedzenia nie zaprosił.

– Słyszałem – chciał zyskać przewagę i nie dać mu dojść do głosu – o wczorajszym wyroku. W tym mieście jesteś, Jacob, skończony.

Mówił te brednie całkiem poważnie, jakby przekonany, że dzięki korzystnemu zbiegowi okoliczności pozbędzie się natręta bez szczególnych zabiegów.

– Tak sądzisz? – malarz wyprzedził go w wypowiedzianych zdaniach. – Ale zanim umrę, ty wypłacisz mi za ległe pieniądze.

– Jakie pieniądze? – ton głosu Witsgego miał sugerować, że o niczym nie pamięta, a jeśli winien jest jakieś pieniądze, to przez pomyłkę albo niedopatrzenie.

Położył przed kupcem papier z jego podpisem.

– Nie będę dłużej czekał – Jordaens rozeźlił się nie na żarty. Było w nim tyle determinacji, że Gerard zdał sobie sprawę, że natręt nie odejdzie dziś bez zapłaty.

– Twoje obrazy są teraz mniej warte niż wczoraj – próbował negocjować.

– Moje obrazy są więcej warte niż kwota, którą musisz mi zapłacić.

– A gdybym ci je oddał?

– Potrzebne mi są pieniądze, nie obrazy.

– Wiesz, że nie trzymam tutaj gotówki.

– Nie szkodzi. Przyjmę twój weksel.

– Mam duże wydatki. Zbyt duże, aby ci wszystko wypłacić. Ryby w tym roku... – nie skończył, ale rozumiało się samo przez się, że jak zwykle zechce zbyć go obietnicą.

– Mój wyrok... – uśmiechnął się i też przez chwilę nie kończył zdania. – Ale sam wiesz, co oznacza wyrok dla kupca.

– Grozisz mi?

Witsge nie mógł uwierzyć, że Jacob może się do tego posunąć. Ten, ten, malarzyna, to byle co... Kto mu dał prawo? W jego domu.

– Moja rodzina, Gerard, tak jak ty – wskazał palcem na stół zastawiony jedzeniem – też ma potrzeby. I nikt jej niczego nie dał za darmo. Nie będę już czekał.

Handlarz ze złością odrzucił serwetę, którą miał zatkniętą pod brodą. Jak na siedemdziesięciolatka był zważy aż nadto. Wyszedł z jadalni i wrócił do niej nie wcześniej niż po kwadransie. Podał mu weksel i wskazał miejsce, gdzie powinien pokwitować odbiór pieniędzy.

– Zrobiłeś, Witsge, dobry interes. – Nie chciał się pozbawić drobnej satysfakcji upokorzenia kupca. – Chętnie za rok odkupię od ciebie moje obrazy.

– Idź do diabła, Jordaens.

Nie rozstali się w przyjaźni. Ale czegoż mógł się spodziewać. Żaden dłużnik nie promieniuje radością na widok wierzyciela.

Tego dnia odwiedził jeszcze Brouka, van Rijnsta, Kroha i wdowę po Amstel. I od wszystkich, z wyjątkiem tej

ostatniej, wyszedł wzbogacony gotówką albo wekslem. Nie były to przyjemne odwiedziny, zwłaszcza u van Rijnsa, ale wiedział, że to jedyna szansa, aby grzywna nałożona na niego nie zrujnowała życia rodziny.

Po załatwieniu pierwszych pięciu dłużników uznał, że na dzisiaj wystarczy i przez chwilę zastanawiał się, czy nie zajść do jednej z tych nowomodnych kawiarni, w których na turecki wzór podawano napój zwany ca-ova, ale zrezygnował i pojechał do gospody Frasha. Franz podszedł do niego, jakby z wahaniem, ale objął serdecznie.

– Zjesz coś, Jacob? – zapytał, a Jordaens gotów był iść o zakład, że najadłby się dzisiaj tutaj, jak nigdy wcześniej.

Ale nie odczuwał głodu, więc poprosił tylko o wino. Był ciekaw, czy któryś z gości podejdzie do niego. Patrzył im w twarze, ale ci uciekali wzrokiem. Nikt nawet się nie uklonił. Za to Commerina przysiadła do niego bez strachu. Zaczęli się przekomarzać. Ta wciąż jeszcze młoda kobieta, którą umieścił na jednym ze swoich obrazów, piękniała z każdym rokiem. Nie była już podlotkiem, ale też żadna zmarszczka nie pobruździła jeszcze jej czoła, a duże piersi, które ledwie mieściły się w opinającym jej ciało kaftanie, skłaniały wielu mężczyzn do cichego westchnienia.

Kiedy skończyli z żartami, zapytała całkiem poważnie:

– Może mnie namalujesz, Jacob? Frash ci zapłaci.

Litość? To było właściwe słowo? Odrzucił je tak, jak odrzuca się łupiny z obranego orzecha. Czyżby to miało być jego pierwsze zlecenie? Czy to w ten sposób mieszkańcy jego miasta będą od teraz okazywać mu przywią-

zanie? Po cichu, bez rozgłosu, gdzieś w domowym zaciszu? Tak aby nikt inny o tym nie wiedział?

– Kiedy tylko zechcesz, Commerina – kiwnął głową.

– Kiedy tylko zechcesz – powtórzył.

Franz postawił przed nim dzban z winem i odszedł do innych gości. Pomyślał, że mimo wszystko jego sytuacja nie jest zła. Miał do wykończenia kilka obrazów, pracy mu nie zabraknie na dwa, trzy miesiące. Później też się coś znajdzie. A w najgorszym wypadku namaluje kilka płócien, które sprzeda po roku. Pewnie, utrata wielu zamówień odbije się na jego prestiżu. Przecież weźmie je kto inny. Ale nie da o sobie zapomnieć. Każdy, kto wejdzie do jednego z ośmiu kościołów, które noszą ślady jego ręki, będzie musiał zwrócić uwagę na jego dokonania. Tak czy inaczej. A poza tym może się zająć odnową czyichś obrazów. Kiedyś to już robił z płótnami Schuta i van den Hoeckego. To żaden wstyd, często zapraszano do takich prac największych. Co więcej, sto lat temu nikt nie dałby mu szansy. Skwierczałby na stosie i modlił się o szybką śmierć. Uśmiechnął się sam do siebie.

Bez pytania przysiadł się do niego jakiś nieznajomy w trudnym do określenia wieku. Zapytał go o coś po hiszpańsku. Pokręcił głową, dając znać, że nie za wiele rozumie z tego języka, a tamten wybuchnął śmiechem.

– To tylko żart, panie – wyciągnął w jego kierunku rękę. – Słyszałem, że macie kłopoty.

– Kto ich dziś nie ma – odparł enigmatycznie.

– Żaden z nich – wskazał na siedzących przy innych stołach. – W każdym razie nie takie, jak wy.

Commerina ulotniła się dyskretnie. Pomachała mu tylko ręką i wyszła do kuchni.

– Możecie jechać do Niemiec. – Nagle, jakby sobie coś przypomniał, stuknął się w głowę. – Zachowuję się jak gbur, panie. Marcus Reni – przedstawił się. – Nie zabraknie wam tam pracy.

– Tu też nie zabraknie – odparł i było w tej odpowiedzi trochę pychy, a trochę wiary, że Bóg nie pozwoli mu umrzeć z powodu kaprysów takich durniów, jak Rufin.

– Może tak, może nie – Niemiec rozłożył ręce. – Ale czy warto ryzykować? Życie nie jest zbyt długie.

Reni nie mówił wyraźnie, co go sprowadza do Antwerpii. Wspomniał o jakichś interesach, ale nie ujawnił żadnych szczegółów. Musiał jednak znać się na sztuce, bo długo opowiadał o weneckich dokonaniach monachijczyka Johanna Carla Lotha, którego w Italii zwano Carlotto. Co więcej, opowiadał w taki sposób, że miało się wrażenie fizycznego obcowania z dziełami, o których wspominał.

– Czasami artysta zyskuje uznanie poza własnym domem.

Przytaknął. Argumenty Reniego znane mu były od lat. Ale odpowiedział tak, jakby się z nimi nie zgadzał.

– Nie w moim wieku, panie. Mnie Antwerpia doceniła. Dała mi szczęście, długie życie, rodzinę. I ja jej coś dałem. Gdyby nie ten wyrok, moglibyście mnie przekonać. Teraz – zawiesił na chwilę głos, jakby się nad czymś zastanawiał – teraz nikt nie może mnie zmusić...

– Upór nie zawsze ma sens. Ale umrzecie wolnym człowiekiem – Niemiec roześmiał się, potarł rudą brodę i stuknął się z nim kielichem. – Jest w was, Flamandach, coś, czego nie rozumiem. To wasze przywiązanie jest jak kula u nogi. Chodzicie wokół siebie, obwążujecie, namawiacie. Jaki z tego pożytek? Zwłaszcza dla artysty.

A tak naprawdę, czymże jest to miasto? Nie widzisz, panie, jego upadku?

– Upadku? – nie rozumiał, do czego pije Reni. To prawda, że Antwerpia była kiedyś, całkiem niedawno, bardziej zamożna, ale wciąż wiele miast mogłoby jej zadośćci bogactwa. – Co mi chcecie, panie, powiedzieć?

Niemiec wzruszył ramionami. Kiwnął na Frasha i zaczął sobie podać jadło.

– Ta przekłeta podróż – złożoną pięścią stuknął w stół. – Okradli mnie. Dobrze, że rabusiów interesuje tylko złoto. Wiozę ze sobą do Norymbergi obrazy. Ledwie ich ubłagałem, żeby mi ich nie porabiali albo nie rzucili do ognia. Każdy z nich jest wart więcej niż ta karczma.

Zaciekawiła go ta opowieść, ale będąc dobrze wychowanym, nie wypytywał o szczegóły. Nie wątpił, że Reni pokaże mu swoje zakupy, i tak też się stało, kiedy tylko skończył posiłek.

Obrazy, które zobaczył, prawie wszystkie na desce, faktycznie były wiele warte. Może nie malowali ich malarze najznakomitsi, ale dało się zauważyć, że pochodzą z dobrej, włoskiej szkoły. Nie wyglądały jednorodnie, więc nie wyszły spod tej samej ręki. Za to we wszystkich było dużo światła, przestrzeni, iluzji faktur.

– Komu je, panie, wieziecie? – zapytał, bo nie wyglądało na to, żeby Reni nabył je dla siebie.

– Zaprosicie mnie do siebie – Niemiec nie zamierzał udzielać mu żadnych informacji. – Może od was też coś kupię.

– Przecież was okradziono – przypomniał mu niemiłe zdarzenie.

– Znacie niejakiego Salvaniego? – Popatrzył mu z jakimś zuchwalstwem prosto w oczy. – Mam tu u niego otwarty kredyt.

Salvani był genueńczykiem, który przed dwudziestu laty osiedlił się w Antwerpii i, wspomagany pieniędzmi Medicich, z każdym rokiem powiększał majątek zarówno pryncypałów, jak i własny. Jeśli więc Reni mówił prawdę i miał u niego otwarty kredyt, znaczyło to, że był człowiekiem ponadprzeciętnie zamożnym.

Mógł uznać ten dzień za szczęśliwy. Nie tylko odzyskał dużą część długów, ale, co więcej, pocieszył się myślą o korzyściach płynących z zawarcia niespodziewanej znajomości. Umówił Niemca na następny dzień, dopił swój dzban wina i początkowo z lekkim, a potem coraz mocniejszym szumem w głowie wdrapał się dzięki pomocy Jonasa do powozu. Wino, które wypił, rozpuściło resztki zmartwień i kiedy wszedł do domu, był tak ożywiony, jak rzadko kiedy.

Catharina źle jednak odczytała jego gesty i zobaczywszy, że jest podpity, powiedziała coś podniesionym głosem. Pchnęła go na siedzenie i w obecności Lysbeth zaczęła ściągać mu buty, a potem ubranie. Poddawał się temu z rozbawieniem, przewidując, że na koniec i tak poprowadzi go do łaźni. Tak też się stało.

– Jutro – zamruczał, siedząc już w balii – jutro... – uniół wskazujący palec do góry, ale nic więcej nie powiedział, bo zmorzył go sen i rankiem zupełnie nie wiedział, w jaki sposób znalazł się w ich małżeńskim łóżu.

Z trudem przypominał sobie, że koło południa zjawił się u niego jakiś Niemiec. Nawet nie pamiętał jego nazwiska. Pamiętał za to, że tamten ma kredyt u Salvaniego. Przez minutę albo i dłużej pił wodę z dzbanka stoją-

cego przy łóżku. Ale i to nie pomogło. Głowa nie była jego głową, a ciało odmawiało posłuszeństwa. Uznał, że musi jeszcze poleżeć. Zamknął oczy i w tym samym momencie pokój rozkołysał mu się na dobre.

Powoli odtwarzał wczorajszy dzień. Z trudem dodawał sumy, jakie otrzymał od dłużników. Jeśli sprzeda dziś któryś z obrazów, wyjdzie na to, że prawie wystarczy mu na zapłacenie grzywny. A jeśli odzyska resztę długów, okaże się, że całe to zamartwianie nie miało większego sensu.

Zwłóknął się z łóżka i dłuższą chwilę próbował złapać równowagę. Miał z tym problem, musiał się czegoś chwycić. Co to za podle wino, że tak go zmęczyło? Powinien zażądać za portret Commeriny dużych pieniędzy. Naprawdę dużych. Słyszał co prawda, że paryscy lekarze uważają, iż dla oczyszczenia żołądka dobrze jest się upić raz czy dwa w miesiącu, ale w jego wypadku, nawet pomijając wiarę, ten pogląd nie był chyba słuszny. Cierpienie, które niósł ze sobą alkohol, było stokroć gorsze od chwilowej euforii.

Kiedy usiadł przy kuchennym stole, Magdalena popatrzyła na niego z litością i bez słowa podała ścierkę zmoczoną w lodowatej wodzie. Przyłożył ją do czoła i zaraz potem poczuł ulgę. Wmusił nawet w siebie śniadanie. Jaja, które mu przysmażyła Hiszpanka, na szczęście, nie wywołały smutnej tak często reakcji jego organizmu. Za to czuł silny ból w okolicach mostka.

– El corazon? – wskazała na jego serce.

Kiwnął głową. Magdalena poszperała w spiżarni, wyciągnęła ziele żarnowca, utłukła je w moździerz i zalała wrzątkiem. Kazała mu to wypić, zanim ostygnie. Ostry, duszący zapach i smak, jakby ktoś kropie mleka

złączył z moczem, spowodowały natychmiastowy odruch wymiotny. Ledwie się powstrzymał.

– Coś ty mi dała? – zapytał, kiedy doszedł wreszcie do siebie.

– Nic, nic, tak trzeba. – Miał do niej zaufanie, ale lekarstwo naprawdę było okropne.

Wstał i z trudem powlókł się do sypialni. Zdjął nocną koszulę i nałożył to samo ubranie, co wczoraj, przedwczoraj i tydzień temu. Rzadko je zmieniał i, jak wszyscy, nie odczuwał potrzeby, aby częściej. Jedyne, czego tak naprawdę nie znosił, to insekty, które wpijały się w skórę aż do krwi. Ale z tym też trzeba było umieć żyć.

Catharina zadrżała do niego na chwilę, zapytała o samopoczucie i pogroziła palcem. Zaraz potem pocałowała w policzek i wyrwawszy się z jego objęć, pobiegła do swego ogrodu.

Reni wyglądał dziś lepiej niż wczoraj. Ktoś go musiał z samego rana ogolić i ułożyć długie, spadające na ramiona włosy. Łatwiej też było dzisiaj określić jego wiek. Nie mógł mieć więcej niż lat pięćdziesiąt, a być może przekroczył dopiero czterdzieści. Kiedy stanęli przed obrazami w pracowni, wyciągnął w kierunku Jacoba małe naczynie wypełnione tabaką, a usłyszawszy odmowę, sam zaciągnął się nią głęboko.

Kiedy obeszli pracownię raz i drugi, wskazał palcem dwa obrazy. Jordaens podyktował za nie cenę wyższą niż ta, do której przywykli antwerpscy wielbiciele jego talentu. O dziwo, Niemiec kiwnął głową i bez targowania wypisał mu weksel.

– Wiem, że mógłbym je wziąć od was taniej – oświadczył. – Ale ozdobią mój dom. Nikomu ich nie sprzedam. Będą na nie patrzeć moje wnuki.

Zaskoczył go tym oświadczeniem. Podejrzał, że Reni jest czymś plenipotentem, a nie działa we własnym imieniu. Co prawda i w Antwerpii znaleźliby się kupcy, którzy skupowali obrazy mistrzów wyłącznie dla zarobku, ale nie było ich zbyt wielu.

– Gdybyście tylko chcieli – Niemiec wrócił do swojej propozycji z wczorajszego dnia – zawsze znajdziecie u nas zajęcie.

Grzecznie podziękował. Ten gość, którego poznał tak niespodziewanie, nie tylko okazał się hojnym kupcem, ale i uprzejmym człowiekiem. Zaproponował mu herbatę, ale Reni skrzywił się z niesmakiem.

– Niech ją piją Azjaci – oznajmił. – Jeśli chcecie mnie ugościć, poczęstujcie mnie winem albo jeszcze lepiej czymś mocniejszym. Wczoraj, u Frasha – wskazał na głowę – coś musiało mi zaszkodzić.

Jordaens roześmiał się na tyle głośno, że wszyscy uczniowie skupieni dotąd na pracy odwrócili głowy w jego kierunku.

– Nasz wielki uczony Philipp Melanchton mówił o nas: *My, Niemcy, przepijamy majątek, zdrowie i samo nawet Królestwo Niebieskie. Ale może nie jest tak źle? W każdym razie będę wam wdzięczny...*

Nie skończył, ale wiadomo było, o co mu chodzi.

Jordaens, jakby zapomniawszy o wspomnianych mocniejszych trunkach, kazał podać do jadalni wyłącznie wino. Sam nie pił w obawie nawrotu porannej niemocy.

Czytał jakieś dzieła rzeczonoego Melanchtona. Ten profesor z Wittenbergi, *praeceptor Germaniae*, o ile pamiętał, próbował godzić nową naukę z nauczaniem papieskim. Bez wielkich dokonań. Fakt, że wymienił go Reni, dowodził jednak, że musiał być dobrze wykształ-

cony, znacznie lepiej od innych kupców. Ale może tak musiało być, że na ogół ci, którzy szukali kontaktu z Bogiem za pomocą wyobraźni i talentu, i ci, którzy wokół nich krążyli, mieli w swych głowach więcej niż pozostali? *Artifex doctus?*

Uśmiechnął się. Niemiec wcale nie krył, że wino, którego co chwila sam sobie dolewał do wspaniałego kielicha w kształcie łabędzia, smakuje mu bardziej niż to, za które wczoraj musiał wcale niemało płacić.

Dłuższą chwilę rozmawiali o Italii, której Jacob nigdy nie widział. Reni opowiadał o Wenecji, Mediolanie, Rzymie i Genui. Zachwycał się architekturą, rzeźbą i malarstwem.

– I ten klimat – dodał na koniec rozmarzony. – Najchętniej spędziłbym tam wszystkie zimy. Kwiaty, owoce, morze, inne od naszego. Kolebka nas wszystkich.

Pożegnali się serdecznie, jak starzy znajomi. Obrazy zapakowano do skrzyni i ostrożnie ułożono w powozie.

– Nie dajcie się, mistrzu, zastraszyć. Pan Bóg – wskazał palcem na niebo – nie dla wszystkich ma jednaką miarę. Niektórzy są mu milsi – roześmiał się, a Jacob wyczuł, że wypite wino musiało na powrót odbudować u Niemca dobre samopoczucie.

Poszedł do ogrodu popatrzeć na Catharinę. Przykucnięta peła grządki, ubijała wokół roślin, które chciała ocalić, rowki, podsypywała tam końskiego nawozu i oblamywała susz. Usiadł na kamieniu i wystawił twarz do słońca. Ile lat jeszcze? Była jak opoka. Twarda i nieustępliwa.

Ni z tego, ni z owego usłyszał pisk świń przeganianych przez kogoś po ulicy. Ruszył do ogrodzenia, aby zobaczyć, czy nie rozkopały drogi. To było wieczne

utrapienie. Chowane w mieście zwierzęta zaprowadzały tu swoje porządki, które nierzadko kończyły się połamaną osią w powozie. Tym razem jednak – poza tumanem kurzu – na szczęście nie znalazł żadnych szkód.

Poszedł do pracowni, ale zanim przygotował pędzle, zajrzał tam młody Jacob, który musiał dopiero co przyjechać. Miał w ręku jakiś pakunek, który postawił tuż przy sztaludze.

– Słyszałem o wyroku – zagaił. – Będą ci potrzebne, ojcze, pieniądze. Mam odłożoną jakąś sumę...

Jordaens pokręcił głową, dając w ten sposób do zrozumienia, że pieniądze nie są największym zmartwieciem. Pochwalił się za to sprzedażą obrazów.

– Kupiłem wam prezent – syn często starał się odwdziżyć rodzicom za lata spędzone przy Hoogstraat. – Rozpakuj.

W małej skrzynce leżała piękna menora. Postawił ją na stole i obejrzał dokładnie ze wszystkich stron. Pokiwał głową z uznaniem. Była stara i musiała pochodzić od któregoś z portugalskich Żydów osiadłych po wygnaniu z ojczyzny w Antwerpii.

– Dobry rekwizyt – młody Jacob był pewien, że sprawił ojcu przyjemność, choć nie oczekiwał w zamian niczego poza uściskiem ręki.

Tego też się od niego doczekał. Ojciec wskazał mu malowany przez siebie obraz. Nie był pewien, czy ten, który go zamawiał przed kilkoma miesiącami, po wyroku będzie miał odwagę, aby się po niego zgłosić.

– Może to błąd? Każdy ma jedno życie. Może nie powinienem był was wszystkich narażać?

Syn gwałtownie zaprzeczył, choć w głębi duszy zgadzał się z tym, co powiedział ojciec. Czuł, że od tej

chwili jego pozycja z dnia na dzień zmieni się na gorsze. Że to, co do tej pory uchodziło, i słusznie, za mistrzostwo, teraz wielu będzie chciało skrytykować, pomniejszyć, zdusić, posądzić o naśladownictwo.

– To, czego możesz być pewien – oświadczył jednak – to nasze wsparcie. Rozmawiałem z Elisabeth i Anną Cathariną. Wszyscy troje jesteśmy jednego zdania.

Jordaens nigdy nie wątpił, że jego dzieci, tak przecież kochane, w każdej sytuacji będą obok niego. Tym niemniej zrobiło mu się ciepło na sercu, kiedy usłyszał tę deklarację. Młody Jacob zobaczył nawet w jego oczach coś na kształt łez, ale ojciec szybko się odwrócił i wytarł je mankietem koszuli.

Malował już do wieczora. Mężczyzna na obrazie to nie był Bronkhorst, który zamówił płótno, brakowało w nim choćby cienia podobieństwa. Zresztą, nie dla powielania własnej sylwetki zabiegał o ten obraz. Adrian był średniozamożnym lutnikiem, który dzięki żmudnej pracy doszedł do niewielkiego majątku, a dzieło Jacoba miało stanowić część wyprawy najmłodszej z jego córek.

Jordaens, malując, nie czuł przymusu. Był szczęśliwy, że głowy nie zaśmieca mu nic poza kolorem i sprawnym pociągnięciem pędzla. Trochę tu eksperymentował, choć w jego wieku wydawało się to dość ryzykowne. Wiedział jednak, że tym razem nie goni go żaden termin. Odwrotnie, miał teraz czasu, pierwszy raz w życiu, w nadmiarze. Więc kładł farbę grubo, trochę nachalnie, jakby na pokaz. Odważnie rozjaśniał powieki i ścięte słońcem, pobrązowane policzki. Nawet pomarszczone czoło kreślił grubymi liniami. Jak van Delft postanowił dać tu jasne światło od okna z lewej strony. Ale jego postać to nie była wymuska dama, szlachcic ani zamożny mieszczanin. Od

dawna bardziej zachwycały go twarze ludzi prostych, urobionych, stwardniałych, pijanych, rozbawionych, niekryjących swoich uczuć. Twarze pocięte bliznami, oznaczone wżartym w nie brudem, takie, jakie spotykał w porcie albo na targowisku.

Skończył, kiedy niewiele już widział. Nagle zorientował się, że jest w pracowni zupełnie sam, że uczniowie musieli już wyjść, a on nawet tego nie zauważył. Zdarzało mu się to czasami, kiedy zbyt głęboko zanurzył się w pracę. Nie odbierał wtedy żadnych sygnałów, nie słyszał głosów, nie czuł łaknienia. Ale to były najlepsze chwile, coraz rzadsze niestety.

Wytarł ręce pobrudzone farbami, usiadł w fotelu i patrzył na to, czego udało mu się dokonać w ciągu dnia. Im dłużej się wpatrywał, tym cięższe miał powieki. I chwilę potem zasnął snem niezbyt głębokim. Przyśnił mu się rudobrody Rufin, który z wyciągniętym w jego stronę palcem wykrzykiwał jakieś słowa. Nie mógł go zrozumieć ani odpowiedzieć, bo usta miał jakby zasznurowane albo spięte agrafą. Z trudem wysuwał z nich koniuszek języka. Rufin dał jakiś znak i zaraz potem pojawił się ogień, morze ognia, i jacyś dziwni ludzie z twarzami, których nie mógł rozpoznać. Mieli w ręku sznury, zapewne po to, aby go nimi skrępować i... Nagle zrozumiał, że ten ogień nie jest przypadkiem. Jęknął, ale poczuł przygniatający go ciężar, ktoś go chwycił za gardło, zakrzuszył się, nie mógł złapać oddechu. Wleczono go po ziemi. Poczuł strach. Nie bał się śmierci, ale cierpienia. Tego, że przypalany za-prze się swoich słów...

Obudził się zlany potem, z drgającymi dłońmi i peni-sem w stanie wzwo-du. Długo musiał łapać powietrze, zanim się uspokoił. Skąd ten sen? Ogarnął go nielogicz-

ny strach o dzieci. Nic, nic, uspokajał sam siebie. Elizabeth, najstarsza, zostanie przy nich, Jacob, ze swoim talentem, da sobie radę, a najmłodsza, Anna Catharina, po tragicznej śmierci hulaki Fransa Mortensena, wciąż żyła z nimi, ale miał już dla niej na oku innego kandydata na męża. Był pewien, że Johan Wierts zapewni jej dostatek i szczęście.

Swoją drogą wypadek Mortensena był tak absurdalny, tak głupi, że do dziś miał trudności ze zrozumieniem. Piżamy usnął gdzieś pod wozem wyładowanym zbożem, a kiedy go spod niego wyciągnięto, wszystko miał w środku pogruchotane i starczyło mu tyle czasu, aby wyznać grzechy i uzyskać rozgrzeszenie. Kiedy o tym myślał, odrzucając wszystkie złe skojarzenia, rozumiał, że dobry Bóg czuwa jednak nad jego rodziną.

Poszedł do kuchni. Mimo nocy Magdalena wciąż się po niej krzątała.

– Zasnąłem – tym oświadczeniem pewnie tylko potwierdził jej domysły.

Kiwnęła głową. Postawiła przed nim talerz z *guanti*, dziwną potrawą neapolitańską podawaną ponoć jako weselny przysmak. Ciasto francuskie ze słodkim farszem z miodem i cukrem błyskawicznie sprawiło, że przestał być głodny.

– Z jakiej to okazji? – zapytał, wskazując potrawę.

Magdalena, nauczona przyrządzania tego przysmaku w młodości przez którąś ze swoich ciotek, robiła go zazwyczaj na jakąś uroczystość. Tym razem jednak pokręciła głową i zamruczała coś pod nosem. Nie dał za wygraną.

– No, gadaj wreszcie.

Popatrzyła na niego przeciągle.

– Skazano was – wydukała.

– I dlatego zrobiłaś *guanti*?

– Żebyście się nie martwili. U nas mawiano, że pełny brzuch odgania zmartwienia.

Pomyślał, że i w Antwerpii jest jakaś podobna maksyma. Ten, kto ją wymyślił, musiał być mądrym, doświadczonym człowiekiem. Swoją drogą, Hiszpanka, żarliwa katoliczka, mieszkając z nimi tyle lat pod jednym dachem, nigdy nie skomentowała ich wyborów. A była bardziej członkiem rodziny niż służącą. Czemu więc ci, którzy ich nie poznali, chcieli zniszczyć ich życie? Czemu, zamiast stosować się do boskich nakazów, szukali tu, na ziemi, swoich racji.

– Czy wiesz, dlaczego mnie skazano?

Znów popatrzyła na niego tak jakoś dziwnie. W jej wzroku dostrzegł troskę, jakby się bała, że to, co się stało, zburzy porządek budowany tu od pokoleń.

– Nie chcą się z wami pogodzić. Trzeba wyciągać rękę do zgody.

Była w niej jakaś mądrość prostej, niewykształconej osoby, mądrość w której świat jest postrzegany nie poprzez królów, biskupów, biednych, bogatych, pięknych i tych ze skazą na urodzie, ale raczej przez uczynki. Ten, kto nie krzywdził, a o nim mogła to powiedzieć z całą pewnością, żył bliżej Boga.

Zapytał o Catharinę. Zwykle czekała na niego, ale dzisiaj, zmęczona pracą w ogrodzie, położyła się i dawno już spała.

Przeczytał łaciński napis na łyżce, którą jadł *guanti*: Dał Ci Bóg Dar Używaj Miary – Pamiętaj, Żeś Człowiek, Jaki Twój Wiek. Przez chwilę zastanawiał się, o czym myślał ten, który go wyrył. Czy tylko o umiarze

w jedzeniu? A może przestrzegał przed grzechem jako takim? Kupił tę łyżkę od włoskiego żeglarza i pamiętał, że i wówczas się nad tym zastanawiał. Zapytał go nawet o to, ale tamten wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że bardziej interesują go wiatry, a kiedy jest już na łodzi, to nie łyżki, ale raczej kobiety i okowita zajmują mu umysł.

– Pójdę już – oświadczył. – W grobie wszyscy są zgodni – dodał jeszcze, bo wydało mu się, że Magdalenka czeka, aby jakoś skomentował jej wypowiedź.

Położył się obok żony. Chrapała na tyle głośno, że musiał nią lekko potrząsnąć. Na chwilę otworzyła oczy, uśmiechnęła się i przytuliła do niego. Nie mógł spać. Zawsze tak było, kiedy zdrzemnął się w dzień. Starzy ludzie zresztą nie potrzebują tyle snu, co dzieci albo młodzi.

Przypomniał sobie, jak pisał swój list. Nie było w nim złości, raczej troska. Po pobycie w Huis Ten Bosch, po tym, jak zobaczył niderlandzkie miasta, po tym, jak zobaczył porządek, bogactwo wypracowane ciężkim wysiłkiem, opanowanie, wiarę nie tę ułomną, powierzchowną, zewnętrzną, ale głęboką, opartą na Piśmie, zrozumiał, że danie świadectwa jest powinnością. Że jeśli tego nie robi, Pan Bóg rozliczy go z grzechu zaniechania.

Catharina znów zaczęła chrapać. Tym razem jednak nawet jej nie dotknął. Wiedział, że i tak sen nie przyjdzie zbyt szybko. Przymknął oczy i zaczął w myślach pracować nad obrazem, który zostawił w pracowni. Są ludzie, którzy kończą pracę wraz z odłożeniem narzędzia, i tacy, którzy żyją nią na okrągło. Należał do tej drugiej grupy. Co więcej, nawet kiedy oglądał cudze płótna, pracował. Nikt tego nie widział, ale to on ciągnął pędzlem po tym obrazie, układał rękę, dobierał

barwy, ich odcień, nasycenie, odbijał światło, szukał centrum i dalszych planów. Często widział błędy, wiedział, że coś trzeba było zrobić inaczej. Nawet u Paula Petera potrafił je odnaleźć, zasugerować zmiany. Ich przyjaźń owocowała wzajemnym kunsztem, pokorą i zrozumieniem. Ale tylko tacy mistrzowie jak Rubens, pomyślał, potrafili wysłuchać uwag bez pobłażliwego uśmiechu, bez złośliwej kontry, bez zbędnej uwagi, że czegoś tam nie dostrzegł, nie zauważył albo przeoczył. Sam często nie miał tej cierpliwości, unosił się, zżymał, napinał, ale potem, kiedy dotarły do niego słowa prawdy, potrafił przemałować cały obraz, zmierzyć się z nim na nowo.

Napił się wody. Choć było bardzo późno, gdzieś zza okna doleciał czyjś krzyk. Długi, rozpaczliwy, pełen lęku. Pomyślał, że ten, kto o tej porze porusza się po mieście, powinien się liczyć z przykrymi niespodziankami. Nawet duży hiszpański garnizon nie był w stanie zapewnić wszystkim bezpieczeństwa.

– Wstawaj, Jacob, wstawaj.

Najwyraźniej zasnął i musiał być już dzień. Ale dlaczego Catharina go szarpie i zmusza do wygrzebania się z pościeli? Była zapłakana?

– Co się stało? – zapytał pełen złych myśli.

Pokręciła głową, jakby chciała mu dać do zrozumienia, że są rzeczy, których nie sposób opisać słowami.

Podniósł się, zarzucił kaftan i popychany przez nią wyszedł na zewnątrz. Pociągnęła go dalej, do ogrodu. To, co zobaczył, wydało mu się złym snem. Ogarnęła go gorączka. Wszystko wokół zostało połamane, zryte, podziurawione jakimś szpikulcem.

– To nie koniec – wyciągnęła rękę w kierunku stajni.

Trzeba było dużej siły, żeby wylamać wielki zawias, na którym zawieszono wrota. Nie mógł zrobić tego jeden człowiek, nawet najsilniejszy.

– Gdzie jest Jonas? – miał dziwne przeczucie, że stajennemu, który zwykle spał obok koni, mogło się stać coś znacznie gorszego.

– Ktoś go poranił. Całą głowę ma we krwi.

– Coś widział? Kto to zrobił? – Sam wyczuł bezradność w swoim głosie. – Dlaczego?

– Nie domyślasz się, naprawdę?

Nie miała pretensji, ale na moment udzielił mu się jej strach. Poczul, że nie może opanować drżenia rąk. Musiał je na czymś oprzeć. Więc nie wystarczy tego wyroku? Czego jeszcze musi doświadczyć? Przyciągnął Catharinę i objął ramieniem. Miał poczucie, że coś mu ucieka, że stateczne dotąd życie wymyka się jego rozumowi. Że przewidywalność i rozsądek, które tak cenił, nabrały innego wymiaru, poszarzały, zlały się w jakiś zły odcień, który powinien natychmiast rozmazać.

Bez miesiąca czterdzieści trzy lata. Kawał życia. Gdyby się tego spodziewał... Co prawda, kiedy człowiek ma siedemdziesiąt lat, powinien być szczęśliwy, że dożył tak sędziwego wieku. Nigdy nie miał żadnej innej kobiety, nawet się za innymi nie oglądał, a teraz...

Nie sypiali już razem. Mówiła, że nie znosi jego nocnego czuwania, chodzenia po sypialni, popijania wody. Musiał wstawać, bo pęcherz nie wytrzymał. Więc przeniósł się do sypialni van Noorta. I tęsknił za nią. Nawet jej o tym powiedział. Spojrzała na niego tak jakoś dziwnie.

– Co też ci jeszcze w głowie, Jacob? – spytała.

Co mu mogło być w głowie? Stary człowiek jak każdy inny ma potrzebę akceptacji. Chciałby się przytulić, czasami potrzymać za rękę albo odezwać się i usłyszeć, że ktoś cię dostrzega i nie jesteś sam.

Widział, jak wysychała, kurczyła się, stawała mniejszą.

Wczoraj przed wieczorem poprosiła do siebie Annę Catharinę. Namawiały się jak dwie młode dziewczynki. Zresztą od dawna ich najmłodsza stała się pierwszą powiernicą Cathariny. Nawet go to trochę złościło, ale rozumiał, że kobiety mają swoje tajemnice.

Spał jeszcze, kiedy poczuł szarpnięcie. Gwałtowne, mocne, takie, po którym budzisz się natychmiast, z przeczuciem, że stało się coś niedobrego. Lysbeth miała twarz pełną łez. To zresztą złe określenie. Bardziej właściwe byłoby takie, że łzy wypełniły całą jej twarz. Zdawało się, że wypływają nie tylko z oczu, ale i z policzków, z czoła, z podbródka, uszu. Złapała go za rękę.

– Co, co? – zapytał nieprzytomny.

– Pani – jęczała – pani...

Zrozumiał w jednej chwili, że musiało się coś stać, że Catharina potrzebuje jego pomocy, więc tylko w koszu, na bosaka rzucił się do jej sypialni. Przedarł się przez zgromadzoną wokół niej służbę i domowników.

Miała dziwnie, nienaturalnie wykręcone usta, tak jakby ktoś włożył tam cienką drewnianą szczapę dla podtrzymania dziąseł właśnie w takiej pozycji. I przeszklone oczy. Dostrzegł w nich lęk albo jakieś pytanie, na które nie znajdowała odpowiedzi.

Przystawił usta do jej policzka i wtedy, dotknąwszy skóry, w której nie było już ciepła, zrozumiał, że nigdy więcej się do niego nie odezwie, w niczym mu nie pora-

dzi, że odtąd wszystkie decyzje dotyczące De Halle van Lier będzie zmuszony podejmować sam.

Kazał odstąpić okiennice. Chciał ją zobaczyć w świetle budzącego się dnia. Anna Catharina siedziała nieruchomo z twarzą, którą osłaniała rękoma. Usiadł obok niej i objął ramieniem. Zapytał o Jonasa. Przez chwilę patrzyła na niego, jakby nie rozumiała, o kogo pyta, a potem powiedziała, że kazała mu jechać po brata i siostrę.

– Dobrze – powiedział i poczuł jakiś skurcz w gardle. Nie mógł złapać powietrza, oczy wyszły mu na wierzch, aż ktoś się zorientował, że dzieje się z nim coś złego i uderzył go w plecy na tyle silnie, że gwałtownie mu się odbiło, ale jednocześnie i oddech mu się wyrównał.

– Chcesz umrzeć razem z matką? – Anna Catharina była już opanowana i, dokładnie w tej chwili, Jordaens zrozumiał, że ta trzydziestoletnia kobieta, lustrzane odbicie jego żony sprzed wielu lat, objęła władzę w ich domu. Że od tej pory to z jej głosem trzeba się będzie tu liczyć.

Pokręcił głową.

– Zabrał ją dobry Bóg – powiedział nie wiedząc czemu. – Kto ją pierwszy znalazł? – zapytał, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

– Magdalena przyszła ją obudzić. Jak każdego dnia – córka przemawiała do niego łagodnie, jak do dziecka. Wiedziała, że trudno spotkać inne, tak zgodne, przywiązane do siebie małżeństwo i że śmierć matki niszczy świat, do którego przywykł, a co gorsza, nie zna innego.

– Trzeba posłać po pastora – powiedział i ukląkł przy łożu, aby choć przez chwilę znaleźć ukojenie w modlitwie.

Szukał w myślach właściwej modlitwy i nie mógł znaleźć niczego innego poza pacierzem. A i ten powtarzał, myśląc słowa.

Poczuł, że ktoś dotknął jego pleców.

– Przyjechałem natychmiast – syn pomógł mu wstać z kolan. – Co się stało, ojcze?

Wzruszył ramionami. Jak można wytłumaczyć śmierć? Jak można wytłumaczyć ją komuś, kto wciąż żyje? Czuł, że zagadka odchodzenia jest największą tajemnicą życia. Ten pozorny paradoks przez chwilę opanował jego myśli.

Nie odzywał się, pozwolił, aby inni tłumaczyli młodemu Jacobowi, że można umrzeć, ot tak, po prostu. Że każdy musi się z tym liczyć i tego oczekiwać. Zobaczył, jak synem wstrząsają drgawki, jak z trudem hamuje się przed wybuchem, jak siostra głaszcze go po twarzy i przemawia doń łagodnie.

Popatrzył na Catharinę. Nie była taka jak zawsze. Człowiek, który idzie na spotkanie z Bogiem, zabiera z ciała coś, co pozwalało nam go kochać, w jednej chwili staje się inną osobą, nawet fizycznie odległą od tej, którą znaliśmy do tej pory. Chciało mu się wymiotować. Może to te świece, ich dławiący zapach? Musiał wyjść z sypialni na zewnątrz, zaczerpnąć powietrza.

Oparł się na Lysbeth i wyszedł razem z nią. Pomogła mu dojść do pokoju, ubrać się, a potem wyprowadziła na dziedziniec. Usiadł na kamieniu, na którym tak lubiła siadać od młodości Catharina. Kwietniowe słońce nie było zbyt mocne i szybko poczuł, jak ogarnia go chłód.

– Nie oddawaj im pola. Wszyscy są mniej warci od ciebie. – Przypomniał sobie jej słowa tuż sprzed ślubu.

Naprawdę tak uważała? A może tylko miłość ją zaślepiała? Całe życie była z niego dumna i obnosiła się z tą dumą bardziej niż wypadało, niż na to zasługiwał. Miała świetne ciało. Jak może teraz o tym myśleć? Całowała

go delikatnie, a on tak lubił jej zapach. Czasami myślał, że gdyby jej zabrakło, musiałby znaleźć inną kobietę, która choć trochę będzie w stanie ją zastąpić. Ale był przekonany, że to on pierwszy odejdzie. Troszczył się raczej o nią, jak to przeżyje. Boże, tyle lat obok siebie. Wiedział, co znaczy każdy jej gest, każdy grymas. Nie musiała nic mówić. Czasami łapał się na tym, że w gniewie oskarżał ją o coś, a zaraz potem gotów był na klęczkach prosić o wybaczenie. Powiedzieć, że go wspierała, cóż to znaczy? To jak zamachnąć się dłonią na powietrze. Ileż go uchwycisz? Nic.

Ktoś usiadł obok niego. Popatrzył na siwiutkiego starca w habicie.

– Co tu robisz, Fryne? – zapytał.

Prłat milczał dłuższą chwilę, jakby zbierał siły, żeby odpowiedzieć na to proste, zdawałoby się, pytanie.

– Wiesz, czemu zostałem księdzem?

– Miałeś zapewne powołanie – nic innego, żaden frazes nie przyszedł mu do głowy.

Fryne pochodził z zamożnej rodziny, więc zapewne to nie bogactwo Kościoła go skusiło.

– Znałem ją dłużej niż ty.

Jacob nagle zorientował się, że Fryne przyznał się do skrywanej od niemal półwiecza tajemnicy.

– I nigdy jej tego nie powiedziałaś? Naprawdę?

Tym razem ksiądz nie zwlekał z odpowiedzią. Uznał widocznie, że rozmowa dwu starych ludzi musi mieć jednak jakąś dynamikę, zwłaszcza po takim wyznaniu.

– Nie musiałem mówić, zawsze to wiedziała. Była z tobą szczęśliwa. Zresztą, van Noort... Catharina była małą dziewczynką, kiedy Peter Paul ożenił się z Izabelą. Widział w tobie równy mu talent. A ona miała nadzieję,

ba, pewność, że nikt ci nie dorówna. Żaden malarz, zresztą konkurencja wymarła. Przez całe życie opowiadała o tobie z taką dumą...

– Konkurencja? – W obliczu śmierci? – W sztuce nie ma zwycięzców. Są tylko przegrani. Nawet ci najwięksi. Nikt nie wygrywa – powtórzył.

Od dawna czuł, że tego wyścigu o uznanie, pochlebstwa, hołdy nie da się nijak usprawiedliwić ani wygrać. Że każde wyniesienie chwilę później powoduje bolesne rozczarowanie i upadek.

– Przyszedłeś się za nią modlić?

– Każdy potrzebuje modlitwy. Wiesz, że po twoim liście będziecie mieć kłopoty, żeby ją tu pochować? Mimo mojej przychylności.

Nie tylko Fryne był mu przychylny. Przecież ten wyrok po zapłaceniu grzywny wszyscy zignorowali. Nawet księża. Malował ołtarze i nikomu nie przeszkadzało, że nie będzie się przy nich modlił. Nawet biskup rozmawiał z nim po przyjacielsku, widział w nim raczej zbląkaną owieczkę niż wroga. Więc dlaczego teraz mają mieć kłopoty? Ale Fryne nie pozostawił mu złudzeń.

– To nie za życia jesteśmy groźni. Z tym można sobie poradzić – prłat czuł się w obowiązku wyjaśnić swoje obawy. – Dopiero śmierć zmusza tych, którzy zostają, do refleksji. A jeśli są wątpliwości... – zawiesił na chwilę głos. – Ilu z tych, do których mówimy, rozróżnia sens słów, do ilu dociera nasza troska.

– O czym ty, Fryne, mówisz? O Kościele? O zepsuciu? Grzechu? Nie mam siły na zagadki. Nie dziś. Muszę do niej wracać.

Poszli do domu, ale nie wpuszczono go do sypialni. Zamówione przez Magdalenę kobiety myły już zwłoki.

– To trochę potrwa – Anna Catharina wzięła go za ramię i poprowadziła do kuchni. – Musisz coś zjeść – oznajmiła. – I ty, Fryne, też.

Kazała im podać chleba, miodu i jakiegoś mięsa, które widocznie zostało z wczorajszego dnia. Nalała im też różanego syropu. Ale Jacob, w przeciwieństwie do oswojonego ze śmiercią prałata, nie był w stanie przełknąć nawet kęsa.

Usłyszał tupot w korytarzu. Przyjechała ich pierworodna, Elisabeth. Nie zajrzała do kuchni. Mimo oporu siostry wdarła się do sypialni. Chciała zobaczyć matkę taką, jaką знаła. Ale widocznie zobaczyła kogoś innego, bo usłyszeli krzyk, a potem rozdzierający szloch.

– W dzieciach zostajemy, w niczym więcej – oznajmił, choć czuł, że to nie do końca prawda.

Wszedł Jonas, żeby mu powiedzieć, że dotarł też pastor Breever. Wiedział, że Fryne boczy się na niego od czasu, kiedy przed trzema laty stanęli w ich domu do słownych zapasów. Pastor był wygadany i świetnie przygotowany do dyskusji. Na każdy argument prałata miał trzy własne. I nawet lubiąc Fryne, mocno trzeba by nagiąć prawdę, aby orzec, że to on był zwycięzcą tej potyczki.

Wyszli go przywitać, bo choć duchowni nie przepadali za sobą, nie czuli w sobie nienawiści, a szacunek, jakim się wzajemnie darzyli, był większy od niechęci spowodowanej innym widzeniem wiary. Breever, dużo wyższy od Jordaensa, objął go ramieniem i mocno do siebie przytulił.

– Możesz być o nią spokojny – oznajmił, jakby Bóg przelał na niego prawo ustalania ludzkich powinności. – Była dla nas wszystkich wzorem.

Tylko tyle? Chciałby wykrzyczeć, że nie musiała być wzorem, że mogła się wadzić z całym światem, grze-

zyć, byleby dalej mógł zanurzyć ręce w jej puszystych włosach, poczuć zapach jej ciała, usłyszeć mądre słowa, zdać się na jej decyzje.

Weszli do sypialni. Catharina, umyta już, ubrana w czarną suknię wyglądała inaczej niż uprzednio. Przymknięto jej usta i opuszczono powieki, w ręce włożono świecę. Zgromadzone kobiety klęczały wokół i głośno powtarzały modlitwę. Obaj duchowni także przykucnęli i modlili się za duszę zmarłej.

On sam nie mógł zbyt długo klęczeć. Od dawna miał problemy z kolanami. Ból był tak przeraźliwy, że nawet martwa Catharina nie mogła go zmusić do pozostania w tej pozycji. Wstał, przeżegnał się i poszedł przez nikogo niezatrzymywany do pracowni. Usiadł w swoim fotelu, odruchowo wziął węgiel i zaczął rysować. Nie myślał nad tym, co robi. Co więcej, chwilę potem odłożył karton, a z oczu – wbrew jego woli – pociekły mu łzy. Nie mógł się opanować, szlochał, cicho jęczał, przeklinał jak nigdy dotąd i wygrażał, nie wiadomo komu. Wycierał twarz rękawem, aż zorientował się, że jest on całkiem mokry i nie wchłania już łez.

– Tu jesteś? – młody Jacob podobnie jak ojciec miał twarz opuchniętą od płaczu. – Wszyscy cię szukają.

Wziął ze stołu karton, na którym Jordaens zaczął szkic.

– To matka? – zapytał. – Tak chcesz ją pamiętać?

Twarz na rysunku była twarzą młodej kobiety, całkiem inną od tej, którą zobaczył dziś w sypialni.

– Tak wyglądała. Była piękna. Wszyscy mężczyźni się za nią oglądali.

Podkreślał urodę Cathariny nie po to, aby usprawiedliwić ten szkic. Młody Jacob znał przecież jego uczu-

cia. Tyle że nie mógł pamiętać matki takiej, jaką ojciec zatrzymał w swoich wspomnieniach.

– Często sadzałem ją w tym fotelu. Nie była zbyt dobrym modelem. Ciągłe ją coś pędziło, nie mogła długo zatrzymać się w jednym miejscu.

– Fryne pójdzie dziś do biskupa. – Syn wiedział, że nie może pozwolić ojcu na zatopienie się w bólu. Że musi go zająć, zmusić do jakiegokolwiek działania. – I mówi, że nie pozwolą jej tu pochować.

Jordaens pokiwał głową. Dawno pogodził się z myślą, że on i Catharina nie spoczną obok rodziców, że będą musieli przejechać przez granicę, ale tyle razy się modlił, żeby to on pierwszy tam się znalazł.

– Boskie wybory – powiedział tajemniczo. – Będą kiedyś tego żałować. Dzieci będą się wstydzić ojców.

Młody Jacob czasami miał wrażenie, że ojciec mówi od rzeczy, że nie do końca się rozumieją, że ich myśli rozmiągają się, a kiedy się skrzyżują, obaj patrzą na siebie zdziwieni, jakby zaskoczeni, że tym razem...

– Pojedzie do Putte. To niezbyt daleko. Trzeba zamówić u Ljubersa trumnę. Jak najprostszą. Tak chciała.

Syn kiwnął głową. Było oczywiste, że to on musi tego dopilnować.

– A gdyby jednak się zgodzili?

Młody Jacob wcale nie ze skąpstwa wolałby, aby matkę pochowano w Antwerpii. To w dalszym ciągu było ich miasto, ich zaułki, ich wspomnienia, całe ich życie wreszcie.

– Na co mi ich autorytet? Ważni są ludzie i Biblia, mój synu. Każdy nasz uczynek, to wszystko cośmy zgromadzili, to wszystko – głos mu się na chwilę załamał – winno być boskim hymnem. Praca, ciężka praca... Matka...

Potał ręką po twarzy. Ktoś go powinien ogolić. Zawsze czuł jej dłoń na swoim policzku. A teraz? Lysbeth? Albo Anna Catharina. Co ma im powiedzieć? Że jej nie zastąpią? To przecież oczywiste, także dla nich. Albo że to był rytuał, czas dany na rozmowę? Ilu jeszcze spraw nie załatwi z nikim?

Gdyby ktokolwiek mógł przewidzieć nadejście chwili... Z drugiej strony, jakie to szczęście. Budzimy się, żyjemy...

– Nie wolno oddać ani minuty.

Co też ojciec chce mu powiedzieć? Do czego przekonać? Widział, że jak ślepiec obmacuje sprzęty wokół siebie. Tracił wzrok, jak większość ludzi na starość. Pomyślał, że nawet dla pisarza, dla uczonego nie było to tak groźne, jak dla malarza. Pisarz może dyktować, a malarz? Co z nim będzie? Młody Jacob zdusił w sobie chęć przytulenia ojca, okazania mu uczuć właśnie teraz, w tej chwili, w tym momencie. Sam oczekiwał, że ktoś... Dlaczego jej zabrakło? Wszyscy będą sobie zadawać to pytanie? A może wcale nie powinni rozpaczyc? Może zaczęła już lepsze życie? I co tam jest? Piekło, jak u Boscha? Nie myślimy o tym aż do odejścia najbliższych, uciekamy, staramy się zapomnieć. Tak naprawdę sam nie był już taki młody. Jego dzieci, żona... Ci, którzy zostają sami... Współczuciem nikt nie wypełni pustki. Oswajamy się, uczymy żyć bez kochanej osoby. Ile razy uczuła go, prosiła... Wierzyła, zawsze wpatrzona w ojca...

Jordaens chciał zostać sam, ale nie wypadało mu o to prosić. Czuł, że troska, jaką otaczają go dzieci, wynika z obaw, że pozbawiony Cathariny pograży się tak dalece w bólu, że nikt, nawet one, nie będą w sta-

nie go z niego podnieść. Rozumiał, że powinien rozwiązać te obawy.

– Matka cenila twój rozum, Jacob – szepnęła, a syn, nie dosłyszawszy, przysunął się do niego na wyciągnięcie ręki. – Mówiła, że jesteś inny od van Noorta i mnie. Że przypominasz jej mego ojca.

Młody Jacob nie wiedział, jak potraktować to oświadczenie. Dla artysty to żadna pochwała, dla człowieka z całą pewnością był to komplement.

– Ale mnie się wydaje – lekka chrypka nadawała powagi słowom starego mistrza – że to nieprawda. Nie obraż się – popatrzył mu prosto w twarz – ale gdybyś miał więcej rozumu... Dlaczego chciałeś malować?

Czemu go o to pyta właśnie dziś? Nie dosyć nieszczęścia? Bólu? Chce jeszcze, nawet teraz, zaznaczyć swoje przewagi?

– Pewnie z tego samego powodu, dla którego ty przyszedłeś do dziadka.

Jordaens uśmiechnął się nieznacznie.

– To matki kierują naszym życiem, nie ojcowie. To ich marzenia spełniamy. Gdyby nie twoja babka, byłbym kupcem, wiesz o tym? Wierzyła w mój talent. Chciała, żebym malował. Dała mi szczęście. A ty?

– Ja?

– Nie czujesz się zagubiony?

Dlaczego miałby się czuć zagubiony? Miał swoją pracę, zarabiał. Oczywiście, nie dorównywał sławą ojcu, ale nie potrzebował tego do szczęścia. Znajdował je w rodzinie, w Clarze, z którą był zaręczony, w krajobrazach, które umiał dostrzec. Ciężko pracował, może nie tak jak ojciec, zresztą prawie nikt nie pracował jak on, ale niewiele miał sobie do zarzucenia.

– Uśmiechasz się? Więc jednak...

– Całe życie, ojciec, byłem w twoim cieniu. Można się z tym pogodzić albo walczyć. Ale pan Bóg każe czcić ojca swego. Nie ma we mnie zazdrości.

Młody Jacob czuł, że odpowiada na niezadane pytanie. Że ta spowiedź w gruncie rzeczy niewiele obchodzi ojca. Że odejście matki wciąż nie dotarło do niego.

– Pójdę już – powiedział i podniósł się z siedzenia, które zajmował. – Jeśli chcesz, przyślę tu kogoś.

Starzec, młody Jacob nagle to zauważył, pokręcił głową.

– Sam do was przyjdę – oznajmił stanowczo, tak jak w jego dzieciństwie, wygrzebał to porównanie gdzieś z pamięci, oznajmiał, że kolor na obrazie ma być tylko taki, żaden inny.

Kiedy został sam, znów wziął do ręki karton i węgiel. Inaczej niż zwykle szkicował ostrożnie, bez pośpiechu. Bał się, że coś mu umknie, że czegoś zaniedba.

– Nawet nie wiesz, Jacob, nawet nie wiesz... – przypomniał sobie chwilę narodzin Elisabeth i zapłakaną Catharinę. Chciała mu opowiedzieć o bólu, ale i o szczęściu, jakie dało jej dziecko. Nie była już młodką, miała wówczas dwadzieścia osiem lat.

Tulił ją wtedy do siebie, osłabioną połogiem, z wargami, które pobielaly jej od wysiłku, z pokrwawionym podbrzuszem, spoconym czołem. Jakże je obie kochał, choć dla mężczyzny, inaczej niż dla kobiety, kruszyna, którą dostaje do rąk, jest raczej strachem, obawą, a szczęście znajduje w pierwszym słowie, w możliwości zrozumienia, w jakimś grymasie, który głupiec bierze za uśmiech.

Lekarze ją ostrzegali, że rodzenie kolejnych dzieci może ją zabić. Czegoś tam się dopatrzyli, ale zbywała

ich drwiącym śmiechem, ufala Bogu, a każde kolejne przyjmowała z tą samą radością. I prawie natychmiast zrywała się do pracy. Może to ta aktywność, niemożność usiedzenia w jednym miejscu mu ją teraz zabrała?

Tyle osób już stracił. Rodzice, rodzeństwo, teściowie, niezliczoną ilość przyjaciół. Płacz nie pomoże. Długie życie też czasami może być przekleństwem. Ale trzeba ufać. Odłożył na chwilę węgiel i dmuchnął w prawą dłoń, aby ukruszone czarne drobinę odskoczyły od skóry.

Pomyślał, że wszyscy zgromadzeni wokół Cathariny uznają, że stwardniał na skałę, że uleciała gdzieś jego czułość. Bo przecież mąż winien być przy zmarłej. Ale on wiedział, że nie wymagałaby tego od niego. Ze raczej uznałaby, iż praca jest najlepszym lekarstwem na cierpienie. Sama zresztą po śmierci van Noorta nie otaczała się żałobą zbyt długo. Była przekonana, że jest jakiś tajemny zapis życia i nasz wpływ na ten zapis jest co najmniej wątpliwy. Poddawała mu się z pokorą, ale i z silnym postanowieniem, że dany nam czas trzeba umieć wykorzystać.

Wstał z fotela i zaczął chodzić wzdłuż wiszących na ścianach obrazów. Podeszedł też do drewnianej kratownicy, gdzie między poprzeczkami stały płótna niedokończone lub takie, które z jakichś powodów uznano za niezbyt dobre. Wyciągał jedno po drugim, rzucał na nie okiem i odstawiał na swoje miejsce. Wreszcie znalazł to, którego szukał. Stało tu od lat, trochę przykurzone, trochę już poczerniałe. Obraz dowodził jego dawnych fascynacji cieniem. Do dziś zresztą skłonny był zgodzić się z głosem wielkiego Leonarda, że cień jest ważniejszy od światła. Gdzieś po głowie chodziło mu uzasadnienie tego poglądu Włocha, ale nie mógł go sobie przypomnieć. Tak, to wtedy malował te wszystkie przyciemnione Madonny, kusze-

nia, ofiary. Był jeszcze wiernym synem Kościoła. Ale ten niewielki obrazek nagiej kobiety zdumiewał każdego, kto miał możliwość rzucić nań okiem chociaż przez chwilę. Niewątpliwie widoczna tam dama miała twarz Cathariny. W dziwacznej pozie, pół siedząc, pół leżąc, odsłaniała więcej, niż powinien był pokazać. Łono obrośnięte kępką czarnych, pokręconych włosów, wygładzona talia i piersi lekko unoszone przez wspomagające je dłonie. Lubieżny uśmiech, jakby chciała do siebie przywołać niewidocznego kochanka, i piękna lilia wpleciona w zwinięty warkocz. Nie znosiła tego obrazu, ale kiedy go chciał zamalować, gwałtownie zaprotestowała.

– Schowaj, ale nie niszcz. Nie po to Pan Bóg dał ci talent.

Próbował tłumaczyć, że nie wszystko, co maluje, musi pozostać, choć akurat tego obrazu nie musiał się wstydzić. Zwłaszcza niektórych jego fragmentów. Na przykład oczy, ich by się nie powstydzil i dzisiaj. Widać w nich było odbicia jakichś sprzętów. Sprytny zabieg, którym zastępowano malowanie wnętrza.

Kto go pierwszy odkrył wśród odstawionych płócien? Chyba Waldou, Tricius, a może Brent? W każdym razie każdy z nich, oglądając go, nie mógł wyjść z podziwu. Każdy zresztą chciał nad nim dalej pracować, udoskonalić, a może zostawić swój ślad. Coś dodać, nie w sylwetce oczywiście, ale w dalszych planach. Kiedy powiedziała jej o tym, zaczerwieniła się jak młoda dziewczyna, która pierwszy raz dostrzeże nagiego mężczyzny.

– Przecież – z trudem wydobywała z siebie słowa – przecież oni tam widzą...

Śmiał się z niej długo i serdecznie. Wcale nie zmuszał jej do pozowania. To chyba nawet ona podsunęła

ten pomysł. Ale malował ją, kiedy nikogo nie było, kiedy dom był już wyciszony, pogrążony we śnie. Czasami zresztą odrywał się wówczas od pracy, aby przez chwilę zanurzyć się w jej pysznym cieple. Przyjmowała te awanse jak należne jej hołdy. Obejmowała go ramieniem i przytulała do piersi. Ale potem odpychała gwałtownie i odganiała do pracy.

Dotknął palcami płótna. Farba była idealnie rozarta, po tylu latach nie wyczuwało się żadnych zgrubień. Wpuścił w ten obraz światło wstającego dnia poprzez szczelinę niedomkniętego okna, lekkie rozwarcie okiennic i świece rozstawione za modelem. Taki na poły nokturn, na poły *lume universale*. Nigdy więcej nie namalował jej nagiej, choć w dziwnej, kobiecej próżności prosiła go o to wiele razy. Ale zawsze, pomny pierwszego doświadczenia, stanowczo odmawiał. Kiedyś nawet oskarżyła go z tego powodu o utratę, tak przez nią pożądaną, czułości, z czego musiał zdać w nocy świadectwo i, jak w każdej trudnej sytuacji, to w rezultacie ona musiała wziąć na siebie wszystkie zabiegi, starania, aby on, mężczyzna, nie pozostał samotny ze swoim wstydem.

Powinien zawiesić ten obraz. Byłby świadectwem nie przemijania, ale życia właśnie. Świadectwem dorodnym, pełnym wdzięku, rozkoszy, miłosnych zabiegów. Zamiast tego odstawił go w to samo miejsce, z którego wydobyl.

– Byłaś piękną kobietą, Catharino – powiedział głośno sam do siebie, ale wcale nie poczuł się z tym głupio. Wielokrotnie zresztą zdarzało mu się w przeszłości rozmawiać z żoną bez jej obecności.

– Zawsze... – usłyszał jej głos dochodzący gdzieś z boku, obejrzał się, ale nikogo tam oczywiście nie zauważył – ...byłam, jestem z Ciebie dumna, Jacob.

– A śmierć? – zapytał, czując, że kręci mu się w głowie.

– Śmierć? A cóż ona znaczy? – Łatwo dało się wy-czuć w jej słowach drwinę, ale nie było tam z całą pewnością niepokoju ani strachu.

Miał pewność, że chce mu dodać otuchy, powiedzieć, że nic się nie kończy. Że się odnajdą i że w każdej chwili, oboje są tam, gdzie być powinni.

– Przyzwyczajamy się, że wszystko jest na zawsze. Ale to nieprawda. Trzeba być gotowym – dodała.

Zabrzmiało to jak przestroga, ale nie zdążył o nic więcej zapytać, bo usłyszał skrzypnięcie drzwi, ujrzał jakąś głowę, a za nic w świecie nie chciał, aby ktoś obcy usłyszał tę ich rozmowę. Zresztą i tak cień, który zdawało mu się dostrzega, rozplynął się, roztańczył, w jednej chwili zniknął i nikt, nawet on, nie mógł zaświadczyć, że w ogóle tu był.

– Ojciec – Elisabeth rozejrzała się po pracowni w poszukiwaniu Jordaensa.

– Tu, tu – odezwał się niezbyt głośno, ale tak, że musiała usłyszeć.

Podeszła do niego i dłuższą chwilę, zanim objęła, wpatrywała się w jego twarz. Chciała znaleźć cierpienie? Miał go aż nadto. Ale zamiast tego zaczęła mu opowiadać, jak będąc małą dziewczynką, bała się ciemności, a matka chcąc przemoć ten strach, oswoić go, uczynić znośniejszym, nakrywała ją swoją obszerną suknią.

– Krzyczałam ze strachu, a ona za każdym razem ponawiała tę próbę. Potem brała mnie na ręce i przytulała. Trwało to wiele miesięcy, a kiedy wreszcie nie krzyknęłam, posadziła na ławie i popłakała się ze szczęścia.

Jacob przypomniał sobie, jak o tym samym rozmawiał z Cathariną. Ile lat temu? Trzydzieści? Więcej. Opowiadała o tym całkiem inaczej. Była przekonana, że maleńka wówczas Elisabeth boi się nie ciemności, ale bajdurzeń służby, ich opowieści o smokach, zamorskich stworach, a najbardziej dziwnych, czarnych ludzi, na których sami spoglądali z obawą.

– Nasze wspomnienia... – zgubił gdzieś myśl i nie bardzo wiedział, co chciał powiedzieć.

Miała piękne oczy, prawie jak matka. Były podobne, nawet bardzo, choć córka nieco wyższa i bardziej masywna od Cathariny. Musiała dziedziczyć pewne fizyczne cechy po jego matce, Barbarze. Zresztą Wolschatenowie wszyscy byli potężni...

– Nasze wspomnienia – nagle przypomniał sobie, co chciał powiedzieć – niewiele mają wspólnego z rzeczywistością. Jedyne, co oddaje prawdę, to nasze dokonania. – Ręką zatoczył krąg dookoła siebie. – Gdyby tu nie wisiały – miał oczywiście na myśli obrazy – nigdy bym nie uwierzył, że są moje. Że mogłem tak myśleć.

Elisabeth bolały opuchnięte nogi, a śmierć matki tak bardzo wyprowadziła ją z równowagi, że słowa ojca docierały do niej w jakiejś dziwnej, zniekształconej, nieprawdziwej formie. Rozumiała, co prawda, że ojciec chciał się żegnać z matką samotnie, że przeżywał jej odejście może najbardziej ze wszystkich, z drugiej jednak strony był im potrzebny. Im, dorosłym dzieciom, był potrzebny, w chwili kiedy jej zabrakło, jako przewodnik. Ten, którego głos będzie się liczył najbardziej, a tymczasem uciekł od nich, zaszył się wśród obrazów i gadał nie o niej, ale o swoich wspomnieniach. Czyż to nie idiotyczne?

– Przyszły kobiety ze zboru. Dom pełen jest ludzi. Powinieneś do nich wyjść, przywitać się.

Kiwnął głową. Tak, tak, rozumiał to. Bardzo dobrze rozumiał. Ale zanim tam pójdzie, powinien coś jeszcze powiedzieć. Z trudem przetykał nadmiar gromadzącej się na języku śliny.

– Adam – czasami, po śmierci, mówił tak o van Noorcie – był pewien, że starsza żona jest błogosławieństwem. Że ludzie razem się starzeją. Że śmierć nie odziera ich od siebie na zbyt długo.

Już kiedy wypowiadał te słowa, poczuł, że jest w tym jakiś fałsz. Lubił życie. Co więcej, na starość wydawało mu się, że ma ono coraz więcej uroków. Nie musiał przecieć już nic robić. Mógł się rozkoszować jedzeniem, dobrym winem, rozmową, księgami, których tyle zgromadził w De Halle van Lier. Wszyscy zabiegali o jego dobre słowo. Mógł nim wywyższać, ale i strącać w otchłanie. Pewnie zresztą ktoś będzie go chciał jeszcze wyswatać. Uśmiechnął się na samą myśl o tym. Był całkiem dobrą partią. Z tym ogromnym majątkiem stanęłaby przed nim kolejka pięknych kobiet. I to nie tylko wdów.

Elisabeth wzięła go pod ramię i lekkim szarpnięciem pociągnęła za sobą.

Dom faktycznie pełen był ludzi. Musiał się z nimi witać i przyjmować słowa otuchy. Cały ten ceremoniał wydał mu się zbyteczny. Pocieszenie, łzy, każdy starał się powiedzieć mu coś, co w jego odczuciu miało wzmocnić w nim wiarę, chęć życia, której przecież przed chwilą tak mocno doświadczył, ale on jakby ogłuchł. Mechanicznie kiwał głową, odwzajemniał uściski rąk i modlił się w duchu, aby już sobie poszli, żeby został tylko z dziećmi, z tymi, którzy otaczali go na co dzień.

Nagle zorientował się, że jest już późno. Dzień szarzeje w kwietniu znacznie później niż zimą, ale widział, że na dworze trudno już odróżnić jedną sylwetkę od drugiej. Pocił się. Czuł, że krople potu spływają mu po plecach.

Anna Catharina musiała zauważyć, że ojciec nie czuje się najlepiej. Delikatnie wyciągnęła go spośród stłoczonych wokół ludzi.

– Powinieneś się położyć. – Było to stwierdzenie tak autorytatywne, że nikt nie ośmieliłby się z nim dyskutować.

– Dobrze – powiedział i bez pożegnania z kimkolwiek posłusznie powłókł się za nią do własnej sypialni.

Usiadła przy jego łóżku, a zaraz potem do pokoju wsunęła się druga córka i zięć, Johan Wierts. Lubił go. Wierts był utalentowanym handlowcem, który wyprawił swój niewielki statek do Niemiec i do Anglii, a sprowadzane stamtąd towary rozprawdzał nie tylko w Antwerpii, ale i w innych miastach podległych hiszpańskiej koronie. Czasami, jak armatorzy z Niderlandów, wynajmował też swoją łajbę do przewozu cudzych zakupów. Anna Catharina miała z nim wygodne i dostatnie życie, w którym nie pojawiały się załamania ani rysy znamionujące kryzys.

Zanim zaczęli cokolwiek mówić, przyglądali się ojcu, jakby to on żegnał się z tym światem, a nie matka.

– Na naszym ślubie – Jacob uznał, że dalsze milczenie nie ma sensu – goście nie pomieścili się w katedrze. Catharinę prowadził van Noort. Był jeszcze młody. To on mógł znaleźć się na moim miejscu.

– Nie mógł, ojczy – Elisabeth lubiła precyzję w każdym zdaniu. – Ojcowie nie mogą być na miejscu mężów.

Nie rozumiał tego, co chciała mu powiedzieć.

– Wesele trwało sześć dni.

Przypomniał sobie ten dzień. Połowa maja, drzewa ukwiecone na biało, słońce jak w środku lata... Pocałował ją, a ona odwzajemniła mu ten pocałunek po wielokroć. Wcale nie był pewien jej uczuć. Wiedział, że ciężką pracą może je zdobyć, ale wtedy naprawdę nie był ich pewien.

Spostrzegł, że Wierts wziął rękę Elisabeth i wsunął ją między swoje wielkie dłonie.

– Rosła wraz ze mną – nie wyjaśnił im, co ma na myśli, ale żadne z dzieci nie pytało, więc pewnie zrozumie-li. – Miała ambicje...

Poczuł, że drętwieją mu najpierw stopy, a potem całe nogi. Poprosił, aby mu je rozmasowały. Nie było w tym nic krępującego. Od czasu do czasu usługiwały w ten sposób ojcu. Łydki zarówno lewej, jak i prawej nogi miał pocętkowane nabrzmiałymi żyłami. Zapewne od tysięcy godzin spędzonych przy sztalugach w jednej pozycji. Ale masaż nic nie pomógł, zdawało mu się, że skóra zaraz mu pęknie. Ból stał się nieznośny, zmrużył od niego oczy i ktoś postronny mógłby uważać, że zasnął. Ale on spod tych przymkniętych powiek widział haczykowany nos Johana z maleńką kropelką potu na samym jego końcu. Zaznaczyłby ją najmniejszym, najmniejszym pędzelkiem.

– Chciała mieć dużo dzieci – szepnął. – Przynajmniej szóstkę. Pan Bóg nie dał...

– Miała dobre życie, czego ty szukasz? Jakiejś winy? Czyjej?

Ta Elisabeth... Pyskata, jak to pierworodna. Na zbyt wiele jej pozwalali. Zawładnęła nimi. Szkoda, że nie

znalazła męża. Nie doszukiwał się winy. Bo i gdzie? Dbał i o zmarłą, i o resztę rodziny. Zarabiał tak wielkie pieniądze... Żaden malarz od czasów Rubensa nie zarobił tak dużo. Bogactwo... Była wielką panią. Ale kiedy obcy wynosili się z domu, w tej samej sekundzie brała się do pracy. Kiedy tylko była zdrowa.

Do pokoju zajrzała splakana Magdalena i kiwnęła ręką. Wyszły do niej obie.

– Jak twoje interesy – zapytał zięcia i nie przyszło mu do głowy, że pytanie go o to w takich okolicznościach może być niestosowne.

Wierts kiwnął głową i uśmiechnął się samymi kniuszkami warg.

– Miałem dla niej prezent.

Opowiedział mu o srebrnych naczyniach przywiezionych wczorajszego dnia z angielskiego Plymouth.

– Wspaniała robota. I – pochwalił się, kręcąc dookoła dłonią – udało się ominąć cła.

Obaj traktowali taki wyczyn w kategorii sukcesu i w żaden sposób nie byli w stanie go potępić. Zwłaszcza jeśli pomnażał rodzinne finanse.

– Nie zobaczy ich już. Ale byłaby szczęśliwa – podziękował mu klepieniem dłoni.

Catharina miała w sobie cudowną pazerność na przedmioty. Bała się cokolwiek wyrzucić, chroniła nawet to, co pozornie wydawało się zbędne. Ale kiedy którykolwiek z domowników szukał czegoś, mógł być pewien, że po chwili zastanowienia wskaże mu miejsce, w którym odnajdzie zgubę.

Zza drzwi dobiegały głosy. Ci, którzy tak tłumnie przyszli oddać hołd zmarłej, zmykali do swoich domów. I zapewne to tych ostatnich żegnały obie córki.

Johan, będąc przekonany, że Jacob zasnął, przykrył, a w zasadzie opatulił go kocem i też wyszedł. Ale sen nie przychodził. Bolała go głowa. Zawsze, kiedy nie mógł się z czymś pogodzić, brał się do modlitwy. Ale nie teraz. Powinien wstać, pójść do niej, każdy by tak postąpił. Więc jęknął i próbował się podnieść, ale jakaś żelazna sztaba oplotła mu tułów i nie pozwoliła się ruszyć. Gdyby umarł razem z nią... Tak być powinno. Ludzie kruszą się, obsypują, stają się martwi, zanim Bóg ich zawoła. Wmawiają sobie, tyle osób to dziś powtarzało, potrzebę dalszej pracy, życia dla innych, a tak naprawdę, z czym zostajemy? Kiedy rano zobaczył zwłoki, poczuł, że wyrwano mu wnętrzności, usunięto serce, śledzionę, nerki...

Wysilił się i jednak usiadł, a potem stanął na nogi. Zachwiał się od zawrotów głowy.

Miał czternaście lat, kiedy ją zobaczył. Była dorosłą kobietą. Słyszał coś o zawiedzionej miłości. Któryś z uczniów van Noorta, czy to przypadkiem nie był ten smagły Luydens, opowiadał plotkę o jakimś bogaczu z Sint Niklaas, któremu ponoć przyrzekła rękę, ale w ostatniej chwili, ten fakt pozostał okryty tajemnicą, o którą nie śmiał nigdy zapytać, zerwała ten związek i długo nie oglądała się za żadnym mężczyzną.

Śmiała się z jego zalotów, choć jak każda kobieta była chyba szczęśliwa, widząc, że tak zdolny dzieciak zwraca na nią uwagę. Jak marionetka, za każdym razem, gdy ją zobaczył, kłaniał się nisko. To musiało być naprawdę zabawne. Ale przecież nie wiedział, jak się to robi, jak zdobywa kobietę. Dziś rozumiał, że mężczyzna powinien czekać, dać kobiecie szansę, pokazać jej swoją siłę, odpowiedzialność, uczciwość, zaradność i czekać...

Opierając się o ściany, wyszedł na korytarz. Dom był rozświetlony świecami. Porozstawiano je na różnych sprzętach, tak aby tej nocy nikt nie miał problemu z poruszaniem się po zwykle o tej porze całkiem już wyciemnionych komnatach. Chwilę postał, aby złapać oddech, a potem przeszedł do sypialni. Zdziwił się, że przy zmarłej nie ma nikogo, że nikt przy niej nie czuwa. Starannie zamknął za sobą drzwi. Leżała samotnie, a jej twarz, w drgających światełkach, przez chwilę wydała mu się znów twarzą żywej Cathariny.

– Śpisz? – zapytał całkiem poważnie, bo nie miał pewności, czy to, co tak go dziś wyprowadziło z równowagi, nie było przypadkiem jakimś majakiem, niedorzeczną uludą.

Dłuższy czas czekał na odpowiedź, a nie doczekawszy się, zrozumiał, że już mu nie odpowie. Więc przystawił do łóżka krzesło i usiadł na nim. Dotknął jej lewej dłoni. Była całkiem zimna. Poglaskał ją szybkim ruchem, jakby chciał rozgrzać i przywrócić życiu, ale, co zrozumiałe, nic to nie dało.

Śmierć zawsze nas zaskakuje. To banalne stwierdzenie przyszło mu do głowy, kiedy przebudził się pochyłony do przodu tak bardzo, że mało nie uderzył głową o krawędź łóżka. Jak mógł zasnąć? Spojrzał na świecę i zrozumiał, że drzemał raptem kilka minut, nie dłużej. Ale poczuł się wzmocniony, silniejszy. Podniósł się i poprawił kołnierzyk sukni zmarłej, który zwinął się w rurkę, jakby skręcony czyimś podmuchem.

– Tyle lat, Catharina, a teraz? Co teraz?

Szum na korytarzu uświadomił mu, że ktoś musiał spostrzec, że wymknął się z sypialni i podniósł w domu alarm. Bali się o niego. Pewnie. Zapewnił im sławę i do-

statek. Cóż bez niego znaczyli? Ale zaraz zdał sobie sprawę, że i on bez rodziny niewiele znaczy.

Żadne z nich nie miało doświadczenia. Dwudziestosiedmioletnia dziewczyna. Nie chciałby tego więcej przeżyć. Całe łóżko we krwi, a on bezradny, szukający pomocy, płaczący słowa przeprosin. Musiała na niego wrzasnąć, aby przyniósł jej wody. Rozlewał po posadzce, cały się pomoczył... Kazała mu się odwrócić. A przecież był już jej mężem. Wstyd, którego nigdy się nie pozbyła. Ale on też przecież...

Znów to pytanie, jak może o tym myśleć. Zamiast się modlić, co i rusz nachodziły go obrazy tych chwil radości, lubieżnej rozkoszy, jakiegoś dzikiego triumfu. Czasami w świetle świec potrafił uchwycić ten wyraz twarzy, ale nigdy zapamiętać na tyle dokładnie, aby go przenieść na płótno. Uświadomił sobie teraz, że zabrakło mu odwagi, aby zerwać się, zrobić szkic, rozrobić farby, zmieszać je na palecie i znaleźć, umieścić tam kobietą namiętność, jakieś ponadludzkie emocje, naprężenie, rozbuchane pragnienia.

Rzucił się na kolana i zaczął głośno modlić. Bo grzeszył bardziej niż kiedykolwiek i strach go opanował, że Bóg się nad nim nie ulituje.

Nic z tego, nic z tego, nic z tego, tłukło mu się po głowie, aż poczuł pieczenie w gardle i zrozumiał, że musiał charcząć jak jakieś zranione zwierzę. Oprzytomniał. Podniósł się z kolan, na chwilę położył dłoń na czole zmarłej, jakby tym gestem chciał ją przeprosić i pożegnać. Uspokojony wyszedł z sypialni.

Nagle, będąc już na korytarzu, uświadomił sobie, że dziś od samego rana nic nie przełknął, i poczuł ssanie w żołądku. Poszedł do kuchni. Nikogo w niej nie za-

stał. Zdziwił się. Gdzie oni wszyscy zniknęli, skryli się? Czyżby było tak późno? Ze spiżarni wyciągnął jakiś kawał kielbasy, dobrał do niej chleba i ułożywszy wszystko na ogromnej desce, która służyła do wyrabiania ciasta, zaczął się posilać, wybierając miękkie mięszki i dokrawając plasterki wędliny. Ile mógł tak siedzieć i jeść? Pewnie długo, ale też wciąż czuł się nienasycony. Ktoś zajrzał, ale Jacob, pochłonięty jedzeniem, nie odwrócił się, nie spojrział. Chwilę później przysiadła do niego młodsza z córek.

– Modliłeś się przy niej. Nie chcieliśmy ci przeszkadzać – oznajmiła szeptem.

Więc jednak wiedzieli, gdzie jest. Musiał nie zauważyć, nie usłyszeć, kiedy weszli do sypialni. Ale dlaczego szepcze? Śmierć wymusza rodzaj powagi, który wycisza, wytłumia? A może Anna Catharina sądzi, że wciąż jest obecny nie tu, a tam, z matką?

– Kiedy jesteś młody, odchodzenie jest czymś nierealnym. Później oswojasz się z tą myślą. Ale nie godzisz się. Ten świat, który jest tam, po drugiej stronie...

Trudno mu było skończyć myśl, nie tylko dlatego, że nagle zabrakło mu słów, ale i dlatego, że zakrztusił się jakąś drobiną kości, która musiała pozostać w kielbasie, i zaczął odkasływać, próbował sięgnąć po nią palcami, wyciągnąć, trochę się dusił, a kiedy kilkakrotnie uderzony przez córkę dłonią w plecy doszedł wreszcie do siebie, nie pamiętał już, o czym mówił.

– Muszę się wziąć do pracy, nie wolno tego tak zostawiać. Bez pracy wszystko, co nas otacza, traci sens, stajemy się...

Wydało jej się, że ta gorączka, gwałtowny potok słów, które wypowiadał ojciec, wynikał z jakiejś choroby. Trud-

nej do zdefiniowania, nieodgadnionej nawet dla najlepszego medyka. Że szuka swego miejsca i odnajduje je w świecie, który nie jest dostępny komukolwiek. Jakby znajdował tam proste rozwiązania problemów życia.

– Musisz zasnąć, inaczej jutro całkiem zmarniejesz. – Nie chciała z nim dyskutować. Chciała pewnego porządku, systemu, który niewiele będzie się różnił od rygorów narzuconych przez matkę.

Wstał posłusznie i podreptał za nią do sypialni. Zawinął się w pościel razem z głową i tak pozostawał aż do chwili jej wyjścia. Potem odsłonił twarz i odchyliwszy głowę do tyłu, zaczął przyglądać się bezchmurnemu niebu. Któraś ze służących w panującym rozgardiaszu nie zamknęła okiennic. Mógł być astronomem, pomyślał. Liczyć gwiazdy i nawet, jak ten niemiecki uczonec, Copernicus, zatrzymać słońce. Ale jakie to ma znaczenie w porządku świata? Czemu służy? Tylko to przecież, czego możemy dotknąć, zobaczyć, poczuć, ma sens. A Bóg? Natychmiast skarcił sam siebie. Ludzie go oswoili, nazwali, uczynili raz groźnym, kiedy indziej wyrozumiałym, wojowniczym, wybaczącym, łagodnym, odbierającym nadzieję. Nie, nie, nie, wszystko zaczęło mu się mieszać. Przecież te gwiazdy też mają swój rytm. Jak obrazy. Nie ma piękna bez porządku.

Przez chwilę jeszcze trudził się z powiekami, które opadały, ale nie dał rady ich zatrzymać. A potem spostrzegł umarłą. Tak, tak, umarłą. Catharina leżała w trumnie i nie mógł jej z niej wydobyć, jakby ktoś jej dłonie przysnurował albo dobił gwoździami do deski. Męczył się, krzyczał, starał się ją oderwać, nie wiadomo po co, bo przecież wiedział, że nie ma już do niej prawa, że wszystko się skończyło, że co najwyżej Bóg może się jesz-

cze na niego obrazić i odebrać mu swoją łaskę. Łaskę? Jak we śnie można odgadnąć, że Bóg obdarzył cię swoją łaską? Ale tak czuł, dokładnie tak.

Rano nie mógł się ruszyć, był chory. Nie chciał wstać ani odpowiedzieć na żadne pytanie. Odwrócił się do ściany i tak trwał. Czuł drżenie pod skórą, jakby zimna, ale, sam to rozumiał, było zbyt ciepło, żeby to temperatura decydowała o jego samopoczuciu. I nie podniósł się aż do wieczora, kiedy to wreszcie nieznośny, rozsadzający ból w pęcherzu zmusił go do wstania. Ale oddawszy mocz, znów wrócił do łóżka.

– Rano musimy jechać do Putte. Nie zgodzili się.

Wiadomość, której mógł się spodziewać, przyniósł mu Wierts. Więc najchętniej jak psa wściekłego potraktowałoby jego i jego rodzinę to miasto ukochane. Antwerpia. Niech będzie przeklęta na wieki. Jak jej teraz nienawidził, jej zakłamania i buty, moralnego porządku, w którym brakowało miejsca dla takich jak on. Nie zapomnieli, nie wybaczyli, przykryli jakimś plastrem i udawali, że nic się nie stało. Pracuj, durniu, na naszą chwałę, zdobądź nawet bogactwo, zaszczyty, ale w każdej sekundzie, w każdej minucie spodziewaj się rozliczenia. Nic nie będzie ci zapomniane ani odpuszczone.

Sklerotyczny biskup i Rada. Od dawna czuł ich pieczę. Czasami ulatywało mu gdzieś zlecenie, czasami usłyszał jakieś zdanie niepoehlebne, komuś się wymknął grymas na jego widok. Trzeba było posłuchać Cathariny, trzeba było uciekać, zacząć od nowa. Tylko się nie bać, tylko się nie bać, powtórzył w myślach. I odtrącić nienawiść, która gubi i myśl rozsądną zakłóca.

Więc ruszyli z samego rana w trzy zakryte powozy i jeden przykryty do połowy, w którym wieziono trum-

nę najprostszą, taką, jaką chciała zmarła, nie z oszczędności, ale z pokory. Te kilkadziesiąt kilometrów, jakie mieli do Putte, po złych drogach, w błocie i kurzu wcale nie było przyjemne. W którymś momencie pojazd Anny Cathariny i Johana, zjechawszy z traktu nie więcej niż pół metra, po osie zapadł się w rozmokłej, błotnistej ziemi i mimo wysiłku woźnicy, szarpania koni, a nawet pomocy chłopca, który mieszkał obok w koślawej chałupinie z zapadniętym do połowy dachem, za nic w świecie nie chciał ruszyć. Dopiero po przyprzęganiu koni od innych powozów i wsparcie niemal wszystkich żalobników pozwoliło wydobyć go z bagnistej pułapki.

Mężczyźni klęli, na czym świat stoi. Bo i po prawdzie szykowne ubrania założone na pogrzeb, popstrzone drobinami błota wyrzucanymi spod kół, wyglądały teraz, jakby ktoś w dziwny, nielogiczny sposób stworzył z nich gromadę ubogich przebierańców. Woda, którą próbowano zmyć czarne plamy, zamiast poprawić, pogorszyła jeszcze sprawę.

– Zostawcie – Anna Catharina krzyczała na nich z twarzą pełną łez. Nawet ją, przecież opanowaną zwykle, ta sytuacja wyprowadziła z równowagi. – Trzeba odczekać, niech wyschnie – przekonywała. – A jak wyschnie, to się wykruszy.

Jacob, który jako jedyny nie wysiadł z powozu, przyglądał się wydarzeniu bezradnie. Był zbyt słaby, żeby pomagać, a co więcej – krzyk i harmider powstałe wokół pochowego zaprzęgu rozstroiły go jeszcze bardziej, zburzyły tę odrobinę spokoju, którą budował od śmierci żony.

Ucieszył się, kiedy młodsza z córek wróciła do powozu i wreszcie ruszyli w dalszą drogę.

– Ten wóz, błoto, twarze nim oblepione, woźnica z batem i dobre światło – wychylił palec na zewnątrz i wskazał słońce – powinienem tę scenę zatrzymać.

Popatrzyła na niego jakoś tak dziwnie, bez zrozumienia. Znów odniosła wrażenie, że ojciec jest jakąś bezduszną maszyną, pozbawioną uczuć, nastawioną wyłącznie na siebie i swoją pracę. Ale cóż mogła zrobić? Jak zmienić? I po co? Od dziecka zdawała sobie sprawę z jego inności. On rzeczywiście miał inne oczy, układał w nich, szeregował, czasami dodawał coś, czego nikt nie dostrzegał, a potem, jakby z powietrza, potrafił wyczarować scenę tak piękną, że wszyscy zdumiewali się jego wyobraźnią.

Jordaens zdał sobie nagle sprawę, że nie powinien był wypowiadać tych słów. Że bez takiej intencji rani uczucia Anny Cathariny. Wszystkie dzieci czuły do niego przywiązanie, ale o ileż bardziej związane były ze zmarłą. To w niej lokowały uczucia i emocje, jemu przypisując szacunek i podziw. To mało? Zastanowił się przez chwilę. Iluż mężczyzn może się tym pochwalić? Nie był pijakiem jak Hals, rozpustnikiem jak Rembrandt, nie wdawał się w biatyki jak Brouwer, nie uciekał z domu do innych kobiet, wyróżniał się upartą pracowitością. Dzień po dniu, godzina po godzinie. Dobrze, dobrze... Tak, dał im dużo, nie musi się wstydzić. Ale, choć w okrężny sposób, zapytał o to:

– Kiedyś chciałaś malować, pamiętasz?

Zanim odpowiedziała, odgoniła upartą, wielką muchę o zielonkawych skrzydełkach, która dostawszy się do powozu, z nieznośnym jazgotem kołowała wokół ich twarzy.

– Dzieciące marzenia.

– Będąc w Hadze widziałem *Ontbijtjes* Clary Peeters.

Te stoły zastawione najcenniejszymi sprzętami nie robiły na nim wielkiego wrażenia, ale potrafił docenić sztukę malarki, precyzję, odwzorowanie najdrobniejszych szczegółów. W gruncie rzeczy wiedział, że Anna Catharina mogła malować równie dobrze, a może nawet lepiej. Kto wie?

– Kobieta – córka, widział to, chciała być precyzyjna w każdym słowie – musi odrzucić marzenia. Pan Bóg dał jej inną rolę. Musi stale trwać obok...

Nie powiedziała obok męża, mężczyzny, wybranka. To się rozumiało samo przez się. Do bólu chciała teraz być podobna do matki.

Kiwnął głową, choć wcale nie musiała mieć racji. Patrzył, jak nerwowo zagryza wargi. Nauczyła się tego w dzieciństwie i do dziś nie mogła odzwyczaić. Była piękną kobietą. Gdyby nie to, że to jego córka, mógłby się w niej zakochać. No, ale w tym nie widział niczego dziwnego, była taka podobna...

Tuż przed granicą zatrzymał ich konny oddział Hiszpanów, ale usłyszawszy, a później zobaczywszy trumnę, że jadą z pogrzebem, puścił ich bez problemu, nawet z pewnym lękiem, a być może i odrazą. Śmierć jest najlepszą przepustką. Jordaens patrzył na tych żołnierzy z kamienną twarzą. Byli jak kukielki poruszane pociągnięciami sznurka. Lubił dyscyplinę, ale wojsko budziło w nim grozę. Za nic w świecie, za żadne pieniądze nie dałby się wtłoczyć w ten dryl, służbistość, wyszczekiwane rozkazy.

Dojechali do maleńkiego Putte gdzieś koło piątej po południu. Słońce grzejące cały dzień było jeszcze widoczne, ale dreszcze, które nachodziły Jacoba przez poprzednie dni, znów dały o sobie znać. Zatrzymali się

w rynku u Adriana de Neew, który przyjął ich serdecznie, choć nie wylewnie. Nie było zresztą takiej potrzeby. Zbór, msza, cicha modlitwa, cmentarz – to wszystko, czego potrzebowali. Więc przespali tę noc w oddanych do ich dyspozycji komnatach, a rano, tak jak to ustalono, pożegnali Catharinę.

Zamiast kwietniowego słońca, które jeszcze wczorajszego dnia zmuszało ich do osłaniania twarzy, tym razem strugi deszczu przypomniały, że to Pan Bóg płacze. Nad śmiercią? Nad wygnaniem? Nad ludzką głupotą? A może tylko...

Słyszał, że mówią o nim wariat. Pewnie, cóż w tym zresztą dziwnego. Wszystkich przeżył. Nawet nie zna tych sług, których zatrudniła Elisabeth. Szepcą po kątach. A któż oni są? Noszono go w fotelu? Noszono, taką miał fantazję. Po co miał chodzić? Narobił się w życiu, wystarczy. Stać go na to. Niech gadają. Najważniejsze, że głowa wciąż pracuje. Całe miasto wymarłe, każdego dnia zwalają trupy do grobów, nie nadążają z grzebaniem zmarłych, a on wciąż żyje. Czyż to nie cud? A może Pan Bóg w ogóle go nie chce do siebie zabrać, może o nim zapomniał? To by dopiero było. Trzysta, pięćset lat, a on wciąż i wciąż łąja innych.

Jakiś gałgan sięga mu do rozporoka. Czego chce? Prawda, natężył się i poczuł, jak wypływa kilka kropel. Czego klniesz, łotrze. Zamachnął się, aby go zdzielić, ale tamten sprytnie uniknął ciosu. Nie dać się. To przecież on jest tu najważniejszy, on to wszystko stworzył. I tak pięknie nazwał.

Osiemdziesiąt pięć lat. Czy to możliwe? Nikt tak długo nie żyje. Jeść. Koniecznie teraz, w tej chwili, później

znów odejdzie mu smak. Kazał zastawiać stół. Ale czy naprawdę to powiedział? Zabierz ręce, nie dotykaj mnie... Kto to jest, Catharina, a może Lysbeth, ta pokraczna wiedźma? Roztyła się na starość i wciąż paradowała przed nim z tym krocem wielkim jak dzbanek. Kusila go? Nie, pewnie sądziła, że jest tak stary, że nawet tego nie dostrzeże. Ale on dobrze widział. Te wszystkie jej świństwa, kupczenie ciałem, rozumiał, że Pan Bóg jej tego nie odpuści, ale widocznie diabeł ją opętał, myśl zakręcił, szlamem zaburzył.

Powinien iść do pracowni, popatrzeć, jak malują. Joris, ile on ma lat? Wciąż młodziak, ta jego ręka, całkiem dobra. Mógł go wyćwiczyć. Tak, tak, nie pozwoli mu odejść, nie po to tyle lat go układał. Jak zwierzę w cyrku. Szwedzki wilk. Buntownik, bękart. Albo ten Polak. Słyszał, że teraz malarz królewski. Jak mu tam? Tricius? Wąsaty, jak oni wszyscy. Tyle ich nauczył. Po co? Ani florena. Co z tym jedzeniem, ogłuchli?

– Jeść – szepnął i ktoś usłyszał, bo zaraz potem poczuł w ustach jakąś breję, ciecz bez smaku.

Przecież nie będzie jadł tego gówna. Sami się nim nażryjcie. Więc udał, że mu się ulewa, ale tak naprawdę plunął ze wszystkich sił, obryzgał tego, który sięgał do jego gardła. Uparli się, żeby umarł. Majątek, tylko o tym myślą, tylko on im w głowie. Ale się nie da, niedoczekanie. Każę pokazać sobie dom, niech go noszą, przecież za to im płaci. Dobrze pochował pieniądze, nikt ich nie znajdzie.

Kogo ty oszukujesz, durniu? *Typhus pestialis*, kończysz się. Wszyscy od ciebie uciekli, jedna Elisabeth wierna do końca. Ale i ona chora. Umrze razem z nim. A młody Jacob? Czy to możliwe, że umarł prawie rów-

nocześnie z matką? Anna Catharina? Gdzie oni się podziali? Dlaczego ich tu nie ma? Wyjechali z miasta? Kto mógł, wyjeżdżał. Dżuma. Nie tak groźna jak kiedyś, ale wciąż pustosząca to miasto. Trzeba było fekalia wywozić, pewnie, łajdaki. Nie słuchali poleceń, zamiast ładować na wozy, każdy wolał zapłacić i nie fajdać sobie pojazdu. Nie ma na nich kary. Chłopstwo. Poczul, jak pogarda wypełnia całe jego ciało, od palców u stóp aż po ostatni włos na głowie. Gdyby nie oni. A ci w ratuszu, dużo lepsi? Nie, nie, nikomu nie można ufać. Co to? Strzelają gdzieś? Ten hałas. A brzuch. Czyżby to on? Poczul rozlewające się wokół nóg ciepło. Zesrał się? Całkiem przyjemnie. Nie dotykaj, nie, nie, zostaw, diable przeklęty.

Dlaczego go obracają? A jeśli wrzucą do dołu za życia? Przysypią ziemią, nie będzie mógł złapać oddechu, zakrztusi się, piach wypełni usta... Kogo to będzie obchodzić? Swoje zrobiłeś, a teraz... Co mu chodzi po głowie? Śmierć?

- Twoja, panie, wola – usłyszał całkiem wyraźnie.
- Jaka wola, o czym ty mówisz? – wychrypiał.
- Na nic ta walka, twoje zmaganie. Trzeba było się ukorzyć, a nie buntować.
- Pan Bóg...
- Daleś się nabrać.
- Nabrać? Na co?
- Chcesz prawdy? Całej prawdy?
- Nie ma prawdy. Kto w to uwierzy?
- Cha, cha, cha.

Ten śmiech brzmiał mu w uszach i powracał do znudzenia przez długi czas. Kto to był? Z kim ta rozmowa? Przecież diabły nie mają dostępu do ludzi, na

ziemi. Ale przecież podsylał mu nieraz kobiety. Ich nagie ciała ocierały się o niego, a ten nędzny kutasik co i rusz podrywał się do góry, sztywniał i ujadł jak pies obarczony wścieklizną. Nigdy wcześniej tak nie miał. Więc może to umieranie nie jest tak całkiem nieprzyjemne?

Myją go? Po co?

– Cuchnie – jakieś kobiety bez skrępowania sięgały rękoma w miejsca, których przed miesiącem nie pozwoliłby dotknąć nikomu – jak skunks. Stara pierdoła.

– Po co taki żyje?

Może ta druga miała rację? Po co żyć?

– A kto nam dał prawo decydować?

– Skąd ty, Fryne, żeś się tu znalazł?

– Jak skąd?

– Przecież dawno cię pogrzebano.

– Naprawdę?

– No, tak.

Nie był tego pewien. W ogóle czego może być pewien? Te majaki. Ale jeśli rozmawia, odzywa się... Zmarłych nie należy ignorować.

– Jak tam jest?

– Strach cię obleciał na koniec? Przecież mówiłem, wypowiadaj się.

– W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

– Więc jednak. Kościół nasz powszechny...

– Nigdy nie miałaś wątpliwości, klecho? Nigdy nie pomyślałaś, że inni też mogą mieć rację?

– Nigdy.

– Jesteś szczęśliwym człowiekiem, Fryne. A może byłeś? Tak, tak, wszystkie twoje pouczenia nie są warte funta klaków. Bo ja tu wciąż jestem.

– Jesteś? Tak sądzisz? Naprawdę?

Jak może podawać to w wątpliwość? Przecież czuje, może ręką dotknąć piersi albo twarzy, albo nogi. Dłonią do dłoni, nic prostszego.

Co go tak gniecie pod szyją? I ten ból głowy rozsądza ją. Ale nie da mu tak odpłynąć, zaraz, jeszcze.

– Miałeś rację, Fryne.

– Tak?

– Chigi faktycznie został papieżem. Ale dawno go już nie ma. I tego, który go zastąpił, też nie. I następnego. Wszystkich ich przeżyłem.

– Co z tego?

No, właśnie, co z tego? Możesz być papieżem, królem albo malarzem. I każdego czeka to samo. Nie ma innych dróg, wszyscy kończą identycznie. Chciałby, żeby położono go obok Cathariny, w Putte. Kto go tam zawiezie? Zaraza, wszyscy się teraz boją. Grabarze decydują, czy jeszcze oddychasz, czy już można cię zwalić do grobu. A za każdy dzień odpuszczony – płąć.

Z trudem uniósł powieki.

– Kim jesteś? – zapytał siedzącego w fotelu chłopca.

Usłyszawszy głos, dzieciak poderwał się na równe nogi.

– Nie poznajecie, panie? Willem.

– Ach, tak. – Nie wiedział, kto to jest, ale wołał tego głośno nie mówić. – Podaj mi wina i podnieś mnie.

– Lekarz zabronił wina, mistrzu.

– Wiesz, że umieram?

Chłopiec chciał zaprzeczyć, ale widocznie uznał, że nie warto. Więc kiwnął tylko głową. Widocznie w jego wieku śmierć, cudza śmierć, niewiele znaczy. Z trudem, podsuwając pod plecy ogromne poduszki, pomógł mu usiąść.

– Nic mi nie może już zaszkodzić. Przynies tego wina.

Miał na nie ochotę. Chętnie by się nawet upił. Zdarzyło mu się to od śmierci Cathariny kilka razy. Na smutno i w samotności. Chłopiec coś tam szeptał, ale wygnał go z komnaty niecierpliwym gestem ręki.

Aż do tej przeklętej choroby nic mu nie dolegało. Kogo chce oszukać? A te powykęcane ręce? Ciągłe na coś narzekał. No, tak, ale mając osiemdziesiąt pięć lat, usprawiedliwił sam siebie. Trudno nie narzekać. W każdym razie umysł miał jasny, będzie się przy tym upierał.

– Co to za szczyzny? – wypluł podany mu napój, nie troszcząc się tym, że zalewa pościel i rozesłany przy łóżku dywan. Jak mogli mu podać coś takiego? – Ty, ty, ty bydlaku – wymknęło mu się, choć wiedział, że to nie chłopiec jest winien.

Pewnie rzuciłby nawet w niego kielichem, ale spryciarz wyrwał mu go z ręki i niepomny na jego krzyk wybiegł z komnaty.

Chwilę potem przy jego posłaniu stanęła jakaś kobieta. W przeciwieństwie do chłopca nie zamierzała ulegać ani humorom, ani kaprysom starca.

– Co robi? – wrzasnęła, wskazując na kołdrę.

Chciał ją obrazić, ale nie mógł znaleźć dostatecznie mocnego słowa.

– Rozpustna, rozpustna – syczał.

Zamachnęła się, jakby chciała go uderzyć, ale powstrzymała się, a zamiast tego odwróciła kołdrę tak, aby miał sucho pod brodą.

– Przyrowadź mi Elisabeth – zażądał.

– Sam ją sobie przyrowadź – hardo odpowiedziała wiedźma.

Czyżby ta wulgarna baba nie zamierzała go posłuchać? Jak to możliwe? W jego domu? Czyżby śnił? A może już umarł i trafił do piekła?

Starał się utrzymać wzrok na wysokości jej oczu, ale ona nie zwróciła na to uwagi.

– Daj mi wina. – Tym razem nawet on sam wyczuł w swoim głosie uległość.

Co ona robi? Zamiast iść po wino, bez skrupowania usiadła na jego nocnik i zaczęła sikać tak głośno, że aż zadudniło mu w uszach. To nie mogła być prawda. Trzeba się dostać do córki. A jeśli umarła? Jeśli został sam, bez opieki? Trzeba się pozbyć tej hołoty. Sprzedać obraz. Gorączkowo zaczął snuć jakieś plany. Tak, trzeba sprzedać, nająć kogo innego. Kogoś takiego jak Magdalena. Wszyscy poumierali. Hiszpanka zadławiła się ością. Boże, jakaż to śmierć straszna. Przecież nie grzeszyła, zawzięcie biegła do kościoła, spowiadała się, przyjmowała komunię. Kiedy to było? Sześć, nie, chyba siedem lat temu. Teraz sobie przypominał. Po jej śmierci wzięli na służbę młodą dziewczynę, Simonetę. Dlaczego mówili do niej Nicolas? Nie był tego pewien.

Brał ją do pracowni, kazał siadać na sofie, w której tak często zasypiał. Miała piękne ciało. Delikatną skórę, wydatne, jakby lekko opuchnięte wargi, wąskie ramiona i nieproporcjonalnie duże piersi. Malował ją w obszernym planie, od dołu. Czasami uchylał rąbka tajemnicy, pokazywał trochę więcej, tak aby pobudzić wyobraźnię. Ale to przecież nie mogła być ta wiedźma, która, nie, to chyba niemożliwe, a jednak słyszy to przecież. Czyżby na tym nocniku... No tak, wyraźnie sobie folgowąła.

– Bezwstydna – szepnął. – Jak możesz?

– Cicho, staruchu.

Śmiała się, czy to możliwe? Sam srał już krwią, wyłącznie krwią, a ona? Nie bała się?

– Niech cię piekło pokłonie. – Powiedział pokłonie zamiast pochłonie i ten błąd wydał mu się zabawny. Więc zaśmiał się świszcząco, bo od kiedy wypadła mu większość zębów, śmiał się wyłącznie w ten sposób.

Przymknął oczy, nie chciał jej widzieć. Ale to babsko wciąż było w sypialni i, co więcej, jakby odplacając za jakieś wydumane krzywdy, kpiło sobie z niego bezustannie. Zaczęła myszkować pod kołdrą, wsunęła rękę pod koszulę i złapała go za zwiędłe przyrodzenie.

– A to co, ojczulku? – Chyba naprawdę była zdumiona. – Mówią, że takiego jak ty trzeba podduścić, żeby mu ten kogucik zapał.

Tego było już zbyt wiele. Wysiłił się i krzyknął. Ale ten krzyk był tak anemiczny, że nikt go nie mógł usłyszeć. Tym bardziej że zaraz przytknęła mu rękę do ust. Udusi go, na Boga, udusi. Puść, zdziro, puść. Niedoczekanie. Wyrwał się na chwilę i zaczerpnął powietrza. Kiedyś jednym ruchem zwałiłby babsko na ziemię, ale osłabł. Nawet ręce już nie te.

I nagle nikogo nie było. Gdzie się podziali? Sen? Nie, przecież jeszcze ją czuje. A ten chłopak? Jak mu tam? Willem? Niech go niosą do pracowni. Przypominał sobie, że ma przywiązany do łóżka dzwonek. Potracił go i usłyszał donośne stęknienie.

– Catharina?

– A któż by inny?

– Kochana, nareszcie.

– Szybko, szybko, tyle pracy.

– Jakiej pracy?

– Kuchnia, do jutra trzeba skończyć przetwory. Magdalena i Lysbeth, ta głuptasica, same nie dadzą rady.

– Głuptasica, nigdy jej tak nie nazywałaś.

– At – machnęła ręką. – Co z tego? Napij się wina.

Podawała mu kielich. No, tak. To jest wino. Co prawda inne niż to, które kiedyś pijali, ale całkiem smaczne.

– Kupiłaś? – wskazał na kielich.

– Na twoją, Jacob, chorobę Francuzi przywieźli z Korsyki. Z Alerii. Dwa i pół tysiąca lat.

– Dwa i pół?

Przytaknęła. Nie pytał, znał odpowiedź. Od tak dawna je tam produkowano. Czyż to nie dziwne. Rzym, Frankowie, Saraceni, wikingowie, templariusze. Historia w winie. Zabawne.

– Wyleczy? – zapytał bez wielkiej nadziei.

– A kto to wie? Ale nie zaszkodzi.

Tego był pewien. Więc łyknął raz i drugi, aż poczuł, że w głowie zaczyna mu szumieć całkiem przyjemnie. Ale już jej nie było, za to, czy to możliwe, w jej miejsce pojawiła się matka? Jakoś odmłodziła, wypiękniła z wielkim pierścieniem na wskazującym palcu.

– Urodziłeś się w Het Paradijs, pamiętasz?

Pewnie, kto by zapomniał, że urodził się w Raju. Dlaczego tak nazywano ten dom?

– W Raju – matka nie zamierzała odpowiadać na jego pytania – rodzą się tylko święci. Albo geniusze. Ciebie trudno zaliczyć do tej pierwszej kategorii. – Zaśmiała się perliście. – Musiałeś, nieboraku, zostać geniuszem. Ciężki los – pokiwała nad nim głową. – Ale, ale, jak ty się zestarzałeś? To ta choroba?

Przytaknął, przecież nie było innego wytłumaczenia jej młodości.

– A ojciec? – zapytał, bo od kilku chwil rozsadzała go ciekawość.

– Zaraz tu będzie. Trzyma do chrztu najmłodsze.

– Theo?

Kiwnęła głową. Wiedział, że najmłodszy braciszek nie przeżyje trzech lat. A on? Osiemdziesiąt pięć? Panie Boże, czy to już koniec? Ile jeszcze?

– Nie powinieneś za dużo mówić. Lekarze twierdzą, że pestis wykańcza. Każdy zbędny wysilek...

– Ale ten Raj. Luter mówił, aby się wyrzec marzeń o raju i mocno stąpać po ziemi.

– Cóż tam ten Luter. Kto to w ogóle był? Czy ktoś go widział? Wszyscy twoi bracia i siostry...

Już jej nie słuchał. Nie potrzebował jej przygan. Wiedział, co chce powiedzieć. Przypomniał sobie tylko księgę Luisa de Urrety. Według niego ziemski raj był gdzieś w Afryce, na równiku. Dureń, choć dominikanin, pomyślał.

Machnął ręką i matki też już nie było. Jak w jakiejś grze dziecięcej, pstryknięcie palców i zmiana dekoracji. Przez chwilę zdawało mu się, że to wszystko, te odwiedziny, były sennym majakiem. Ale przecież wciąż trzymał w ręku kielich z winem. Zamoczył w nim usta. Teraz wydało mu się jednak kwaśne i cienkie, takie, jakie podają w najgorszych oberżach. Jakby zwietrzało, jakby uciekła z niego moc i zapach. Tak czasami bywa.

Musiał na chwilę zapaść w jakąś otchłań, bo przebudził go dopiero kaszel rozdzierający płuca. Zdał sobie nagle sprawę, że ból, który przewiercał całe jego ciało, był jedyną oznaką życia. Gdyby nie to, można by dawno uznać, że ta resztką ducha już uleciała, a gnijących wnętrzności nawet wściekle psy by nie ruszyły.

Cynobry, lubił je. W różnych odcieniach, czasami podbite światłem, czasami przyciemnione. I jeszcze zielone i błękity. W tych kolorach, jeszcze czernie, mógłby zamknąć świat. Naprawdę był taki dobry, jak mu mówiono? Te wszystkie porównania... Po co? Rubens. Był mądrzejszy od niego. I bogatszy. Co ma do tego bogactwo?

– Ma, ma – Peter Paul wcale nie był skromny. – Nie sprzedawaj się za małe pieniądze. Nikt takich nie ceni.

Hipokryta. A sztuka? A doskonałość? Precyzja?

– Doskonałość? Komu na niej zależy. Przecież twoje późne obrazy są gorsze niż te wcześniejsze, nie widzisz tego, durniu? Ale płacono ci więcej, nieprawdaż?

Na co on sobie pozwala? A sam jaki był? Na starość ręka drętwieje, ot co. Malujesz rutyną, wiedzą, nie okiem. Nawet nie sercem. I te fałszerstwa. No, przecież wystarczy spojrzeć na te autoportrety. Przecież, na Boga, Rubens, ten ustrojony szlachcic o marsowym obliczu, gdzie tu prawda. Chciał być takim dla potomnych, ale jego przecież nie może oszukać. Za dobrze się znają. Mierzył się z nim. Jego Sylen wcale nie był gorszy.

– Drwisz? – ten śmiech mógł go wpędzić do grobu. Drażnił.

Zawsze w cieniu. Nie, nie, nie. W jakim cieniu? Wyciągnął rękę, aby walnąć pięścią tę twarz zaciętą. Przypomniał sobie jakiś obraz. Zaraz, zaraz, jak on go nazywał? *Porwanie córek Leukipa*? Rozpasane nagie ciała, szalone konie. Dobry obraz, bardzo dobry. Tyle lat... Kochał go przecież jak brata. Starszego brata. Chciał być taki jak tamten. Nie udało się, ale przecież nie musi mu niczego zazdrościć, choć gdzieś na dnie duszy... Powinien się do tego przyznać. Ile można okłamywać

samego siebie. Jego Catharina była piękniejsza niż wybranka Petera. Izabela miała krowie, bezmyślne oczy. I o ileż Catharina była mądrzejsza. To kobiety decydują o naszym życiu. Bez nich... Co chciał powiedzieć? Zapomniał, zaślinił się. Niech mu ktoś obetrze tę ślinę. Odchrząknął, ale to na nic. Dusił się.

Uświadomił sobie, że rozmawia z cieniem. Był przecież na jego pogrzebie. Wieki temu. Gdyby odjąć lata dziecięce, pół jego życia jak go pochował. Trzydzieści osiem lat. Targnął nim jakiś spazm. Płakał? Czy to możliwe? Nie robił tego od dawien dawna. Nie wzruszał się, nie ulegał emocjom. Czego tu żałować? Ale przecież nie uciekał od życia. Potrafił się nim cieszyć. Nie tak po prostu jak marynarze z portu, nie tak jak głupcy z ratusza, ale wcale nie gorzej.

Jakieś nagie stopy. Małe, kobiece. Czyje? Depczą po nim, ugniatają. Nie, nie. Te stopy, chwyciłby je, przyciągnął, sięgnął ręką wyżej do miękkiego futerka, zagłębił się w gorące źródło. Co mu chodzi po głowie? Grzeszy. Już tylko w ten sposób może zgrzeszyć. Pan Bóg mu odpuści. To wszystko niewinne igraszki wyobraźni. Pomodliłby się, ale nie pamięta żadnej modlitwy. Jak to możliwe? Starców powinno się uczyć jak małe dzieci. Tylko to dzieci powinny się wcielić w rolę rodziców. Za trudne to wszystko. Więc lepiej poddać się myślom, niech płyną, to nawet całkiem przyjemne.

– Ja się czujesz?

Kto go trzyma za rękę? Elisabeth? Zerwała się, doczołgała do jego postania? Taka chora? Jego dziecko. Poglądził ją po dłoni, dał znak, że jeszcze żyje. Ale przecież i ona ledwie oddycha. Zwlokła się, aby jego doglądać. Po co? Jemu już nie pomoże.

– Śniłam dziś matkę. – Zawsze lubił jej słuchać. Ale ledwie mówi. Nie powinna... – Przyciągała mnie...

Gdzie jej do śmierci. Jeszcze tyle życia. Tyle serdeczności, Anna Catharina, Johan, ich dzieci, po co tu siedzi z nim, staruchem? Chciałby jej powiedzieć, że dla niego zawsze liczyła się tylko rodzina, ten dom, nic więcej. Chciałby ją objąć i przytulić. Tak, jak wtedy gdy zabierał ją, małą dziewczynkę, do miasta. Obejmował w pasie, podrzucił do góry, łaskotał, a kiedy była już rozbawiona, roześmiana, sadzał do powozu albo obok Jonasa na koźle.

– Był u ciebie pastor, ale spałeś. Wieczorem przyjdzie jeszcze raz.

Jeśli zdąży. Zresztą do czego on mu potrzebny? Chciał pokazać, że jest już pogodzony z Bogiem, że nikogo nie potrzebuje, ale znów zaczął kaszleć. Wypluje płuca. Nie tak chciał umierać. O ileż lepiej udało się to Catharinie. Zasnąć i już się nie obudzić. Nie cierpieć i nie ściągać na siebie przekleństw innych, nie wymagać i nie być kłopotem. Z najwyższym trudem uniósł powieki. Naprawdę tu była. Musiała mieć wysoką gorączkę, bo jej policzki, okolone bezładną siwizną włosów, były całe czerwone.

– Powinnaś uciekać – wyszeptał.

– Dokąd?

– Jak najdalej. Na wieś. Ta przekłeta choroba wszystkich nas zabije.

– Trzeba się godzić z wolą Boga, ojczy.

Cóż to za głupota. Nie miał siły, żeby z nią dyskutować, ale najchętniej przełożyłby ją przez kolano i, jak widywał to czasami wśród ubogich, zlałby jej tyłek. Ciągle była małą dziewczynką.

– Kto to jest? – wyciągniętym palcem wskazał babę, która wcześniej tak go ubodła swoim zachowaniem.

– Kto? – rozejrzała się dookoła niepewnie – Nikogo tu nie ma.

Czyżby jej nie widziała? Oślepla?

– Oddaj mi swoje pieniądze, staruchu – kobieta była jeszcze całkiem, całkiem. Miała piękne, białe zęby. Ale czyż mógł zapomnieć te odgłosy z nocnika? Jaki mężczyzna chciałby później dotknąć takiej kobiety?

– Przekłeta – sapnął. – Nachodzi mnie tu.

– Nikogo nie ma – Elisabeth znów powtórzyła swoje zakłęcie.

A może są w zмовie? Może chcą go ograbić? Nie przywykł do nędzy, jak będzie żył pozbawiony tego, co zgromadził przez te lata. Skąd on ją zna? Taka podobna do Commeriny. W jednej chwili twarz kobiety zamieniła się w oślizgłe oblicze Rufina. Złośnik nie da mu żyć. Przecież spłacił grzywnę, nic im nie jest winien. Czego jeszcze może chcieć?

– Z kim ty się równasz, Jordaens? To miasto – gdał jak kura – zapomni o tobie, już o tobie zapomniało.

– A kościoły? – Z tym argumentem nikt nie mógł dyskutować.

– Wszystkie spalone.

– Jak to spalone?

– Książę Alba...

Dureń, na co on go chce nabrać? Książę Alba umarł tyle lat temu.

– Wiesz, że przed jego najazdem każdego dnia wyjeżdżało od nas dziesięć tysięcy wozów z towarem? Gielda...

Kto go o to pytał? Przecież Rufin zniknął. Wcale go nie było.

– Naprawdę dziesięć tysięcy? – zadał to pytanie tylko po to, aby odwlec w czasie swoją odpowiedź.

Już wie. To Schut, jego przyjaciel. Jemu przynajmniej może zaufać, na nim się nie zawiodł. Ale jego syn, kim on jest? Bankierem. Tak, tak, obraca gotówką. Bogacz. Ale o ojcu zapomniał.

– Nie bądź, Jacob, śmieszny.

To znowu Catharina? Już skończyła w kuchni?

– W jakiej kuchni? O co ci chodzi?

Pewnie znowu jest chora. Te jej omamy, gorączki, krwawienia. Strasznie się z tym męczyła, nie poznawała ludzi, bała się. Diabeł ją wodził na pokuszenie. Przypomniał sobie, że podobał jej się ten ksiądz, kardynał, jak mu tam, di Verrua. Dla kogo zamawiał obrazy? Łajdak, umarł, zanim odebrał wszystkie. Mógł być z nich dumny. Naprawdę się starał. A ta pleśń, która ją przykrywa, pajęczyny?

– Co ci się stało?

Obróciła się przed nim w jakimś tanecznym płasie. Zaraz, zaraz, przecież to nie ona. Jest taka młodziutka, dziewczynka jeszcze. Córka Plumwertów? Nie widział jej chyba ze trzydzieści lat. Pewnie też już zmarła. Jakby dokąś biegli. Wszyscy go wyprzedzili.

Czemu tak mu się kręci w głowie, zaraz zwymiotuje, niech mu dadzą jakąś miskę. Przekręcił się na bok, pociekło mu z ust. Dobrze, że ktoś mu je wytarł. Zimna ścierka na czole, tak, tak. Tak jest lepiej.

Chciał jak Rubens. Czy ktokolwiek malował lepiej? Skąd ta gorączka? Wrzucą go do dołu, bez trumny. Czasami go obserwował. U nikogo nie widział takiego talentu. Czarował. Śmiał się, kiedy patrzył na tych nadeptych bufonów, którzy chcieli stanąć z nim w jednym sze-

regu. Ale van Noort mówił, że wcale nie był gorszy. Kto temu uwierzy? Przecież był jego teściem. Zostanie, nie ma obaw. Tyle lat minęło, a nikogo po Paulu Peterze i po nim nie ma. Byli najwięksi. Niech ta przeklęta Antwerpia płacze po nich, niech przeklina, niech złorzeczy. Napiłby się czegoś. Może brzoźowego soku?

Jęknął na tyle głośno, że sam usłyszał ten jęk.

– Kto ty jesteś?

– Willem, mistrzu.

– Ciągłe tu jesteś?

Mały skinął głową.

– Nie wychodziłeś?

– Nie, mistrzu.

– Musiało mi się przyśnić.

– Gorączkujecie, panie.

– A moja córka? Bardzo z nią źle?

– Ciężko oddycha.

– Wezwij kogoś, pójdę do niej. Pomożecie mi.

– Lekarz mówił, że nie powinniście wstawać.

– Jaki lekarz? Kafł?

Kafł był ich lekarzem od zawsze. Ale czy on jeszcze żyje? Musiałby być bardzo stary. Tak stary jak on.

– Był tu wczoraj.

Więc jednak nie wszyscy umarli. Ktoś w tym mieście ocalał. No i są jeszcze grabarze. Hieny drapieżne. I ci co robią trumny. Mają teraz niezły zarobek. To ich czas. Żniwarze.

Mały wyszedł i zaraz wrócił z Simonetą, którą nazywali Nicolas. Pomogli mu wstać. Do pokoju Elisabeth był kawał drogi. Ten szaleńczy pomysł, żeby tak rozbudować Halę Bluszczową. Kiedy człowiek jest młody, sądzi, że zagospodaruje każdą przestrzeń. A na starość la-

pie się na tym, że im jej mniej, tym lepiej. Oparł się ramionami na ich barkach. W gruncie rzeczy ciągnęli go. Jego nogi nie były całkiem bezwładne, ale też nie pomagały.

– Byłaś u mnie? – zapytał, kiedy go posadzono przy chorej, bo miał sen, że już z nią dzisiaj rozmawiał.

Patrzyła na niego tymi swoimi zielonymi oczyma spod szeroko rozwartych powiek. Musiała być bardzo słaba, bo ledwie słyszał jej głos.

– Nie mam siły, na nic nie mam już siły. Modlę się.

Umierała, widział to wyraźnie. Kilka miesięcy temu potężna kobieta, teraz wychudła i wyglądała jak własny cień. Podniósł jej rękę i zaraz puścił. Bezwładnie opadła na posłanie. Chciał ją pocieszyć, ale nie znalazł słów. Jakie słowa zresztą w obliczu śmierci byłyby właściwe? Więc spróbował się pochylić i pocałować ją w policzek, ale zachwiał się i poleciał na nią. Simoneta i Willem rzucili się im na pomoc. Pomogli wstać, posadzili Jordaensa na krzesło i razem z tym tronem odnieśli do sypialni.

Więc tak się odchodzi? Powinien to namalować. Bezwładne, gnijące, rozpadające się ciało. Wziął do ręki pędzel, cieniutki, do konturów, i zaczął rozrabiać farby na owalnej palecie. Były mocno zaschnięte. Rozlał na desce trochę oleju, nawet odrobinę za dużo, bo jakaś kropla poleciała na ziemię. A kiedy farba wchodziła już gładko we włosie, szybkimi ruchami zaczął punktować. Niesamowite, pomyślał, że dzięki rutynie można tak szybko malować. Każdy ruch, każda kropka, każde pociągnięcie mają swój sens. Linie nachodzą na siebie, uzupełniają, tonują albo odwrotnie – pogłębiają, podkreślają to, co ważne. Szybko, szybko, ponaglał sam siebie, inaczej za-

pomnisz, a to takie ważne. Odsłonięte okno, dobre światło, ważne, że wszyscy w pracowni malują, że nikt się nie leni, nie odstaje. Do końca, do ostatniego dnia... Czy to nie zabawne? Kiedyś powiedzą o nim, że kochał swoją robotę. Pewnie. Ale nie powinien się rozpraszać. Jak oddać kaszel, chorobę, gorączkę, krwawe wymioty? Malować bez namysłu, później się skoryguje, uzupełni, ktoś namaluje dalszy plan, te wszystkie boczne fidrygałki, misy, liście, nogi od stolków.

– Powinniście to, panie, wypić.

Kto mu śmie przerywać? W takiej chwili, kiedy właśnie... To ten chłopak, jak mu tam...

– Co tu robisz?

– Siedzę koło was, mistrzu.

– Po co?

– No – przez chwilę dzieciak chyba nie wiedział, co ma mu odpowiedzieć – jesteście chorzy.

– Kto cię tu przysłał?

– Nie poznajecie mnie, panie?

– Poznają, poznają, ale kto cię tu przysłał?

– Wasz syn, panie, Jacob.

Więc Jacob żyje. Dlaczego go tu nie ma? Powinien być w pracowni, malować. Tyle lat go uczył. Praca jest najważniejsza. Czemu o tym nie pamięta?

– A ty, malujesz?

Willem pokręcił głową. Czuwał przy malarzu trzeci tydzień i każdego dnia bał się coraz bardziej. Ten starzec, początkowo otwarty, nawet gadatliwy, od dziesięciu dni miał tylko chwile przytomności. I ciągle go wypytywał. Bał się, że umrze razem z nim. Ta przekłeta choroba powaliła na kolana całe miasto. A grabarze zagląдали tu już trzeci raz.

– Powinieneś malować. Nie ma nic wspanialszego. Wszystko jest tu – wskazującym palcem dotknął czoła. – Ręce można wyćwiczyć, ale nie głowę.

Ta Simoneta, ładna dziewczyna, zresztą ten dzieciak też niczego sobie. Chłopiec podłożył mu pod głowę rękę i pomógł mu ją lekko unieść. Czym oni go poją? Dlaczego nie dają wina? Przecież tym nie zaspokoi pragnienia. Całe podniebienie, przelyk, wszystko w nim było chropawe, wyschnięte. Van Dyck też namalował Sylena, pijanego Sylena. Wszyscy go malowali. Więc co? Nic w tym złego. Będą ich porównywać. Jakie to ma znaczenie? Teraz? Wszystko już za nim.

Nie powinni się byli godzić, aby na jarmarkach ludzie nienależący do cechu mogli sprzedawać swoje obrazy. Ci durnie psuli rynek. Beztalencia, siewcy kiczu, handlarze. Mógł zarobić więcej, pewnie, przecież na to zasługiwał. Mógłby... Oszałał. Po co mu więcej? Ta choroba miesza w głowie, zabija rozsądek i umiar.

- Będziesz tak tu siedział?
- Muszę być przy was, mistrzu.
- A uczniowie?
- Nikogo nie ma.
- Jak to, nie ma?
- Uciekli.
- Dokąd uciekli?
- Z miasta.
- Czemu ty zostałeś?
- Gdzie miałbym uciekać?
- Każdy może gdzieś uciec.

To stwierdzenie wydało mu się zabawne. Każdy może gdzieś uciec. Zwłaszcza od kiedy jest Ameryka. Chętnie by ją zobaczył. Żeglarze opowiadali cuda o no-

wym łądzie. Jakies dzikusy, dziwne, ogromne zwierzęta. Kiedyś jako atrakcję pokazywano na targowisku Indianina. Mały, bosy człowieczek o wyciągniętych kończynach, z bliznami na policzkach i przepaską na biodrach podrygiwał w rytm wybijany na bębenku. Za opłatą każdy mógł go dotknąć, szturchnąć, pomacać. Gawiedź otaczała nieszczęśnika ciasnym kręgiem, ale tylko nieliczni mieli odwagę zajrzeć mu w oczy. Powiadano, że od tego spojrzenia można zapłatać się w grzechu i się już z niego nie wydostać. Tfu, co za zabobon. Śni? Chyba nie, przecież widzi tego chłopca, jak mu tam, Willem, tak?

- Willem?
- Tak, mistrzu.
- Ktoś przyjeżdżał ostatnio po obrazy?

Dzieciak, patrząc mu prosto w oczy, pokręcił głową. Kto mógł przyjeżdżać? Teraz? Antwerpia była pusta, jak nigdy.

Przystały się podobać? Jak to możliwe? Dopóki stał na nogach, drzwi do pracowni nigdy się nie zamykały. Co i rusz jakiś kupiec nagabywał go o kolejne płótno. Inna sprawa, że to nowe malowanie nie dawało mu spokoju. Te wszystkie nowinki, szukanie wzorów u Rembrandta. Wszyscy poszaleli. Po prawdzie, musi uznać, że to dobry malarz, bardzo dobry, przecież nie mógł się okłamywać. Ale gdzie mu do Rubensa. Bo czy taki Koninck w pejzażu był dużo gorszy? Miał gorszą rękę? No, może gorszą. A może tylko inną?

Stanie jeszcze na nogi, nie podda się. W gruncie rzeczy cała głowa dudni mu od pomysłów. Znów zapelni pracownię. Niech tylko ta zaraza odpłynie, da chwilę wytchnienia. Staną przy sztalugach. Trzeba zamówić

blejtramy. Duże, jak największe. Nie powinien się rozdrabniać. Ktoś go przykrył. Bez otwierania oczu wiedział, że to nie chłopiec. Delikatne, kobiece ręce. I zapach inny. Pewnie to Simoneta. Ona też nie odeszła. Po śmierci Cathariny powinien był się ożenić. Tyle lat samotnie. Żaden mężczyzna nie powinien się odgrażać od kobiety. Dziewiętnaście lat. Mógł odczekać rok, dwa, ale aż tyle. Pokazywano mu różne, starano się przekonywać, raić. Były takie młode. Mógł je mieć. Wymagać i bez trudu dostać to, czego oczekują mężczyźni. Gdyby nie Fryne, pewnie by się ożenił, dał namówić. Ale to jego machanie palcem, przestrogi. Zresztą, było mu dobrze.

– Nie dotrzymałeś słowa, kardynale.

Di Verrua wcale się nie zestarzał. Może twarz mu trochę wychudła, ale wciąż był przystojny. Może powinien być o niego zazdrosny?

– Nie dotrzymałem? Z Bogiem trzeba się umawiać, nie z ludźmi.

– Na ziemi? Tutaj?

Przeżegnał go znakiem krzyża. Czarny kruk. Pewnie niedługo się spotkają. Znów mu wytoczy proces. Ale teraz wygra. A może Catharina już to załatwiła? Pewnie tak, w takich sprawach była skrupulatna do bólu. I całe szczęście. Inaczej wszystko by oddał za bezcen. Trzeba się umieć cenić. Dobrze mu zapłacili za *Mękę Pańską*. Tak, bardzo dobrze, poznali się na jego talencie. Ci Szwedzi mieli pełną kiesę. Nie żalowali. Dwanaście obrazów. Dobre zlecenie. Dla Carolusa Gustava. Tylko zapomniał, jaki miał numer. Po co oni się numerowali? Dziesiąty, dziewiąty, jedenasty. Kogo to obchodzi. Boży pomazańcy. Ale tam, u góry, wszyscy są równi. Muszą

stanąć na szali. Wyobraził sobie szale wielkiej wagi. A jego? W którą stronę się przechyli? Był wśród wybranych, czy tylko tu, na ziemi, miał do wypełnienia rolę?

– Simoneta?

– Tak, panie.

Czy to był jej głos? Może ktoś się pod nią podszywa? Słyszał o takich przypadkach. Kłamcy grabarze wkradali się ponoć w ten sposób w łaski umierających. Ale jak to sprawdzić? Trzeba otworzyć oczy. Koniecznie. Jakby ktoś nakładł na nie rzecznych kamieni. Tuż za portem były ich tysiące. Skalda wyrzucała je na brzeg. Różnokolorowe, świecące w wodzie, a osuszone – całkiem matowe. Werniks. Podświetlenie, rozbłyszczenie. Lubił się im przyglądać. Mały Jacob ciskał je do wody i tak się śmiał... Dzieci nie wartościują szczęścia, znajdują je w najprostszych gestach, odruchach, minach. Mają swoje zagadki, tajemnice niedostępne dorosłym, jakieś zwiady i zabawy, których sens ulatuje wraz z wiekiem. On sam, w dzieciństwie, uwielbiał chować się w belach materiału. Ojciec nie był z tego zadowolony. Gniewał się, a czasami klepnął go nawet w tyłek. Ale co z tego? Zresztą, nigdy zbyt mocno.

– Zgłodniałem.

Powiedział to, czy tylko pomyślał? Musiał powieźć, bo chwilę później dziewczyna, przybliżywszy usta do jego ucha, wyszeptała:

– Zaraz wam podam, mistrzu.

Zjadłby wołową pieczeń w jakimś sosie. Może winnym, a może octowym? Każdy byłby dobry. Do tego białe kluski. Albo królik we własnym sosie. To od takich potraw przybrał na wadze. Ale czemu miał sobie żałować? Albo kapłon. Lysbeth układała go w kształt ryby.

Zjadłby też uwędzoną rybę. I jeszcze jakieś owoce zapiekane. Na samą myśl o tych potrawach poczuł, jak w ustach nabrzmięwa mu język.

– Grzeszysz, starcze.

Kto to powiedział? A tak, tak. Obżarstwo. A gdzie umiar? Tego mu zawsze brakowało. Nie nauczył się. Teraz już za późno.

– Wariat.

No, no, usłyszał to. Zaraz ich skarci. W końcu są w jego domu. Tylko czy warto? I ten język puchnący, jakby poobgryzany i cudzy. Tak pewnie musieli się czuć ci, których wleczono na stopy po wyroku Świętego Officium. Co mu przychodzi do głowy? Autodafe. Boże jedyny. Jakiś filar z popiersiem i apsyda. Droga krzyżowa? Zwariował, mają rację. Jakiś kalejdoskop, coraz szybszy. Kto tak jęczy? Nogi, bolące nogi. Dożył pięćnego wieku. Chciałby leżeć w krypcie katedry. Hola, hola. Gdzie? On, kacierz?

Dlaczego go tarmoszą? Sprawdzają, czy jeszcze żyje? Żyje, żyje. Dosyć tego, dosyć. Lubił kontrasty, ostre światło i cień. Bez wymysłów, przecież to ludzie są najważniejsi. Co oni mu przystawiają do ust? Ta ślina go udusi. Spróbował z marnym skutkiem odchrząknąć.

– Jacob?

– Widzisz, widzisz, przyszedł ojciec – matka zapiszczała jak chłopiec przechodzący mutację.

Starszy pan był niezmiernie elegancki. Kubrak wyszywany złotą nicią i posrebrzony kołnierz. Ta fryzura i czapeczka... Nieznajomi wzięliby go pewnie za szlachcica. Musiałby co prawda przypiąć do pasa rapier i nauczyć się inaczej mówić. Wypychać policzki i troszkę seplenić. Co za durnie. Roześmiał się.

– Co cię tak śmieszy, synu? – Ojciec patrzył na niego uważnie, ale w jego wzroku można było zobaczyć niepokój. – Śmiech w obliczu spotkania...

Chciał go teraz pouczać? Nie za późno? Zawsze taki sam. Staraj się, staraj, podglądaj najlepszych, a sam będziesz taki. To dobra rada dla kupca, nie dla artysty. Podglądanie może zabić. Chociaż... Govaert Flink podglądał Rembrandta tak skutecznie, że to jemu dostało się amsterdamskie zlecenie. A mistrz został na lodzie. Kto mu o tym opowiadał? Któryś z malarzy, to pewnie. Dobrze mu tak. Czemu go tak dręczy? Zazdrość? Trudno się do niej przyznać.

– Jak tam jest?

Stary Jacob wzruszył ramionami. Jak można opowiadać o rajach? Ogród Armidy, pałac Alcyny, Arkadia, przecież to bzdury. Jak go opisać? Gdyby było możliwe, czyż nikt przed nim by tego nie uczynił? Głupi ten jego syn, jak wszyscy malarze. Troskał się o niego od małości, ale Barbara się uparła. Taka moda. Malarz w co drugiej rodzinie. Absurd. Zresztą nie zamierzał wdawać się w takie dyskusje.

– Należy ci się lanie, Jacob. Kto zniszczył koronki?

Groźna mina ojca nie robiła na nim wielkiego wrażenia. Wiedział, że matka stanie w jego obronie. I wcale się nie pomylił.

– Daj spokój, daj spokój. – Miała ciepły tembr głosu. Uspokajała. – Przecież musiał z czegoś malować. Pozwoliliam mu.

Kłamała, wziął koronki bez pytania.

Ten kaszel rozewnie mu płuca. Ktoś go unosi. No, dobrze, trochę lżej. To przejdzie. Nigdy długo nie chorował. Chociaż ta głowa. Piekło. Tak sobie je wyobrażał,

jako ból głowy. Cicho, cicho. Każe się zanieść do pracowni. Nawet jeśli nikogo tam nie ma, on i tak musi stanąć przy sztalugach. Coś tam przecież zaczął. Nigdy nie było tak, że nie miał pracy. Szukał jej. A może ona jego szukała? Gdziekolwiek by się schował...

– *Omnis homo mendax.*

Każdy człowiek kłamcą? Co ten Joris mówi? Chciał mu odpowiedzieć jakąś maksymą. Stukały mu w głowie słowa Wergilego:

– *Labor omnia vincit.*

Dobrze, dobrze, praca wszystko przezwycięża. Powinien się ze wszystkimi pożegnać. Powiedzieć, nad czym mają pracować. Ten Joris był taki zdolny. Wrócił do Szwecji. Po co? Czy nie było mu tu dobrze? Czy wszyscy go tu nie kochali? Przypomniał sobie pożegnanie. Męskie, bez wzruszeń. Jakie zresztą miało być?

– Waldou.

– Tak, mistrzu.

– Złamałem cię.

– Naprawdę?

– Złamałem. Przystałeś być dzikusiem.

– Dzikusem?

– Wiesz, co mam na myśli?

– Wcale nie złamałeś. Uciekłem od ciebie, mistrzu.

– Zacząłeś malować.

– Zawsze malowałem.

– Nie miałeś nic poza talentem.

– Nie on jest najważniejszy?

Jakże denerwuje go ten śmiech. Może naprawdę go nie złamał? Przydusił, nie dał odetchnąć, ale nie złamał. Nauczył rzemiosła. Malowanie jest rzemiosłem, niczym więcej. Każdemu to powtarzał. Ale Waldou drwił z nie-

go, obrażał. Tyle razy się starli. Przypominał zaraźliwą chorobę. Powinien był go natychmiast wyrzucić, usunąć poza nawias. Nikomu nie zagrażał, był raczej jak dolegliwa drzazga.

– Pić – jęknął.

Wysyczał jak słoma na polu. Czuł, że najlżejszy powiew wiatru mógłby wyrwać go z życia. Z życia, którego i tak było w nim już niewiele. I jeszcze to mrowienie w plecach. Drażniło go, uczulało, powodowało wysypkę, ale nie był w stanie sam się obrócić. Niech go tam ktoś podrapie, to nieznośne. Jakby dopadła go jakaś wszawica. Te insekty... Wszędzie dookoła. Ktoś mu ich tu nawtykał, nawkładał pod koszulę, w pościel, we włosy. Rozdajesz dookoła pieniądze i nie możesz się doprosić...

Catharina miała szczęśliwą śmierć. We śnie, to najlepsze odejście. Czemu on musi tak cierpieć? Widocznie grzeszył ponad miarę. Powinien był jechać do Włoch. Jak Peter Paul. Zobaczyć słońce, bujną przyrodę, ciepłe morze. Zobaczyć obrazy złoczyńcy Caravaggia, Leonarda, Tycjana, Tintoretta, Reniego, braci Carracich. Albo do Hiszpanii. Czyż El Greco, Velázquez, Zurbarán byli w czymkolwiek gorsi? Zobaczyć słońce, ogrzać się w nim i jeszcze oliwkowe drzewa.

Znów ta baba. Jakby zęby ją bolały, z opuchniętą głową. Całkiem naga. Potwór. Gdzie ona wsuwa jego rękę? Cała się lepi. Przekłęta. Mokra.

– Widzisz, że jestem lepsza?

– Od kogo? – zapytał, chociaż miał pewność, że nie powinien być z nią rozmawiać.

– Przecież ci dobrze. Cha, cha – wskazała ręką na ten marny kikucik, który jednak posłusznie wznosił się

do góry. Niedużo, ale jednak. – Widzisz, na samą myśl o ciele młodej kobiety...

Była zupełnie bezkrytyczna. To było cielsko, a nie ciało. Spotworniałe, powiększone, nieproporcjonalne. Czego ona od niego chce?

– Już dobrze, pofolguj sobie. – Położyła jego rękę na swojej piersi i przytrzymując, ocierała ciemnobrązowe, nabrzmiałe sutki.

Złapał się na tym, że nie było to całkiem nieprzyjemne. Więc skoncentrował się na kolorze brodawek. Jak sosnowa kora, pomyślał. Ale nie dała mu uciec.

– Weź mnie, weź – jęczała, ujeżdżając go, jakby był młodzieniaszkiem.

Czuł, że drży wraz z całym posłaniem. Zaraz spadną, potłuką się, pogruhoczą kości. Jakby nie dość nieszczęścia. Ten stukot. Ale wpadł w rytm, który narzuciła, ścisnął jej piersi i tylko dzięki temu zachował równowagę. Obróciła się i teraz, raz po raz, uderzała pośladkami o jego uda. Nie wytrzyma, niech to się wreszcie skończy. Nie ma siły. A ta nienasycona, czy nikt tego nie widzi? Co tu się dzieje? Odda jej wszystkie pieniądze, tylko niech wreszcie przestanie, da mu spokój.

– Wszystkie? Naprawdę? – czytała w jego myślach czy co?

– Wszystkie. Zabieraj i wynoś się.

Miałaby całkiem miły uśmiech, gdyby nie braki w uzębieniu. Świeciła gołymi dziąslami. Więc to nie Simoneta. Co mu przyszło do głowy? Tamta była taka młoda.

– Willem, jesteś tu?

– Jestem, mistrzu.

– Kim jest ta baba? – Tknął ją palcem, a ten wszedł głęboko w skórę kobiety. Jakby wtykał go w rozrobione, miękkie ciasto.

– Nikogo nie ma, panie.

Znów go okłamuje. Przecież nie oszalał. Wciąż ją czuje. Śmierdzi amoniakiem. I coś się z niej wylewa. To pot? Zmęczyła się.

Wziął do ręki węgiel. Dobrze, że ten chłopak przytrzymał mu karton. Oprze go o kolana. Trzeba je zgiąć, podciągnąć, tak, tak, jeszcze wyżej. Na jutro musi zrobić rysunki dla tapiserii Graefego. Był już spóźniony. Nigdy mu się to wcześniej nie zdarzało. Nakolanniki, tarcza, dębowe liście, koń w ruchu. Podmaluje to przed wieczorem, jeszcze przy dziennym świetle. Caspar, zanim weźmie się do roboty, jak zawsze pogłodzi rysunek. Każdy ma jakieś przesady. On przez całe lata przed malowaniem pocierał dwoma palcami koniuszek lewego ucha. Nawet nie pamiętał, skąd mu się to wzięło. Catharina śmiała się z niego dobrotliwie.

– Głuptasie – mówiła – myślisz, że to ważniejsze niż dobry pędzel?

Wzruszał ramionami, przytulał ją, ale za ucho i tak musiał się chwycić.

– Potrzebujesz czegoś?

– Kto to? – nie widział postaci, która mówiła do niego. Mężczyzna musiał stać gdzieś za nim.

– Nie poznasz? To ja.

Chyba by go po głosie nie rozpoznał. Dobrze, że wyłonił się z mroku. Braciszek? Augustianin eremita? Czy to możliwe? Po tylu latach? Biedak, który jego, bogacza, pyta, czy czego nie potrzebuje. W przeciwieństwie do Lutra czy Zwillinga pozostał w zakonie, nie uciekał.

I prowadził święte życie. Jak Mikołaj z Tolentino, Jan od świętego Fakunda albo Tomasz z Villanovy. Chciał być taki jak oni. Wyciszony, pomocny, w cieniu. Pójdzie prosto do nieba. A może już tam jest?

– To pożegnanie, prawda?

Po co go o to pytał? Przecież i tak wiedział, że ta podróż dobiega kresu. Że nikt nie przychodzi do niego na darmo. Może chciał go przekonać? Nie, nie, nigdy nie narzucał mu swego zdania. Zresztą, nie był rozgadany. Najchętniej zamknąłby się w klasztornej celi i spędził tam życie. Komu taki człowiek jest potrzebny?

– Komu? Bogu, Jacob, Bogu.

Chętnie namalowałby jego portret. Chuda twarz porwana zmarszczkami, wypukłe oczy otoczone obwódką cieniutkich jak jedwab powiek, łysina, niewielkie uszy. Habit. Ciemne tło i ostre światło, półcienie eksponujące siłę, jasność poglądów, oddanie. Tyle razy udało mu się chwycić prostactwo, dzikość, rozpasanie. Ale człowiek boży, brat... Nie, nie, to wcale nie byłoby takie trudne. Gdyby zgodził się, dwa, trzy dni...

Trzeba się podnieść. Która może być godzina? Ranek myli mu się z wieczorem.

– Willem.

– Tak, mistrzu.

– Jaki mamy miesiąc?

– Październik.

– A dzień?

– Osiemnasty.

– Wieczór teraz?

– Wieczór, panie.

Nie warto zaczynać. Przez dziesiątki lat wstawał o świcie, aby złapać światło. Nie lubił, choć często to ro-

bił, malować po zmroku. Popelniał wtedy proste błędy. Rano z niedowierzaniem patrzył i poprawiał.

– Dzień był słoneczny?

– Raczej nie.

– Co to znaczy raczej?

– Padało.

Zdawało mu się, że słyszał szum deszczu. Nie znosił tego. Pochmurny dzień był gorszy niż noc. Wszystko mu się wtedy rozmazywało, kleiło, spierało ze sobą. Bywał wówczas podminowany, rozdrażniony i podejmował niedobre decyzje. Ale tak czy inaczej musi iść do pracowni. Podogłądać wszystkiego. Jak w starym ubraniu, jeśli nie połatasz, nie zastąpisz starej nici nową, całość się rozejdzie, wystrzępi, popęka. Zamiast pracy będą śmiechy, dogadywanie, marnowanie płótna i farb.

– Na starość robisz się, Jacob, skąpy.

– Nigdy nie byłem rozrzutny.

– Po co ci to bogactwo?

– Po co komu ręce, nogi, głowa?

– To nie to samo.

– Człowiek potrzebuje pracy.

– Pracy, nie bogactwa.

– Pracujesz, żeby coś mieć.

– Więcej od innych?

– To naturalne.

– Jesteś pewien?

Zorientował się, że rozmawia sam ze sobą i zawstydział się. Musiało być z nim już całkiem źle. Choć od śmierci żony coraz częściej zdarzało mu się unikać ludzi, uciekać od nich, zamykać się i wieść nieustające spory z kimś, kto był jego lustrzanym odbiciem, bratem

bliźniakiem, teraz go nie zobaczył. Słyszał tylko jego głos. Chrapliwy, obarczony chorobą, ale jak zawsze przekorny, zgryźliwy, nieprzyjazny.

Odegnął cień od siebie, ale ruch ręką był widocznie zbyt wielkim wysiłkiem, bo złapał go najpierw kaszel, który wstrząsał nim, unosił, rozdzierał, dusił, a zaraz potem wdarła się w gardło czkawka i za nic nie mógł się jej pozbyć. Dygotał. Jak falą wyrzucona na brzeg ryba łapał powietrze, zagarniał je do siebie, próbował przytrzymać, ale nic z tego. Chciał odwrócić się na bok, prosił, żeby mu pomóc, ale nikt tego nie słyszał. Widocznie zostawili go jednak samego. Gdzie jest Kafł? Ta stara pierdoła powinna mu pomóc. Po to jest doktorem, za to mu płacą. Niech mu poda jakąś miksturę, niech powstrzyma tę przeklętą czkawkę.

Zatkany nos, ktoś go musiał uderzyć, może mu go złamał? Nie może nim oddychać, jakby nawtykali węń pakuł. Jeszcze tego brakowało. Swoimi długimi palcami wymacał nozdrza, wsunął w nie delikatnie paznokcie. Co mu jest? Czego się boi? Ciekawe, czy go ogolą? Catharina dbała o to. Powinien dobrze wyglądać. Nawet po śmierci. Zwłaszcza po śmierci.

– Musisz być zadbany. Kto cię inaczej uszanuje?

Wszystko się w nim skurczyło, skarłało, zmałało. Taką jest starość. Na twoje miejsce szykują się inni, wypychają się, obejmują to, co na zawsze wydawało się komuś przypisane. Nie ma na to rady. Możesz wysoko nosić głowę, krzyczeć, dowodzić swego talentu, ale ręce już nie te.

– Zasnął?

– Kto to wie? Nie odzywa się. Bredzi, woła Catharinę.

– Daliście mu jeść?

– Niczego nie chce, wszystko z niego wypływa.

– Przegnił cały.

– Trzeba go będzie zabrać.

Dokąd mają go zabrać? Przecież oddycha. Zaraz pobiegnie do pracowni. Niech tylko ten deszcz przestanie padać. Grabarze. Chciał znów krzyknąć, ale tylko jęknął. Mógłby żądać szacunku, przecież tyle zrobił... Komu to potrzebne? To, co najważniejsze... Oczy umarłej umarłą postrzegą, twoje oczy. Gdzieś uciekła mu myśl i tylko jakieś czarne płaty latały mu pod zamkniętymi powiekami. Jeszcze czuł, że ktoś go trąca, ale już nie słyszał słów. Jakby gdzieś dudniły, odbijały się od miedzianej kopuły któregoś z kościołów, wracały echem, ale nie mógł ich wychwycić, zrozumieć ani zapamiętać.

Strach, który opanował miasto, powodował, że zmarłych chowano natychmiast. Najczęściej zresztą we wspólnych mogiłach. Dla nielicznych czyniono wyjątki. Ale tym razem warto było ten jeden dzień odczekać. Po co dwa razy jeździć? Na wóz wciągnięto obie trumny. A grobowiec w Putte był na tyle duży, że pomieścił nie tylko Catharinę, ale także jej męża i córkę. Antwerpia nie płakała, miała swoje problemy.

© Copyright by Waław Holewiński and Wydawnictwo
Dolnośląskie, 2007

Na okładce użyto obraz:

Projekt okładki
Mariusz Banachowicz

Redakcja
Ireneusz Kasprzak

Radakcja techniczna
Sebastian Kolcio

Korekta
Anna Miecznikowska

Wrocław 2007

Wydawnictwo Dolnośląskie Sp. z o.o.
ul. Podwale 62
50-010 Wrocław

ISBN 978-83-7384-603-6

www.NajlepszyPrezent.pl

TWOJA KSIĘGARNIA INTERNETOWA

Zapoznaj się z naszą ofertą w Internecie i zamów, tak jak lubisz:

| | |
|------------|---|
| e-mail | sklep@NajlepszyPrezent.pl |
| informacja | +48 61 652 92 60 |
| fax | +48 61 652 92 00 |
| poczta | Publicat S.A., ul. Chlebowa 24, 61-003 Poznań |

książki szybko i przez całą dobę • łatwa obsługa • pełna oferta • promocje